

Z KSIĘGOZBIORU

Dawida Rogowskiego

N^o 75.

o

HELENA.

HELEN A.

Egz. archiwalny IBL

HELENA,

POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA

TEOD. T. JEŻA.

INSTITUT
TOM I.

ul. 72
00-100
Tel. 26-68-63, 26-68-31 w. 42

Rogozński

POZNAŃ.

Nakładem Mieczysława Leitgebra.

WARSZAWA. | L W Ó W.
Gebethner i Wolff. | K. Wild.

1869.



Дозволено Цензурою.

Варшава, (11) Июня 1869 г.

Czcionkami J. Ungra, w Warszawie.

Dzieje podają nam szczególne jedno zdarzenie: Kato utycyki piękną, dobrą, kochającą i kochaną żonę odstąpił przyjacielowi Kwincyuszowi Hortensyuszowi. Akt odstąpienia odbył się ze wszelką możliwą powagą i uroczystością. Przyjaciel przyjacielowi dawał co miał najlepszego i najdroższego—dawał mu żywy przyjaźni zakład.

Przez pryzmę dzisiejszych o małżeństwie i rodzinie wyobrażeń zapatrując się na fakt ów, wydać się on musi dziwnym, nadzwyczajnym, niepodobnym. W naszym wieku podobna transakcya byłaby niemożliwą. Ale jeżeli w naszym wieku jest ona niemożliwą w imię przyjaźni, to dość na miejsce wyrazu „przyjaźń“ postawić wyraz „interes“, a niemożliwość ustępuje miejsca szerokiej możliwości. Dla przyjaźni nikt nie głupi żonę odstąpić; dla interesu.... to co innego.

Za czasów Katona świat rzymski nienajświetniej stał pod względem moralności. Miał wszelako w sobie jedną stronę, któraby nasze-

mu za wzór służyć mogła, oto że nazywał rzeczy po imieniu—przyjaźń była rzeczywistą przyjaźnią, miłość rzeczywistą miłością, interes rzeczywistym interesem. W naszym świecie interes tak panujące zajął stanowisko, że pochłonał w sobie wszystkie cnoty i uczynił je przedmiotem handlu, osłoniętego wyrazem „honor.“ Ta osłona, zdaje się, nieznaną była Rzymianom, a przynajmniej nie takie jak dziś miała znaczenie. Cnota i występki stawały nago, wyraźnie, nie miały formułki, któraby je do jednakowego sprowadzała mianownika i w złudnym przedstawiała świetle.

Myszę że gdyby Katon zmartwychwstał i po naszym obejrzał się świecie, byłby niepomału zdumionym mieszaniną, jaka się wśród nas wytworzyła. Coby on naprzykład powiedział, gdyby widział nie mężów odstępujących żony, ale żony odstępujące mężów... za pieniądze... pod osłoną honoru!.. Wypadki tego rodzaju są wprawdzie rzadkie, przecież zdarzają się. Znam jeden taki wypadek.

— Powieściarzu!.. gotów krzyknąć na mnie który z czytelników. Nasz wiek, jakkolwiek nie nadzwyczajnie jest moralnym, przecież nie dopuszcza podobnego handlu.

Na ten wykrzyknik mógłbym odpowiedzieć dwoma wyrazami, dwoma nazwiskami, które czytelnikowi całą wytłumaczyłyby sprawę; nazwiska to bowiem są u nas dość znane i dość głośne. A i sama rzecz była w swoim czasie dość znaną i dość głośną. W swoim czasie—powiadam: upłynęło bowiem nad nią lat trzydzieści kilka. Trzydzieści kilka lat temu była ona świeżą i szeroko o niej gadano. Dziś starsze pokolenie w części już o niej zapomniało, a młode może nic nie wie. Odgrzebuje więc ją z zapomnienia i dla większej dokładności cofnę się w jeszcze dawniejsze czasy, kiedy pani Dalman była jeszcze panną Heleną Zawilską. Rozumię się, że o czasach onych opowiadać będę ze słyszenia, a to dla téj prostéj przyczyny, że nie byłem wówczas jeszcze na świecie.

Działo się to pomiędzy 1820 a 1825 rokiem, to jest najmnień 41, najwięcej 46 lat temu. Daty dokładnie oznaczyć nie jestem w stanie i dlatego tę chronologiczną kwestyą rozwiążę sposobem przybliżonym, biorąc z dwóch skrajnych lat średnią proporcjonalną. Tak tedy:

Działo się to w połowie 1822 roku. Dodać muszę: w drugieć połowie, bowiem było już nie tylko po żniwach, ale po zmłóceniu większej

połowy krescencyi, a więc w jesieni, w miesiącu wrześnieu.

Urodziło się ogromnie, w przecięciu po dwa-naście kóp pszenicy na morgu, a kopa dawała po korcu i ćwierci. I cena była niezła: Żydzi na miejscu płacili po dwa ruble korzec. Gospodarze wszyscy bez wyjątku w doskonałym byli humorze. Narzekali wprawdzie na ciężkie czasy, ale nie szczerze. Zwyczaj nie dozwalał przyznawać się:

— Dobrze się dzieje... Zarodziło... pieniędzy będzie huk...

Każdy się krzywił i mówił:

— Żle, mospanie... Co za czasy!.. mój Boże!.. co za czasy!.. A co pracy!..

Sędzia Brodecki stanowił pod tym względem wyjątek. Nie narzekał ani na czasy, ani na pracę i dlatego zapewne w całej ładyżyńskiej okolicy uchodził za pewien rodzaj ekscentryka.

— Chwalić Boga, mawiał, nie dzieje mi się źle... Ot, zasiałem pięćset morgów pszenicy i zebrałem sześć tysięcy kóp, a gdy omłócę, będę miał siedem tysięcy pięćset korcy, z których, odtrąciwszy na nasienie, domową potrzebę i ordynaryę, pozostanie mi na sprzedaż sześć tysięcy trzysta korcy... Jeżeli sprzedam na miej-

scu, dostanę dwanaście tysięcy sześćset rubli; ale nie będę na miejscu sprzedawał.

— Cóż on ze swoją pszenicą zrobi?.. pytano.

— Chyba do Odessy myśli ją prowadzić...
odpowiadano z przekąsem.

Rzeczywiście sędzia myślał o Odessie, która w onym czasie poczyniała się podnosić i rozgłosu nabierać. Uchodziła jednakże jeszcze za jakieś zamorskie miasto, do którego podróż przechodziła miarę zwykłych sił szlacheckich. Step y chersońskie, jak pustynia Sahary, nie wydawały się łatwemi do przebycia. Przebywali je wprawdzie Czumacy, ale było to ich powołanie. Ich przykład nie zachęcał do zbadania tajemnicy stepów, jak przykład żurawi odlatujących do Indyj nie zachęca do wędrowania przez morza i lądy. Pomiedzy Czumakami i żurawiami było pewne podobieństwo powołania, zależące głównie na tém, że w wędrówkach obchodzić się umieli bez kucharzy i pościeli, co szlachcicowi wydawało się niepodobieństwem. Z niepodobieństwa tego korzystali Żydzi, którzy także Odessę odwiedzali, ale tajemnicę podróży przez stepy zachowywali dla siebie, udzielając z niej dziedzicom i dzierżawcom mającym zboże na sprzedaż to tylko, co ich zrazić mogło.

Rozpowiadali o nadzwyczajnych upałach, o braku wody i zajezdnych karczem, o pustkach niezaludnionych, o rozbójnikach. Odessa przeto w onych czasach była żydowską tajemnicą, a dla szlachciców zagadką, do rozwiązania której najmniejszej nie mieli ochoty. Dlatego to ochota sędziego dziwiła jego sąsiadów.

A sędzia zbierał się do podróży nie zartem. Wszyscy jacy byli w okolicy znaczniejsi kupcy, z Ładyżyna, Hajsyna, Braclawia, Tulczyna, Granowa a nawet Humania, zgłaszali się po kolei. On każdego przyjął, ugościł i z każdym miał następującą treści rozmowę.

— Wielmożny pan młóci pszenicę?..

— Chwalić Boga, młóczę...

— Czy wielmożny pan już sprzedał?..

— Nie...

— No, to moglibyśmy zrobić z sobą interes...

— Nie moglibyśmy, chwalić Boga, bo nie sprzedaję...

— A przecie wielmożny pan młóci...

— Młóczę...

— Cóż wielmożny pan z nią zrobi?..

— Poprowadzę do Odessy...

— Sam?..

— Chwalić Boga, sam...

Na kupcu robiło to piorunujące wrażenie, a to dla kilku powodów: raz dlatego, że jeżeli by się Brodeckiemu udało dobrze sprzedać, to to zachęciłoby całą okolice do obchodzenia się bez pośredników handlowych; powtóre dlatego, że Brodecki znany był pomiędzy Żydami z nadzwyczajnej rzetelności. Z nim nikt kontraktów nie pisał. Jego słowo było kontraktem. Nie było przykłady, ażeby on słowa nie dotrzymał. Stracić więc takiego człowieka, znaczyło wypuścić z rąk zysk niezawodny. Ztąd wieść, że Brodecki zamierza prowadzić pszenicę do Odessy, sprawiła niemały w kupieckim świecie popłoch. Żydzi jeździli a jeździli do Sabinowa, próbowali, targowali, namawiali, podnosili cenę o dziesięć, dwadzieścia i dwadzieścia pięć groszy nawet, starali się używać pośrednictwa sędziny, której ofiarowali poręczawicze: wszystko napróżno. Sędzia się uparł, młócił pszenicę i wybierał się do Odessy osobiście.

Nie bez tego jednak, ażeby zabiegi kupców i gadania sąsiadów nie wywarły na sędzię jakiegoś wpływu. Nie zatrwożyły go one, nie był to bowiem człowiek trwodze podległy, ale zaniepokoiły sędzinę i starszą zameżną córkę. Sędzina na seryo usiłowała męża odwieść od

zamiaru i przytaczała liczne przykłady niepowodzeń i nieszczęść, o jakich jój kupcy i sąsiedzi nagadali. Pomiedzy temi nieszczęściami jedne z główniejszych ról grał ów szlachcic, którego wilcy zjedli. Nikt go nie znał, nikt nazwiska jego nie wymawiał, a każdy co rok powtarzał ze szczegółami historiją o zjedzeniu przez wilki szlachcica powracającego z kijowskich kontraktów. Wilki poszarpały suknie, zjadły szlachcica z kośćmi i nazwiskiem, tylko buty zostawiły. Wypadek ten, tém autentyczniejszy, że co rok się powtarzał, przejmował sędzinę trwogą o los męża.

— Nie jedź jegomość—prosiła—zrób to dla mnie...

— Dlaczego?—pytał sędzia.

— Mam jakieś niedobre przeczucie...

— Chwalić Boga, nie przeczucie to z jójmości mówi, ale gadaniny sąsiadów, którým chersońskie stepy wydają się nie do przebycia... Mówią oni o urojonych niebezpieczeństwach, zapominając, że jak kij ma dwa końce, tak wszelkie niebezpieczeństwo ma dwie strony, zwłaszcza jeżeli człowiek któremu ono zagraża ma dobrą wolę czoło mu stawić... Owóz, chwalić Boga, mam tę wolę, wesprę ją rusznicą, pi-

stoletami i szablą i jestem pewny, że będę niebezpieczniejszym niebezpieczeństwem, aniżeli niebezpieczeństwo mnie... A na dowód jak małą do tego przywiązuję wagę, wezmę z sobą Bronisję...

Bronisia była najmłodszem sęstwa dzieckiem, dziewczynką czternasty zaczynającą rok.

Sędzina należała do tego rodzaju żon, dla których rozum i wola męża największą są pod słońcem powagą. To co sędzia powiedział jej o niebezpieczeństwie, zupełnie ją uspokajało, a bardziej jeszcze to, że Bronisia będzie ojcu towarzyszyła.

Wiadomość ta wprawiła tę ostatnią w pewien rodzaj obłąkania radości. Dziewczynka nie chciała zrazu swemu szczęściu wierzyć, a uwierzywszy, nie mogła się dość naskakać, naśmiać, naśpiewać, ojcu i matce dziękować i całej służbie o podróży narozpowiadać.

— Pojadę z tatkiem!... Z tatkiem pojadę!..

Takie okrzyki brzmiały po wszystkich pokojach sabinowskiego dworu i w lot cały dwór i cała wieś dowiedzieli się, że panna Bronia jedzie z panem do Odessy.

A ponieważ o wiadomości tej dowiedzieli się cały dwór i cała wieś, nie mogła o niej nie wie-

dzieć panna Helena Zawilska, kuzynka, bawiąca u sęstwa od roku, to jest od śmierci ojca, który ją i jej posag przekazał testamentem pod opiekę sędziemu, cioteczno-rodzonemu swemu bratu. Panna Helena przyjęła tę wiadomość z pewnym zdziwieniem.

— Jedziesz z tatkiem, Bronisiu?..— zapytała z niedowierzaniem.

— Ach!.. jadę!.. — odparła zapytana, rozpromieniona wielkiem szczęściem, którego się nie spodziewała.

— Doprawdy?..

— Tatko mówił!.. jadę z tatkiem!..

Panna Helena przez chwilę się zamyśliła, milczała, głową z pewnym wymownym akcentem kiwnęła i do sędziego się udała.

— Wujaszek podobno bierze z sobą Broniszę?..

— Biore.... odparł sędzia z uśmiechem, i zanim panna Helena usta powtórnie otworzyła, zapytał:

— Może i ty masz ochotę przejechać się?..

— Właśnie przyszłam w celu poproszenia wujaszka, ażeby i mnie zabrał...

— Najchętniej... wybieraj się... za dwa tygodnie puścimy się w podróż...

Przez dwa tedy tygodnie w sabinowieckim dworze odbywało się wybieranie na wielką skalę. Bo też w owych czasach podobna podróż, przedsiębrana przez człowieka tak zamożnego jak sędzia Brodecki, była istotną pół-wojenną, na poły pokojową wyprawą. Sędzia, dla zadośćuczynienia temu ogólnie uznanemu prawidłu „strzeżonego Pan Bóg strzeże“, nie zaniedbał żadnego ze środków ostrożności. Wybrał się w drogę ludno i ostrożnie, dwoma powozami, z których jeden był poczwórnym wiedeńskim koczem, drugi krakowską bryką. Jeden i drugi zaopatrzone były w załogę, która ogółem wynosiła trzech ludzi, nie licząc w to dwóch furmanów i Herszka faktora, ani też płci niewieściej, reprezentowanej przez trzy osoby: pannę Helenę, Bronisję i Hankę służącą. Powóz wiozł całą płec niewieścią. Sędzia jechał za powozem bryką, stanowiąc tym sposobem tylną straż i zarazem rezerwę siły zbrojnej.

Uzbrojenie było obmyślane mądrze, stosownie do napadu, który mógł się odbyć albo na drodze, albo też na popasie lub noclegu. W pierwszym razie obrona zależała w części na odparciu siły siłą, w części na szybkim odjechaniu, w którym wielką rolę grała przyto-

mność umysłu woźniców. Dla téj przyczyny tym ostatnim nie dał sędzia żadnej broni, tylko nakazał im trzymać lejce krótko, uważać na drogę i prowadzić konie ostro. Siłę odporną stanowili Kozacy, obok woźniców na kozłach siedzący, uzbrojeni w pistolety, strzelby i krótkie dzidy. W drugim razie, to jest na wypadek nocnego napadu, wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem Herszka, którego odwaga była więcej niż problematyczną, powołani byli do obrony. Dlatego tak w powozie jak w bryce znajdowało się kilka sztuk zapasnej broni.

Rozporządzenie obrony stanowiło jedną z główniejszych części wybierania się w podróż. Sędzia dawał instrukcye woźnicom i Kozakom.

— Chwalić Boga—powiadał—nie spodziewam się ja, ażeby do tego przyszło... Ale kto tam może odgadnąć!.. Ludzie powiadają, że na chersońskich stepach rozbijają podróżnych, to może i rozbijają... Toż... mówił do furmanów—jeżeli by, o czém chwalić Boga wątpię, napadli na nas na drodze, pilnujcie koni i batogów. Lejce krótko, zwłaszcza od dyszlowych, w rękę trzymajcie i gdyby z przodu nie było rowu, ani zawału, ani żadnej przeszkody, puście szkapy w cwał, a gdyby była przeszkoda, trzeba ją

objechać lub nawrócić... Wy zaś — mówił do Kozaków — bierzcie na cel tego co się najbliżej przysunie, ale wara strzelać... Trzymajcie na celu i straszcie... Ci co napadają po drogach, nieradzi ginąć... Ich łatwo odstraszyć, jeżeli poznają, że zdobycz życiem trzeba opłacić... Zbój, chwalić Boga, zawsze jest tchórzem... Tylko w ostateczności strzelaj, ale cel dobrze... Bierz w pół ciała i pał...

Obok tych instrukcyj, które codziennie powtarzał w stajni o świcie, kiedy według zwyczaju gospodarstwo obchodził, doglądał na toku wyprawiania tak zwanych „wałek czumackich“, to jest partyj transportowych, wynoszących po 60 do 100 wozów. Codziennie o północy jedna wałka opuszczała Sabinów. To trwało przez dni dziesięć. Osiemset blisko wozów w dziesięciu partyach, postępujących jedna za drugą w odległości mniej więcej trzech mil, okryło trakt z Sabinowa na Olhopol, Bałtę i Ananiów do Odessy prowadzący. Był to także środek ostrożności, który podróż sędziego jaknajzupełniej zabezpieczał. Co trzy mile podróżni nasi spotkać mieli kilkudziesięciu Czumaków, których sama obecność udaremniała wszelkie pokuszenie, tak ze strony ludzi, jak wilków.

Sędzia całą tę rzecz jasno przedstawił sędzinie i uspokoił ją do tego stopnia, że z ochotą wyprawiała męża, córki i pannę Helenę, dla której *starła się* matkę zastąpić.

„Starła się“ podkreśliłem i zrobiłem to umyślnie.

Gdyby panna Helena była jedną z tych słodkich, łagodnych, niewieścich natur, potrzebujących matczynej piersi do przytulenia się i matczynego serca do wyléwania uczuć, sędziny starania zupełnym byłyby uwieńczone skutkiem. Mogłaby jéj zastąpić matkę, do pewnego przynajmniej stopnia, a tym stopniem była najlepsza ze strony sędziny wola. Lecz pannie Helenie bynajmniej o to nie chodziło. Może dlatego że matki, którą w dzieciństwie straciła, nie znała, może dlatego że nie miała w charakterze niewieściej słodyczy i téj rzewności, która urokiem świętości wyraz „matka“ otacza, udaremniała starania sędziny i zostawała z nią na stopie grzeczności i pewnej etykiety, od której zimnem wiało. Sędzina z tego sprawy sobie zdać nie umiała. Jéj się zdawało, że ona sama temu winna, że nie umie przełamać różnicy zachodzącej pomiędzy własnymi córkami a tą, która jéj macierzyństwu powierzona została. Z tego

powodu była dla tój ostatniej uprzedzającą aż do nadskakiwania, co panna Helena przyjmowała z uśmiechem wdzięczności, bardzo podobnym do tego, jakim w salonie wynagradza się podjęcie uronionėj chusteczki od nosa.

Starania sędziny uwydatniały się przy wyprawianiu. Wyprawiała córkę i pupilkę: całych więc usiłowań dokładała, ażeby względem tój ostatniej, bardziej niż względem Bronisi, okazać macierzyńską troskliwość.

A chodziło o rzecz bardzo ważną, bo o przysposobienie do wystąpienia na trochę tajemniczym, nieco zagadkowym, a z pewnością wielkim świecie, za jaki Odessa w onym czasie uchodziła — w onym czasie, w którym do nazwy tego miasta przywiązane były w świeżych wspomnieniach imponująco brzmiące nazwiska Richelieu, Langeron, de Ribas, wzięte żywcem ze świata mody i wielkiego rozgłosu. Blask tych nazwisk obléwał i Odessę urokami blasków. Chodziło więc o to, jak się w tym blasku wydadzą postacie ładyżyńskich parafianek.

Troska ta przejęła sędzinę nawskrós. Spać nie mogła, za ledwie półzębkiem jadła i wciąż po mózgu wywracały jēj koziołki różne formy staników, spódnic, mankietków, kołnierzyków,

narzutek, salop, mantyl, kapeluszy, chusteczek, stroików, nawet pończoch, nawet trzewików — a dodawszy do form rodzaje materyi i kolory, można sobie wyobrazić, co za komplikacya powstała w myśli kobiety, troskliwej o dobre zaprezentowanie panien na wielkim świecie.

Troski téj jednakże panna Helena nie podzielała. Zdawało się, jakby wielki świat był dla niej obojętnym. Kiedy jej sędzina mówiła o jakiejś części ubrania, odpowiadała:

— Dziękuję cioci, ale to niepotrzebne... ja się bez tego obejdem...

— Ależ przecie jedziesz do Odessy... na wielki świat...

Panna Helena uśmiechała się jakimś tęskliwo-pogardliwym uśmiechem i lekko ramionami wzruszała.

— Tyle tam cudzoziemców! — ciągnęła sędzina. Będą cię oglądać od stóp do głowy na spacerach, koncertach, w teatrze... Trzeba, moje dziecko, o tém pamiętać... i starać się nie narazić na śmiech ludzki...

— Cóż mnie tam śmiech ludzki obchodzi... I ja potrafię się śmiać z tych co mnie wysmieją...

— Moja Helenko!.. tobie tak mało o świat chodzi; to źle, moje dziecko...

— Moja ciociu!..

— To źle, moje dziecko... Mówię ci to jak matka... Świat jest sędzią naszego postępowania i ten sędzia chłoszcze zarówno śmieszności i występki... Potrzeba więc chłosty jego unikać, bo on nie zadaje sobie pracy odróżniania tego co naganne, od tego co tylko śmieszne...

— Moja ciociu—podniesionym trochę głosem odparła panna Helena—ja (to „ja“ dobitnie w jej ustach zabrzmiało) bardzo cioci dziękuję za naukę, ale...

Tu ucięła, jakby się w język ugryzła.

Sędzinie lekko krew do głowy uderzyła.

— Nie bierz mi moich słów za złe, moja Helenko... Może się one tobie nie podobały... Jeżeli tak jest, to cię przeproszam i o tem cię tylko zapewniam, że wszystko co ci mówię, mówię jak do mojej rodzonej córki...

— Ja (znów w tem „ja“ dał się słyszeć szczególny jakiś akcent) też jak córka przyjmuję wszystko co ciocia mówi... odrzekła panna Helena i pocałowała w rękę sędzinę, której łzy do oczu nabiegły, a przez łzy przebił się uśmiech prawdziwie macierzyński.

— Mnie o to tylko chodzi, żebyś ty w Odesie ludzi zachwyciła...

Panna Helena uśmiechnęła się i zrobiła usteczkami to poruszenie, które na ustach kobiety taką ma siłę niemiej wymowy i z którego można różne rzeczy wyczytać. Uśmiech panny Heleny, w połączeniu z ust poruszeniem, mówił:

— Niech się ciocia o mnie nie troszczy... Jakoś to tam będzie...

Sędzina to zrozumiała. Podobała się jej pewność siebie jaką jej pupilka okazywała. I była tém dumna jak rodzona matka, którą chlubą napawa myśl, że córka jej ma pewność zagaszenia wszystkich piękności, jak słońce gasi gwiazdy. Wielką w tém rolę gra próżność, ale — niechże kto na próżność, zwłaszcza matczyną, sposób jaki wynajdzie!.. Sędzina, myśląc o Helenie, mówiła do siebie:

— Ona sobie tam da radę...

Niemniej przeto z zapobiegliwą drobiazgowością wglądała we wszystko, w czém w Odesie wystąpić miała.

O Bronię nie tyle się troszczyła, bo to było dziecko. Zato Bronisia sama, więcej niż Helena, troszczyła się o siebie.

Nie mam potrzeby wspominać o tém, że gdy

przyszedł dzień wyjazdu, wszystko było gotowe, poprane i poprasowane tak, jak nie potrafi żadna paryzka praczka, złożone w walizach, tłumokach, pudłach, pudełkach i pudełeczkach, w zawiniątkach i siatkach i pod ścisłym rachunkiem Hance do rąk oddane.

Z chwili wyjazdu skorzystam, dla poznamienia czytelnika z powierzchownością panny Heleny.

Każdy z czytelników spotkać musiał w swoim życiu kobietę, która mu się podobała, pomimo że nie była skończenie piękną. Więcej powiem: zdarzają się kobiety wcale nie piękne, które mają w swojej postaci jakiś urok, sprawiający że się podobają ogólnie.

Panna Helena posiadała ten urok. Miała w sobie coś, czego wyrazić nie sposób, a co na płęć męzką działało pociągająco.

Od ogólników do szczegółów schodząc, powiedzieć muszę, że była to panna w pełnym rozwoju. Liczyła w onym czasie dwadzieścia trzy lat skończonych i lata były na niej widne, nie tak jednakże, ażeby miały na jej niekorzyść przemawiać, ażeby patrzących na nią pobudzać miały do ciekawości dowiadywania się o jej wiek — ciekawości będącej w pewnych razach

obelgą dla kobiety. Od tego rodzaju obelgi była panna Helena zagwarantowana, a gwarancją stanowił właśnie ten urok, o którym wyżej wspomniałem. Komu na myśl przychodzi rozkwitłej róży pytać o dobę jej życia?

Panna Helena przypominała różę, pomimo że róże nie kwitły na jej licach trochę śniadych, niby przyćmionych przejrzystą a przytęm pełną tajemniczości powłoką, przez którą przebijał się cień czerstwego rumieńca i nadawał twarzy jakiś wyraz posągowy, brązowy, jakby twarz ta sformowała się w ogniu. Do tego dodawszy lekko zadarty, zgrabny nosek, karminowe, trochę przyduże usta, perłowej białości zęby, kształtne, chociaż niewielkie czoło, duże, czarne oczy, bujne, czarne warkocze, bogato rozwinięty biust, wysmukłą kibić, małą rączkę, małą nóżkę i średni, doskonale harmonizujący z rozmiarami wszystkich kształtów wzrost, — będziemy mieli dokładny panny Heleny rysopis, któremu brak jednej tylko rzeczy: oddania słowami ludzkiego języka, nieludzkiego jakiegoś wyrazu co bił z jej postaci. Czarne oczy mimowolnie przypominały owę bezdenną otchłań, nad którą człowiek gdy stanie, to mu się w gowie zawraca. I zaiste, te oczy zawraca-

ły głowy pocziwym okolicznym szlachcicom, z których niejeden z całą ochotą i gotowością byłby poszedł pod małżeński synowicy sędziego pantofel. Lecz panna Helena... ale o tem potém. Wracajmy do opowiadania.

Prześlicznym wrześnieowym porankiem zatoczył się przed ganek sabinowieckiego dworu pojazd opakowany i ciągniony przez cztery szpakowate, dzielne, w poręcze zaprzężone konie, które prowadził okryty szronem siwizny, a w sztuce furmańskiej wydoskonalony Tomasz. Równocześnie z zatoczeniem się powozu, wysypało się na ganek grono naszych podróżnych, wyprowadzone przez żegnających domowników. Obok otwartych drzwiczek powozu i spuszczo-nych stopni stał Prochor Kozak, z seledcem za uchem i pistoletami za pasem; obok ganku, w pewnym oddaleniu, Herszko faktor.

Stało tam dużo ludzi — ekonomowie, gumien- ni, leśniczy, cała prawie ekonomiczna i dwor- ska służba — ale z pomiędzy nich wszystkich wymieniam Prochora i Herszka dlatego, że kiedy inni żegnali się z sędzią i życzenia szczę- śliwej podróży pannom wynurzali, ci dwaj ni- by w tęczę, niby w cudowny obraz, wpatrzyli się w pannę Helene.

I było się w co, zaiste, wpatrywać. Muszlinkowy, niewyraźnego jakiegoś koloru podróżny szlafroczek okrywał jęj kibić. Szlafroczek był z przodu otwarty i w pasie związany od niechcienia szmuklerskiej roboty białym jedwabnym sznurem, którego kutasy gubiły się w fałdach jak śnieg białej, suto haftowanej spódnicy. Ramiona i gors przeglądały przez mgłę muszlinu, ocienionego szerokimi kryzami ryżowego *à la bergère* kapelusza, na którym pływał puszystym obłokiem lekki welon. Szyję obwijały kilkakrotnie grube czerwone korale. W tym stroju była zachwycająca. Gdyby ją był widział jaki malarz i wiernie na płótno przeniósł cały urok tej postaci w podróż wybranęj, byłby się z pewnością wsławił. Nic przeto niema w tém dziwnego, że wpatrywali się w nią Prochor i Herszko. Snadź poczucie estetyczne rozwiniętem było w nich bardziej, niż we wszystkich sędziego domownikach.

Sędzina uścisnęła kolejno i pobłogosławiła na podróż pannę Helenę i Bronisję, pocałowała w głowę i pobłogosławiła Hankę i jedna podругiej podróżnice nasze wskoczyły do powozu.

Kiedy panna Helena stanęła jedną nogą na stopniu i oparła się ręką o rękę Prochora, te-

mu ostatniemu wzrok niby promieniami strze-
lił, a kiedy weszła do wnętrza powozu, pierś
kozacza westchnieniem się podniosła. To spoj-
rzenie i to westchnienie wywołane zostało za-
pewne z głębi estetycznego uczucia, które mu
także, po ulokowaniu się na przodzie Hanki,
kazało jeszcze raz w głąb powozu spojrzeć, je-
szcze raz westchnąć i zwłóczyć z odejściem od
zamkniętych drzwiczek do tego stopnia, że aż
sędzia musiał na niego zawołać:

— Czegóż tam marudzisz?..

Niby ze snu tém wołaniem ockniony, posko-
czył i usiadł obok Tomasza. Ten ostatni sil-
ną pierśią, bez poruszenia bicia, huknął z fur-
mańskim przyciskiem:

— Wio... ha ho!..

W téj chwili ośm postronków razem nacią-
gnęło się jak struny i powóz sunął z miejsca,
rzęśistym uniesiony kłusem.

W téj chwili Herszko westchnął, w zamy-
śleniu, niby zafrasowany, poprawił jarmułki
i począł gładzić bródę i pejsy.

Z kolei przed ganek zatoczyła się bryka.

Sędzina długim uściskiem i trochę łzami po-
żegnała sędziego. Służba w pas mu się kła-
niała i szczęśliwej drogi życzyła. Sędzia wsiadł

do bryki i czekał na Herszka, który wciąż myślał i brodę gładził i ani się ruszał z miejsca z jakiego przed chwilą wpatrywał się w smukłą postać panny Zawilskiej. On wciąż jeszcze wpatrywał się, jak gdyby po tej postaci, na opróżnioném miejscu, pozostał jej cień. O, w tym Herszku poczucie estetyczne w wysokim musiało być rozwinięte stopniu! I kto wie jak długo jeszcze byłby stał i pejsy pieścił, gdyby z zamyślenia nie wyrwało go wołanie sędziego — Czegóż tam marudzisz?..

Poskoczył Herszko, lecz zamiast do bryki, rzucił się w tłum zegnających i znalazł się pomiędzy służbą ekonomiczną. Naraz obiły się o jego uszy wyrazy:

— Oko rodzenków... pół oka migdałów... muszkatelowe gałki... imbir... trzy oka dobrej kawy... gwoździki... cynamon... bobkowe liście... turecki tytuń... antypka...

Wyrazy te poszeptem ze wszystkich sunęstron. Były to sprawunki, któremi ekonomiczne, pisarzowe, rachmistrzowa i leśniczyna, ekonomi, pisarze, rachmistrz i leśniczy Herszka obarczali.

Przez chwilę Herszko był jak człowiek w gęstym lesie ścieżki do wyjścia pospiesznie szu-

kający. Lecz wprędoe się opamiętał. Skłonił się nisko sędzinie, pożegnał ekonomów, pisarzy, rachmistrza i leśniczego i ze szczególną zgrabnością wdrapawszy się na wysoki półdrabek bryki, znikł w jej głębokości. Ostap, furmanujący przy drugiej czwórce, zawołał: „wio ho!” — i bryka sunęła, wyciągniętym unoszona kłusem.

Za bryką, jak za powozem, pociągnął się tuman kurzawy i poleciały chórem życzenia domowników:

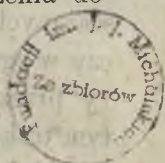
— Szczęśliwej drogi!..

Sędzina drogę krzyżem przeżegnała.

II.

Wielką czuje ochotę powiedzieć wam, łaskawi czytelnicy, jak to w owych czasach podróżowano. Ta ochota pochodzi z zamięłowania do przeszłości. Przeszłość to wprawdzie niezbyt dawna;—jednakże... już przeszłość, o której starzy ludzie opowiadają nam dziwna.

Jak wiecie, w tej tak niedawnej przeszłości nikomu ani śniło się jeszcze o kolejach żelaznych, ani nawet (to się szczególnie do ładyżyńskiej odnosi okolicy) o dylizansach, a zatem o hotelach i tém mniej o tém, ażeby człowiek porządny, pojmujący dokładnie znaczenie go-



dnosci osobistej, mógł się obejść w podróży bez własnej pościeli, bez dostatecznej prowizyi, bez lokajów, kucharzy, panien służących i tym podobnych wygód, które dziś za pieniądze, na każdym niemal skrawku drogi, w jaknajlepszym napotkać można gatunku. Nie mówię ja tego o ładyżyńskiej okolicy, gdzie i dziś jeszcze nieogłędny wędrowiec może się znaleźć w smutnej ostateczności przepędzenia dnia całego z postem, lub nawet z suchotami, we własnej, w swoich służących i koni osobach. Odnosi się to do rzeczy w ogóle, a mianowicie do tego traktu, który przez Bałtę do Odessy prowadzi. Dziś na tym trakcie są przecie gospody, budowane w takich odstępach, że się jedzie z noclegu na popas i z popasu na nocleg, z tem wypadkowym tylko sposobem niesprawdzającym się przypuszczeniem, że na każdym popasie i noclegu znajdzie człowiek jaki taki posiłek. Nie dostanie bifszyku *à l'anglaise*, ani *roti saignant*, ale chleba, séra, mléka, jaj, kur, a niekiedy nawet niedojadek jakiejś zagadkowej potrawy, wybornej jeżeli się jest bardzo głodnym.

Tak się dzieje dziś; ale dawniej działało się inaczej. Do Bałty dojeżdżało się jako tako. W Obodówce, Czeczelniku, Olhopolu były kar-

czmy z zajazdami, a w nich dostać można było owsa i siana dla koni i niekiedy faszerowanego szczupaka, tradycyjnie smakującego szlacheckim podniebieniem. Lecz na Bałcie zatrzymywały się wygodny. W Ananiowie, kiedy we dwadzieścia dwa lata po naszych podróżnych przez to miasto przejeżdżałem i zgłodniały domagałem się posiłku od córki Izraela, zamiast jedzenia, dostałem morały.

— Dajcie mi co jeść, gospośiu... proszę grzecznie.

— Cóż ja dam, kiedy nic niema... była odpowiedź.

— Ale czemuż niema?.. nalegałem, chcąc głód wynagrodzić sobie dowiedzeniem się przyczyny. Lecz następujące otrzymałem wyjaśnienie:

— Wam bo się chce zaraz o wszystkim wiedzieć... Jak o wszystkim będziecie wiedzieli, to prędko posiwiejecie... Na co wam to się zdało?.. Taki młody panicz jak posiwieje, tego panny nie zechcą kochać...

Musiałem rad nierad poprzestać na nadziei panińskiego kochania.

Tak było przed laty dwudziestu. Cóż dopiero przed blisko półwiekiem! Prawda, że w owym czasie miało się pewne dogodności, które obe-

nie znikły, pod naciskiem prawa własności. Podróżni byli współposiadaczami stepów, po których wałęsały się jeszcze stada dzikich koni. A jak dzikim koniom wolno się było paść gdzie im się podobało, tak i wędrowcom wolno było rozbijać namioty i puszczać na paszę woły lub konie i nikt nie upominał się o grosz od głowy. Karczem od Anapiowa do Sewerynowki wcale nie było—a to przecie przestrzeń wynosząca sto dziesięć wiorst, czyli przeszło piętnaście mil — przestrzeń której jednym tchem ani jednym dniem niesposób przebyć. Na pocztowym trakcie, a takim był właśnie ten którym sędzia jechał, były pocztowe stacye i przy nich szynki, nie posiadające nic, wyjąwszy najobrzydliwszej wódki, a mieszczące się bądź w oczerecianych budach, bądź w ziemiankach, mających kształt piwnic, od których wilgoć, zaduch i robactwo odstraszały najodważniejszych i najbardziej schronienia potrzebujących. Stokroć wygodniej było na otwartem powietrzu stawić czoło niepogodom, niż chronić się w tych norach, w których jednakże mieszkali ludzie.

Ludzie?.. W tém miejscu mógłbym szeroko rozpisać się nad znaczeniem tego wyrazu i do-

wieść, jeżeli nie czego innego, to tego przynajmniej, że rodzaj ludzki dzieli się na mnóstwo podrodzajów, pomiędzy którymi jest jeden kochający się w podziemnych norach, w dusznej atmosferze, w pełzających po ścianach prusakach, szczy pawkach, stonogach i różnych innych wielonożnych stworzeniach, rozmiłowanych w towarzystwie tego stworzenia, które ma pretensją do królowania w naturze.

Nasi podróżni nie należeli do tego rodzaju i dlatego, nie spuszczać się na szynki, wybrali się zaopatrzeni we wszystko, nawet w mieszkanie, które przywiązane do bryki, jechało w postaci namiotu. Sędzia był człowiekiem przewidującym i doświadczonym. Sama myśl podróży przez stepy nasunęła mu potrzebę namiotu.

Wzięcie namiotu było zapowiednią przygodą, a myśl o przygodach niezmiernie podobała się Bronisi. Dziewczynka nie umiała jej ukryć. Pożerała ją nieopisana jakaś ciekawość, połączona z pewnym rodzajem strachu, podobnego do tego, który człowiekowi przesądnemu stawia przed oczy widma i upiory. Boi się—drży na samo o nich wspomnienie,—a pomimo to radby zejść się z niemi oko w oko. Podobnie

i Bronisi młodziuchna i dlatego nadzwyczajnie żywa wyobraźnia, tworzyła przygody, których się lękała, lecz do których z całego wzdychała serca.

Ale jakby na złość młodej marzycielce, podróż odbyła się bardzo spokojnie i regularnie. Sędzia jechał po gospodarsku, jak się mówi z zakładem, robiąc po 50 do 60 wiorst na dzień, rano z noclegu ruszając i wcześniej na nocleg przyjeżdżając. Pierwszy nocleg wypadł w Czezelniku, drugi w Bałcie. W Bałcie zrobił dniówkę, a to dlatego, ażeby odświeżyć siłę i rzeźkość koni do przejazdu przez tajemnicze stepy, przez które chciał w dwóch dniach uskutecznić przeprawę, nocując raz gdzie wypadnie, a drugi raz w Sewerynowce, o trzydzieści kilka wiorst od Odessy. Do dniówki w Bałcie powodem także był szabas. Herszko w szabas nie mógłby jechać.

Sobota zeszła naszym podróżnym dość nudnie. Sędzia miał jakiś interes w sądach, więc cały prawie dzień spędził nie razem z towarzyszkami. Panny przechadzały się z izby na podsień i z podsieni do izby, wyglądając na ulicę, na której prócz Żydówek w świątecznych strojach i Żydów w racimorowych kaftanach i szabaso-

wych czapkach, nic nie było do widzenia. W piątek wieczorem można było przynajmniej przypatrywać się illuminacyi i przysłuchiwać śpiewom, nie harmonijnym, nie melodyjnym, a jednakże mającym właściwy sobie modlitewny charakter. Wsłuchanie się w ten niesforny chór, coraz głośniejszy i coraz mocniejszy — odkrywa w nim jakąś smętną melodyą, dzwoniącą niby rozpaczy echo, wylęte na gruzach Jerozolimy i wlokące się jednym ciągiem z odległej przeszłości przez upłynione wieki. W sobotę chór ten ześrodkował się w bożnicy, a na ulicach było cicho, świątecznie.

Nie wiem jak dalece śpiew żydowski zajmował naszych podróżników. Zdaje się, że wcale nie zajmował. Sędzia zajął się interesem, Bronisia marzyła o przygodach, panna Helena nosiła się z jakąś książką, którą niby czytała, lecz z takim roztargnieniem, że i ją można było o marzycielstwo posądzić. „Posądzić“ powiadam, bo nie objawiała go wyrazami — strofowała młodą swoje kuzynkę, ile razy ta puszczała cugle wyobraźni i mówiła o tém, co to stać się może.

— Dałabyś temu pokój!.. Nic się nie stanie... Zajedziemy z Bałty do Odessy, jak zaję-

chaliśmy z Sabinowa do Bałty, i tak samo powrócimy...

Ta jednakże rozsądna perswazyja nie zaspokajała dziewczynki. Bronisia przypuszczenia swoje udzielała Hance, a ta ostatnia dzieliła się niemi z całą służbą, która się z nich śmiała, wyjąwszy dwóch osób: Prochora i Herszka. Pierwszy pragnął przygód i na ich myśl czuł w sobie jakiś ogień, jakieś świerzbienie dłoni.

— Trzysta diabłów!.. mówił — gdybyżto...

I dłoń w kułak zaciskał, jakby do walki się gotował, a w myśli wyskakiwała mu postać panny Heleny, uśmiechająca się do niego uśmiechem który powiadał:

— Dziękuję ci, Prochorze... tyś mnie uratował...

Herszko drżał na samo przypuszczenie jakiegoś wypadku — drżał, ale nie o siebie. Dla odwrócenia wszelakiej przygody, w piątek wieczorem i w sobotę w bożnicy modlił się szczerze, długo i głośno. Wołanie jego do Jehowy pokrywało cały chór. Okrzyk „adinoi!“ lał się z piersi kaskadą tonów, silnych, przeciągłych, gwałtownych, aż twarz Herszka krwią nabiegała, aż szyby w oknach brzęczały. Modlił się on niby za siebie, za izraelski naród — bo za

cóż innego modlić się mógł potomek Izraela;—
 lecz cała intencya tej modlitwy zlewała się na
 jednego z gojów, na czarnooką chrześcijańską
 dziewicę, do której Herszko czuł takie głębokie
 przywiązanie, że radby jęj całe życie służyć
 wiernie.

Herszko był doskonałym faktorem, dlatego
 że czuł przywiązanie do panny Heleny, której
 usłużyć było dla niego największym szczęściem.

Usługi jego na różne dzieliły się rodzaje.
 Gdy trzeba było co kupić, to on kupił najtę-
 piej i najtanięj; gdy trzeba było czego wyszu-
 kać, to on wyszukał—o czém się dowiedziéć,
 on się dowiedział i miał przytém dla panny
 Heleny zawsze w pogotowiu zapas różnych cie-
 kawych wiadomości, które z bierał skrzętnie, jak
 pszczoła miód. Gdy panna Helena zapytała:

— Co tam słyhać, Herszku?

Herszko nigdy nie odpowiedział:

— Nic nie słyhać...

Zawsze miał do opowiedzenia dużo szczegó-
 łów o paniach, pannach, panach i kawalerach
 z okolicy. I nie opowiadał nikomu, tylko pan-
 nie Helenie, a przynajmniej nikomu z taką
 ochotą—słowem był jęj gazeta, znającą na wy-
 lot jęj gusta i fantazyje.

Trzeba było widzieć, jaką on w obec panny Heleny przybierał postawę! Wyras twarzy mu się zmieniał, oczy łagodniały, muszkuły stawały się ruchliwe—gotów był na jej skinienie skoczyć choćby w wodę, do której wrodzony czuł wstręt.

W ciągu podróży, na każdym popasie i noclegu, stawał przed nią w postawie jakby do zdawania sprawy z zasięgniętych na drodze wiadomości, lecz zawsze napróżno. Panna Helena była zamyślona i nie ciekawa. Herszko odchodził z kwitkiem i ze spuszczoneym na kwintę nosem.

W Bałcie kilkakrotnie zabięrał takie stanowisko, ażeby zwrócić na siebie uwagę panny Heleny. Szabas nie zabrania udzielania wiadomości. Lecz panna Helena dopiero w sobotę nad wieczorem zapytała:

— Cóż tam słychać, Herszku?..

Herszko aż cmoknął z radości i natychmiast odrzekł:

— Jutro w Bałcie będzie wiele do widzenia... Będzie przejeżdżało tędy bardzo wielkie państwo, dla których kazali wszystkie domy pobielić, wszystkie ulice pozamiatać i drogi ponaprawiać...

— Cóż to za państwo?..

— Jakiś bardzo wielki książę, mało że nie król, a z nim generałowie, pułkownicy i najwięksi urzędnicy, więksi od samego gubernatora... Jada do Odessy... Gdybyśmy jutro jeszcze zaczęli w Bałcie, toby pannunia widzieli wielką paradę...

Panna Helena nic na to nie odpowiedziała, tylko zaczęła się bawić kutasikiem, którym wywijała w powietrzu i od którego jedwabny sznurerek okręcała sobie około paluszka prawej ręki. I odeszła. Herszko westchnął, bo miał jeszcze kilka wiadomości, które z kolei chciał wypowiedzieć.

I już go więcej nie pytała panna Helena: „co tam słyhać?“ On nie był natrętny, ale mu przykro było, gdy nie mógł z nią mówić i stojąc przed nią czuć na sobie ciepło palącego jej wzroku. Tym razem udzielił jej jednej tylko wiadomości, którą ona przyjęła z nieuwagą i od niechcienia i więcej słuchać nie chciała.

A przecież ta wiadomość zafrapowała ją bardziej, niż tysiące innych, które poprzednio o jej uszy się obijały.

Bo i ona marzyła, ale dla samej siebie. Dziewiczymi swojemi marzeniami nie dzieliła się

z nikim, jak skąpiec skarbami. Taiła je w sobie, bo były one nimbem, który jej osobę blaskiem otaczał. Nie chciała więc odsłonięciem tego blasku razić wzroku innych, a raczej była przekonana, że jej nikt z otaczających nie potrafiłby zrozumieć. Wyraźnie powiedziawszy: miała się za istotę wyższą.

Na czemże ta wyższość zależała?

Zeby długimi wywodami nie nudzić czytelnika, powiem krótko: na niepomiarowanej ambicyi.

Panna Helena miała się za istotę wyższą dlatego tylko, że wysoko patrzała, że poziom na którym się urodziła, wychowała i żyła, wydawał się jej zbyt poziomym, zbyt blizkim ziemi. Chciało się jej stanąć na takim szczeblu, z któregoby mogła na szlachecki świat patrzeć z góry, na powiatowych i gubernskich dygnitarzy, panoszących się tytułami sędziów, prezesów i marszałków, przez ramię, na ich żony i córki jak na śmieszne czupiradła. Słusznie przeto była tego przekonania, że jej nikt nie rozumiał.

Zachodziło jednakże ważne jedno pytanie: o co marzenia tego rodzaju zaczepić? jaki im dać punkt oparcia? jaki wytknąć cel?

Panna Helena nie umiała na to pytanie sobie odpowiedzieć. Wiedziała wyraźnie i dokładnie czego nie chciała; lecz to co chciała, do czego rwała się jej dusza, nie posiadało jeszcze kształtów dotykalnych. Często wymawiała Opatrzności, że jej mężczyzną nie stworzyła.

— Samą siłą woli, którą w sobie czuję, stanęłabym na wyżynie społecznej...

Kobięcość jej ciążyła. Gnięwało ją, że się musiała na czyjś ramieniu wesprzeć, że chcąc błyszczyć, trzeba było blasku pożyczyć—słowem, że trzeba było za odpowiednim oglądać się mężem. Onaby wołała bez męża się obejść. Gnięwała się więc na społeczny porządek, na niewolnictwo płci niewieściej; lecz nie była w stanie zaradzić złemu i jedyny sposób wyjścia z tego niedogodnego położenia upatrywała w przypadku. Po nim spodziewała się, że zeszle jej męża, na którego ramieniu wsparłszy się, będzie szła wyżej, coraz wyżej, aż znajdzie tak wysoko, że otaczająca ją teraz sfera u nóg jej się położy. Ten mąż był przedmiotem jej rojeń.

To też kiedy Herszko powiedział jej o jakimś wielkiem państwie, mającém przez Bał-

tę przejeżdżać i odbierać w przejeździe hołdy, dusza jęj, niby ptak do słońca, odrazu do tego wielkiego państwa skoczyła. Nawijając kutasik około palca, coraz szybciej i szybciej chodziła po izbie zajezdnego domu i w duchu tytułowała siebie księżną, generałową, pułkownikową. Kiedy schodziła do pułkownikowej, to na to tylko, ażeby awansować na generałową i księżnę. Pozwalała nawet na to, ażeby na początek zostać majorową, jednakże pod warunkiem szybkiego awansu.

Te wszakże rojenia, aczkolwiek zajmujące i świetne, rozбивały się o jeden szkopuł, a tym szkopułem była: nieprzystępność, za którą całą odpowiedzialność zwała na sferę w jaką ją los rzucił.

— Gdyby nie to—mówiła do siebie—mógłby mnie ktoś widzieć, mogłabym się komuś podobać...

Ten „ktoś“ i ten „komuś,“ byli to tym razem major, pułkownik, generał, książę, których przejazd przez Bałtę zwiastował Herszko.

O jakże panna Helena radaby była przez niedzielę jeszcze w Bałcie zabawić!

Już to życzenie sformułowało się było w jęj myśli jako zamiar, do uskutecznienia którego

pozostawało tylko zachorować na silny ból głowy; lecz:

— Cóż z tego—pomyślała—jeżeli przez niedzielę w Bałcie zabawimy... Czy to mnie zbliży do nich, albo ich do mnie?.. Przejadą, nie wiedząc wcale, że jakiś sędzia z jakąś swoją kuzynką istnieją na świecie...

I prędkiej poczęła chodzić po izbie, a wzrok jej sypał iskry gniewu.

— Mój Boże, jak też my przez ten step przejedziemy!.. odezwała się w tej chwili Bronisia.

— Dajże pokój tej swojej obawie!.. rzekła z niecierpliwością panna Helena. Zbyt spokojny pędzimy żywot, ażeby nas co nadzwyczajnego spotkać miało...

Ostatni frazes odnosił się nie do przewidywanych przez Bronisję przygód, ale do tajemniczych panny Heleny pragnień, które, błędząc zrazu wśród mnóstwa przypuszczeń, zatrzymały się w końcu na Odessie i uczepiły się jej, jak deski zbawienia. Spacery, teatr, koncerta, wizyty, bale, złote szlify i akselbanty, dzwoniące szable, brzęczące ostrogi, pochylające się z wiatrem kity, świetne mundury migwały przed jej oczami w perspektywie, układającej się

w cudny, czarującej piękności obraz, będący nie czém innem, tylko piedestałem, na którym wznosiła się jej własna postać.

Ten obraz musiał jej wielką sprawiać przyjemność, bo twarz jej promieniała uśmiechem, bo w końcu powiedziała sobie tonem nieodwołalnego postanowienia:

— Z Odessy nie wyjadę panna Heleną Zawilską.

Pozostawało postanowienie to wykonać. W tym względzie nie miała żadnego planu, a ile razy to jej na myśl przychodziło, tyle razy mimowolnie przed zwierciadłem się zatrzymywała, zapytując go niejako o radę. Lecz odpowiedź najgorzej wypadła. Wiadomo bowiem jakie to zwierciadła ozdabiają gościnne w żydowskich zajazdach pokoje. To którego się panna Helena radziła, odbijało jej szykowną, kształtną postać w najokropniejszym pokrzywieniu. To ją niecierpliwiło.

— Wię wujaszek—rzekła do sędziego, który nad wieczorem powrócił z miasta—że gdybym mogła, dałabym surowy zakaz fabrykom wyrabiania podobnych zwierciadeł. Toż to jest występkiem tak ludzi okłamywać!

— Jest na to sposób—odparł sędzia—aby się nie dać okłamać...

— Jaki?.. podchwyciła panna Helena.

— Bardzo, chwalić Boga, prosty: w zwierciadło się nie patrzeć...

Panna Helena ściągnęła usteczka i lekko ramionami ruszyła.

— Nie wie wujaszek, kto to jutro przez Bałtę będzie przejeżdżał?

— Książę NN z liczną świtą. Wszystkie konie na poczcie zamówione, a miasto przygotowuje świetne przyjęcie. Na rogatce przez którąśmy wjechali, budują, słyszę, na łeb na szyję tryumfalną bramę.

Bronisia się zaciekawiała i na ojca szeroko otwartymi wypatrzyła się oczętami. Panna Helena westchnęła.

— Szkoda że nie będziemy temu przyjęciu asystowali...

Sędzia machnął ręką i w rodzaju komentara odrzekł:

— Już kilka wałek czeka na mnie pod Odesą. Trzeba się spieszyć, sprzedać dobrze pszenicę i powracać jaknajprędzej do Sabinowa...

Ostatnie wyrazy, jak fałszywa nuta, przykro w uchu panny Heleny zabrzmiały. Ona już nigdy nie chciałaby do Sabinowa powrócić.

Sędzia w dobrym był humorze. Snadź inte-

resa jakie miał w Bałcie, pomyslny obrót wzięły. Więc rozparty na kanapie, otaczając się dymem doskonałego tureckiego tytoniu, który do ust jego dostawał się przez długi cybuch i gruby bursztyn, tak prawił dalej:

— Jeżeli pan Bóg pomoże dobrze sprzedać pszenicę i szczęśliwie powrócić, to w zapusty sprosimy sąsiadów, sprowadzę z Humania muzykę i będziemy całą dobę do upadłego tańczyli...

Bronisia usiadła obok ojca i z uśmiechem radości w oczu mu patrzała. Panna Helena z humorem odparła:

— Wujaszek zaledwie wyjechał, a już o powrocie myśli...

— Myślałem o powrocie, nim jeszcze wyjechałem...

— Czy się wujaszek nie dosyć w Sabinowie namieszkął?...

— Dlatego też do mego gniazda, chwalić Boga, przywiązałem się... ale nie o to tu chodzi... Chciałbym pospieszyć z powrotem, bo tam nas wyglądają z wielką niecierpliwością...

— Ciocia?.. podchwyciła Panna Helena.

— Nietylko ciocia... odparł sędzia, przyrmrużając oko i mrugając znacząco brwiami, nadawszy twarzy wyraz filuterny, taki jaki się

zazwyczaj w obec panien na wydaniu przybię-
ra.—Nietylko ciocia... I ciocia i jeszcze ktoś...
Panna Helena może się domyśla, kto to taki.

— Wujaszek myśli o panu Ignacym?..

— A gdyby?.

— Ja o nim bynajmniej nie myślę...

— To może o panu Franciszku?

— Ani o tym...

— Ani o Stasiu?...

Panna Helena głośno na to ostatnie imię się
roześmiała.

— Jak panowie Ignacy, Franciszek i Stani-
sław staną rzędem przed panną Heleną i po-
wiedzą: księżniczko, wybieraj jednego z nas...
to przecie panna Helena wybierze, a stary wuj
sprawi w zapusty weselisko... Dlatego, gdy do
Odessy przyjedziemy, radzę ci, nie tracąc cza-
su, zająć się skupowaniem potrzebnych do wy-
prawy gałganków...

— Nic z tego nie będzie... podchwyciła
panna Helena.

— Tak mówią wszystkie panny na wyda-
niu, a przecież każda idzie za męż...

— Gdybym chciała, mogłabym wyjść już
oddawna, nie czekając na wiernego pana Igna-
cego, ani na stałego pana Franciszka, ani na

czułego Stasia, których wierność, stałość i czułość szczególną siłę atrakcyi w moim posagu znajdują...

Ostatnie te frazesa wymówiła delikatnym tonem ironii, który sędziemu chmurkę niezadowolonia przez twarz przesunął i takie mu w usta włożył wyrazy:

— Niedobrze to, moja Helenko, że tak czarno na świat się zapatrujesz i z góry każdego kawalera o spekulowanie na swój posag posądzasz... Twój posag jest znaczny... dwakroć sto tysięcy złotych... ale i pan Ignacy i pan Franciszek i Stanisław posiadają majątki tę summę przewyższające... Pan Ignacy ma wieś dobrze zagospodarowaną, bez długów, której wartość jest pół miliona... Pan Franciszek...

— Mój wujaszku — przerwała panna Helena — nie chcę ja ani ich, ani ich majątków: niechże oni ani mnie, ani mego posagu nie pragną... Nie chcę być panią Ignacową, Franciszkową, Stasiową, Jasiową, Pawłową, choćby mi przyszło nigdy za męża nie wyjść...

Sędzia naciągnął w piersi dużo dymu i silnie wyparł go z ust, niby z komina, maskując tym sposobem wydzierające się mu mimowolnie westchnienie. Po tym manewrze zamilkł i spo-

kojnie fajkę dopalał. Panna Helena usiadła przy oknie i przez niezbyt czyste szyby przypatrywała się stojącemu przed domem Herszkowi, który, ujrzawszy ją, wciąż okiem w okno niby od niechcienia rzucał, oczekując aza-li „pannuńcia“ nie zażąda od niego jakiej usługi. Zmrok wieczorny coraz bardziej się wzmacniał. Prochor wniósł świecę, a wkrótce potem szypiący i parą buchający samowar, a po samowarze tacę z filiżankami, szklankami, bułeczkami, obwarzankami, mlekiem, masłem i wszystkimi dodatkami, używanymi przy konsumowaniu chińskiego nektaru, przy którym funkcją Heby pełniła panna Helena, wywiązując się z niej z gracyą Hebie właściwą. Herbata przerwała smutne nieco myśli, jakie do głowy sędziego odpowiedź jego wychowanki napędziła. Jedząc i pijąc, a następnie pijąc i fajkę paląc, powrócił do dobrego humoru i, jakby lękając się już Heleny, zawiązał rozmowę z Bronisią.

— Cobyś na to powiedziała, gdybyśmy z Bałty wrócili do Sabinowa?..

— To być nie może... odparło dziewczę pośpiesznie.

— Dlaczego?..

— Dlatego, że tatko nie sprzedał pszenicy.

— Mogę sprzedać w Bałcie... Tu są kupcy bardzo bogaci, którzy mi korzystne robią propozycje...

— Ale w Odessie zrobią korzystniejsze... podchwyciła panienka z pewnym rodzajem niepokoju.

— Kto wie?.. odrzekł sędzia, przybierając minę seryo.

— Z pewnością korzystniejsze... Przecież Odessa takie wielkie i takie handlowe miasto...

— Powiedz raczej: przecież mnie tak się chce widzieć Odessę...

— Nie to, tatko, ale...

I zająknęła się, bo nie umiała znaleźć przyczyny, któraby jako niezbity posłużyła dowód, że nie własną ciekawość, lecz ojcowskie ma na widoku interesa.

— Gdybyśmy powrócili, co to za radość byłaby dla mamy, która w niespokoju kilka ma przepędzić tygodni...

Bronisia milczała.

— Cóż, zgodziłabyś się na to żeby wrócić?..

— Jak tatko zechce... odrzekła z akcentem rezygnacji.

— Ja chętnie zgodziłabym się na to, żeby

przez jutro jeszcze w Bałcie zabawić... wsunęła panna Helena.

— Gdybyśmy pszenicę w Bałcie sprzedali, to moglibyśmy zabawić; w przeciwnym razie trzeba pospieszać...

— To wolę pospieszać... Jakiż program jutrzejszego dnia?

— Wstać o wpół do piątej, o wpół do szóstej zasiać do herbaty, a o szóstej siedzieć w powozie... Kto się nie wyśpi w łóżku, temu wolno drzémać w podróży...

— Ja spać nie mogę jadąc... podchwyciła Bronisia.

— Ani ja... dodała panna Helena.

— To znaczy, że ani ty, ani ty nie macie szlacheckiej natury... Szlachcic, gdy jedzie, chrapie...

— Nie ubiegam się ~~bynajmniej~~ o posiadanie tej natury... tonem lekceważenia powiedziała panna Helena i zapytała:

— A dalej?..

— Między dziesiątą a jedenastą zatrzymamy się na popas i dobrze popasłszy, pociągniemy na nocleg. Popas i nocleg i pojutrzejszy popas wypadną nam pod otwartym niebem... Będą panny obozowały...

Bronisi oczki radośnie się zaśmiały do owych spodziewanych przygód, które ją naprzemian to cieszyły, to straszyły. Uważała za potrzebne sprostować trochę to co ojciec powiedział i wyrażenie „pod otwartem niebem“ poprawić na:

— Pod namiotem...

— Tylko w nocy—rzekł sędzia. We dnie nie rozbijemy namiotu... Spoczniemy sobie w cieniu powozów, jak Arabi w cieniu wielbłądów...

— Ach! jakże to będzie pięknie!.. zawołała Bronisia.

Okrzyk ten wywołał szczery na уста sędziego uśmiech. Cieszył się dziecinną córki radością i długo z nią żartował, zwróciwszy znów rozmowę na podobieństwo korzystnej w Bałcie sprzedaży pszenicy i powrotu do Sabinowa. Lecz dziewczynka wierzyć temu nie chciała. Wyraźnie powiedziała ojcu, że to żarty i rozpytywała się o step, chcąc z góry przejrzeć nawskróś jutrzejszą i pojutrzejszą podróż. Nie tyle zajmowała ją w tej chwili Odessa, ile ów popas pod otwartem niebem i nocleg pod namiotem, a najbardziej ów step—step—który ośpiewany w ludowych dumach, tak żywo dzie-

wczęca jęj przenikał wyobraźnię, a którego ona nie widziała w zaludnionych, na łany pokrajanych, zbożami obsianych i lasami ocienionych ladyżyńskich, hajsyńskich i humańskich okolicach. Była prawdziwą Ukrainką. Step otwarty, świat szeroki, droga mogiłamiznaczona, wiatr po mogiłach w badyle grający i wiejący ku morzu, ku Czarnemu, ku szerokim limanom—nęciły jęj wyobraźnię zarówno jak lalki, kwiatki, ptaszki i małe dzieci, ku którym ją coś ciągnęło siłą magnesowego pociągu. Tęm „cós“ była niewieściość jęj natury, wprost przeciwnęj naturze panny Heleny, która, pogardzając takimi drobnostkami, w jakich się jęj młoda kuzynka kochała, roiała o wielkości, o znaczeniu, o błyszczeniu na wielkim świecie.

Pełne rojeń, jedna o stepie, druga o Odessie, poszły panny spać i naza jutrz o szóstęj siedziały już w powozie.

III.

Gdyby nie istniało przysłowie „chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“, program sędiego byłby się zapewne co do joty i bez najmniejszęj wykonał przeszkody, a i przewidywania Bronisi byłyby się może w jakięjs spełniły części. Chłop strzelił prosto—tak mu się przynajmniej

zdawało: kula poszła bokiem i licha narobiła. Sędzia zrobił program doskonały: cóż kiedy w drogę wlało lichy i całą rzecz popsuło.

Niedaremnie Tomasz, zbliżając się do mostu na Kodymie, splunął trzy razy i za każdym splunięciem wymówił sakramentalne:

— Cur ta pek... szczeznij siło nieczysta!..

Baba z próżnemi wiadrami, po przed samym dyszlem, przez drogę przeszła. A że była nie-samowitą, to najmniejszej nie podpadało wątpliwości, bo szła rzeżko, jak gdyby nie dźwigała na barkach lat, których wyraźny registr zmarszczkami na żółtej jej wypisał się twarzy.

Za mostem pod górą byłby Tomasz do Bałty nawrócił, gdyby się nie wstydził i nie bał sędziego. Diabli nadali—zajac drogę przebiegł i psiawiara! jakby w kpiny się bawił, siadł na środku traktu i przedniemi łapkami mordę sobie muskał, niby bakembardy gładził.

— Pal-że do szelmy!.. zawołał Tomasz na Prochora.

Prochor do rusznicy, złożył się i — pszyk—tylko na panewce spaliło.

— Tfu!.. szczeznij!.. przepadnij!.. krzyknął Tomasz, batogiem krzyż w powietrzu znacząc. Wio, dzieci!..

Zając obejrzał się trzy razy na Tomasza, popatrzył mu prosto w oczy, trzepnął w skoki i znikł w stepie. Tomasz się potem przysięgał i na świadka Prochora stawiał, że ludzkim zachichotał głosem. Byłże to zając? — Taki to był zając, jak ta baba była baba.

Nie koniec na tem. Czego nigdy nie bywało, podręczny orczykowy, ni z tego ni z owego, zaszłapał.

— Czy to nieszczęście? czy tylko zapowiednia?.. zapytał Tomasz półgłosem sam siebie, wstrzymując konie i posyłając Prochora dla poprawienia postronka. — Niema co!.. nie chcę brać grzechu na moją duszę... Trzeba tu się z panem rozmówić... Idź, Prochorze, do pana i powiedz że Tomasz prosi...

Prochor poszedł. Sędziego zdziwiło trochę wezwanie Tomasza; ale że było formalne, trzeba mu było zadość uczynić. Wydrapał się więc z bryki, wysiadł i udał się do powozu. Tomasz tajemniczo skinął na sędziego i z kozła się nachylił.

To jeszcze większe wzbudziło w sędzi zdziwienie.

— Chcę z panem parę słów pogadać, ale tak żeby tam—tu na wewnątrz powozu ukazał—

nie słyszeli, boby się niepotrzebnie poprzestraszali...

— Cóż przecie?... zapytał sędzia, podchodząc i ucho nadstawiając.

— Nawróćmy, panie, do Bałty...

— A?.. a to czemu?..

Tomasz nastroił minę poważną i uroczystym rzekł tonem:

— Nietylko że baba z próżnemi wiadrami przeszła, ale i zajęc drogę przebiegł...

Sędzia ze zdziwieniem spojrział w oczy swemu staremu furmanowi, któremu się zdawało że temi wyrazami jak piorunem pana porazi i odrazu do powrotu skłoni, i krótko powiedział:

— Głupis!... Jedź dalej...

To rzekłszy, odszedł do bryki.

Prochor zajął swoje miejsce obok Tomasza, w najwyższym skompromitowanego stopniu.

— Ha! niech i tak będzie... odezwał się ten ostatni po chwilce milczenia—niech Tomasz na starość głupcem zostanie... Wio! dzieci!..

Szpaki ruszyły, naciągnęły postronki jak struny i szły równo, raźnie. Tomasza gryzło to co od sędziego usłyszał—gryzło i gniewało. Zrazu coś sobie pod siwemi mrucał wąsami i mrucając rozbudzał gniew, który stopniowo

wzrastając, sprawił mu świerzb dłoni, symptom niebezpieczny w ludziach tego co Tomasz temperamentu, przyzwyczajonych do absolutyzmu w postępowaniu. Poczł w sobie potrzebę spędzenia gniewu. I spędził go na szpaka, co poprawęj ręce szedł w dyszlu. Biedny szpak, tyśiąc razy to robił i tyśiąc razy bezkarnie mu uchodziło: na dłuższej mecie miał zwyczaj trochę sobie folgować. Kiedy niekiedy tylko za ten figiel końskiej mądrości dostawało mu się lekkie potrącenie, aż nadto wystarczające do przypomnienia mu, że baczne oko czuwa nad jego prowadzeniem się. Tym razem, jak tylko postronki lekko się zatelepały, spadła na niego ulewa ćwiczenia. Tomasz krótko lejce zebrał, silnie je ujął, smagał winowajcę a dogadywał:

— Huncwocie!.. a będziesz ty ciągnął?..
O to tobie!.. Dziesiątemu zakazesz!..

Biedny szpak skurczył się, o połowę zrobił się krótszy, ogon pod siebie schował, uszy stulił, radby był z chomąta wyskoczyć, przelekniony, zdziwiony—tak niespodzianie spadła na niego kara, na którą zasłużył, ale nigdy w takiej wysokiej mierze.

— Ha!.. odetchnął Tomasz i gniew go opuścił—Wioo ha-hi!..

Szpak się wyciągnął, prychnął niby po tabace i od téj chwili szedł, pilnując się jak skoczek na linie.

Sędzia drzémał sobie obok Herszka, który spał snem sprawiedliwego; Kozak na koźle także drzémał, i Prochor drzémał; Hanka twardo spała; pannie Helenie, pomimo zaręczenia że jadąc nie sypia, oczy się kleiły: tylko nie spali furmani i Bronisia—pierwsi dlatego że czuwać musieli, ostatnia dlatego, żeby nie stracić najmniejszego z rysów fizyognomii, kraju, tak dla niej ciekawego. Oczami wlepionemi w otwarte okno powozu, przypatrywała się wszystkim gruntu załomom, łowiąc w przelocie każdy szczegół, który się jój uwagi godnym wydawał. Zawiodła się pod tym względem, iż jój się zdawało że ujrzy step jak morze, w którym oko jój w bezgranicznej zginie przestrzeni, a zamiast tego widziała pochyłości łagodne, z dwóch stron ku drodze się chylące. Na nich było smutno, jesiennie. Czerwcowe, lipcowe i sierpniowe słońce spaliło trawę, po której zostało wspomnienie tylko zieloności. Więc dziewczyna do tego przyczepiła się wspomnienia i to czego nie znalazła, dopełniała wyobraźnią. Zasłała step puchem zielonego kobierca, uhaf-

towała go mozaiką kwiatów, oblała wonią, zaludniła owadami i ptactwem, napełniła muzyką stepowych grajków. Wszystko to odnosiła do wiosny, a tymczasem w jesieni przypatrywała się ogromnym stadom dropi, które poważnie deptały zeschnięte bądyle i zgrubiałe łądźki dojrzałej trawy.

Powozy toczyły się szparko jeden za drugim po twardej a szerokiej drodze, wzdłuż wiorstowych słupów, znaczących odległość od stacyi do stacyi, wymijając jedną po drugiej czumackie wałki. Przy niektórych wałkach zatrzymywały się. Działo się to wówczas, gdy Tomasz poznał Czumaków wiozących sabinowiecką pszenicę. Sędzia budził się wtedy, wychylał głowę z bryki i rozpytywał o drogę, o całość transportu, o woły, wreszcie i o zdrowie ludzi.

— A jak się tam macie?..

— Sława Bogu... niczego...

Rozpytawszy, zanurzał się w brykę i oddawał znów drzemanii.

Dzień bo szczególnie usposabiającym był do senności. Była to jesienna spiekota, rozlewająca w atmosferze jakąś duszność, działającą jak opium na ludzki organizm. Była to

spiekota nienaturalna, zapowiadająca jakąś gwałtowną w atmosferze zmianę. Słońce przygrzewało i tworzyło mirażę, które Tomasz nazywał diabelskimi sztukami.

— Pokazuje psiawiara wodę i ucieka z nią... i droczy się z człkiem jak z psem... Któż to się tak droczy?.. Pewno że nie Pan Bóg, ani żaden święty!.. A widzisz, Prochorze?..

Ale Prochor nie słyszał zapytania. Powieki mu się skleiły. Kiwał się na koźle jak pijany. Tomasz spojrzął na niego z ukosa i biczyskiem mu pod nosem niby smyczkiem poprowadził. Prochor się ocknął, raptownie rozbudzony.

— Co się tobie śniło?..

Kozak oczy przetarł, chrząknął i splunął.

— A patrzno przed siebie... widzisz tam staw czy jezioro?..

— Jakbym nie miał widzieć!.. Gdyby tał na mnie, to dojechawszy, stanąłbym i konie napoił...

— Na tém to i sztuka, żeby dojechać... Gdybyś wsiadł na sto koni, to sto koni byś zajeździł i także nie dojechał... Ta woda na to właśnie, żeby do niej do sądnego dnia nie dojechać.

Prochor szeroko otworzył oczy, a po oczach usta — i senność go odleciała. Wpatrywał się

w złudne obrazy stepowych mirażów z pewnym rodzajem skruchy i po długiej chwili milczenia powiedział:

— Przecie to prawda co ludzie gadają... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi nie widział oczami... Teraz wierzę, że ten zając ludzkim śmiał się głosem, chociaż, gdyście o tém mówili, mnie się zdawało że się nie śmiał...

— Ale!.. nie śmiał się...

— Ja tego nie słyszałem, ale teraz dopiero przypominam sobie, że słyszałem...

— Hm!.. mruknął stary Tomasz, któremu w tej chwili zaświdrowało w sercu, bo przypomniał sobie, jaką sędzia dał mu odprawę. Będziem my z jakimś lichem mieli do roboty...

Pokiwał głową i na konie huknął.

Lecz do popasu nic się nie przytrafiło. Popas odbył się ściśle według programu: pod otwartem niebem, w cieniu powozu, na rozścielonym dywanie. Dostateczne, z pieczyw na zimno składające się jedzenie posiliło naszych podróżnych. Konie zjadły obrok w torbach. Pobliska studnia dostarczyła wody. Wszystko odbyło się w porządku i o drugiej powozy w dalszą ruszyły drogę. Sędzia wyznaczył nocleg przy jednej sabinowiecką pszenicę transportu-

jącej walce, którą o mil trzy od popasu spodziewał się dosięgnąć.

Słońce z południa mocniej przypiekło i raptem zmieniło kolor. Z ognistego stało się czerwonym. Powietrze napełniły jakieś tumany. Na niebie poczęły gromadzić się brunatne chmury.

— Będzie deszcz... mówił sędzia do Herszka.

— Cóż to będzie... prawil Tomasz do Prochora. A mówiłem, żeby do Bałty nawrócić... Ale Tomasz głupiec... No, no... zobaczymy...

Pomiędzy trzecią a czwartą chmury zgęstniały i cały zakryły horyzont, a były z jednej strony ołowiane, ciężkie, z drugiej takiego koloru, jak dym obłany odbiciem płomienia. Słońce się schowało. Od czasu do czasu huczący wichur przynosił się przez step, krusząc, wyrывая i unosząc ze sobą zeschnięte badyły.

Sędzia począł być niespokojnym.

— Może to przejdzie... mówił do Herszka. — Z wielkiej chmury, powiadają, mały deszcz...

I konie jakoś były niespokojne. Często prycały i uszami strzygły.

Tomasz głową kręcił i od czasu do czasu jak wykrzyknik przez nos puszczał.

Podróżni nasi minęli dolinę Mokrej Zórawki i wyciągnawszy na górę, mieli przed sobą niespełna dwadzieścia wiorst do Kujalnickiego porzecza, którego punkt najbliższy był zwykłą, dla wody, czumacką etapą. Sędzia wiedział o tém, bo sobie całą drogę i wszystkie przystanki zawczasu według czumackich opowiadań wynotował. Chodziło mu więc o to, ażeby jak najprędzej do tego punktu dojechać. Wychylił się przeto z bryki i huknął na Tomasza, a gdy ten za drugim czy trzecim wołaniem obejrzał się, dał mu znak ręką i krzyknął:

— Poganiaj!...

— Wio!.. odpowiedział Tomasz na to i biczem świsnął.

Szpaki się wyciągnęły, wpadając w taki kłus, którymby się mogły na wyścigach popisać.

— Co to wszystko pomoże!.. rzekł stary, powtórnie bicz podnosząc. Mówiłem, powrócić do Bałty: trzeba było powrócić... Daremnie tylko szkapę zmachają... Wio, dzieci!..

I miał rację. Na połowie odległości pomiędzy doliną Mokrej Zórawki a Kujalnickim porzeczem, nagle pociemniało, w oczy podróżnym

naszym dmuchnął wiatr i począł padać rzadki a wielkokroplisty dąszcz, który wprędcie zmienił się w ulewę. Lunęło jak z cebra. Wiatr się wzmógł i dąszcz zalęwał oczu koniom i ludziom. Konie tby pomiędzy nogi pospuszczały, ludzie oczu otworzyć nie mogli.

— Tfu! nieczysta siła!.. wołał Tomasz gniewnie i poganiał.

Przyszło jednakże do tego, że niepodobieństwem się stało jechać dalej. Trzeba było nie tylko stanąć, ale od wiatru się odwrócić. Tomasz więc nawrócił i zatrzymał się. Za jego przykładem to samo zrobił furman wiozący sędziego.

Dąszcz lał, ustając trochę chwilami na to, ażeby ze spotęgowaną wzmocnić się siłą. Piorny były. Błyskawice raz po raz oświecały ciemność, która stała się zupełną. Zdawało się że Stwórca, rozgniewany za grzechy rodzaju ludzkiego, postanowił ziemię powtórnie ukarać potopem i wybrał do tego tę oto właśnie chwilę.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo z naszymi podróżnemi, których połowa skazaną była na moknięcie. Do tęg połowy przyłączył się i sędzia. Mógł on, pozapinawszy fartuchy i pospuszczawszy firanki, żartować z dąszczu i bu-

rzy; lecz natura dała mu takie usposobienie, że w podobnych razach nie umiał zdobyć się na to, ażeby losu swoich służących nie podzielać. Wsiadł więc i to dodawał otuchy pannom, to pocieszał furmanów, to oglądał konie i powozy. Tomasz tyle był wspaniałomyślny, że nie przypomniał mu ani baby, ani nawet zająca.

A deszcz lał, jakby się wszystkie w niebie otworzyły szluzy, a pioruny biły, raz tak blisko, że zdawało się tuż nad głową, drugi raz trochę dalej, i znów dochodziły z kądciś, niby z za stepów, echem dalekich grzmotów.

Nakoniec powoli zaczęło się uspokajać. Najprzód oddaliły się pioruny, potem ulewa zmieniła się na deszcz drobny, ale nastąpiła taka ciemność, choć oko wykol.

— Moznaby jechać— rzekł sędzia.

— Można spróbować... odparł Tomasz. Droga równa i gładka, ale gdzie ona nas zaprowadzi?.. Ten psiawiara, co nam takie mokre sprawił wesele i przez cały dzień wodą droczył, nie zapomni o nas i teraz.

— A spróbujmy — odrzekł sędzia. — Byle nam tylko do wałki się dobić... Nie mamy więcej jak wiorst siedem, najwięcej osiem... Tylko jedź stepem...

Ruszyli. Lecz niedaleko ujechawszy, Tomasz konie zatrzymał.

— Jeżeli pan każe jechać dalej, to pojedę — rzekł do sędziego, który obok niego na koźle usiadł. Ale kto nam zaręczy, że jutro o świcie nie znajdziemy się o jakie trzy lub cztery mile na prawo albo na lewo od naszej drogi, albo, że nie zajedziemy w jaki jar, w którym i konie, i powozy, i siebie zaprzepaścimy?.. Ot, choćby i teraz: jedziemy, ale ja nie przysięgnę, czy zamiast jechać do Odessy, nie wracamy do Bałty...

Uwaga ta była tego rodzaju, że trzeba było wielkiego ze strony sędziego uporu, ażeby jej słuszności odmówić. Kwestyą kierunku mógł tylko kompas, jak na morzu, rozstrzygnąć.

— Cóż robić? — zapytał sędzia tonem zwątpienia.

— Co?.. ha! nie — odparł Tomasz, któremu w tej chwili przyszło na myśl: „głupis”. I już, już usta otwierał, ażeby sędziemmu to przypomnieć, lecz się wstrzymał. Szlachetność przemogła. Nie chciał się mścić na panu. Więc dodał:

— Zatrzymać się tu gdzie oto stoimy, wyprządz konie, dać im obroku i dnia doczekać...

Po dniu to się tam człowiek jakoś pomiarkuje...

— Sędzia przez chwilę pomyślał.

— No!.. cóż robić!.. Niech będzie po twojemu... Dziewczęta przenocują w powozie, a my wynagrodzimy sobie tę noc później...

Sędziemu głównie o dziewczęta chodziło. Gdyby nie one, byłby się ryzykował choćby na złamanie karku. Dla nich odrazu przystał na radę Tomasza, który natychmiast, przy pomocy Prochora, wziął się do wykonania własnej rady.

Tymczasem deszcz coraz stawał się drobniejszy, tylko ciemność ani trochę się nie zmniejszała. Lecz dla stojących na miejscu podróżnych naszych niewielką była ona przykrością, mieli bowiem ze sobą latarnie, przy pomocy których i furmani się krzątali, i rozweselało wewnątrz powozu.

A było tam przed chwilą bardzo smutno. Panna Helena udawała odważną, więc niby się ciemności i piorunów nie lękała, chociaż wybladła twarz i drzenie całego ciała zdawały się temu stanowczo przeczyć. Lecz Bronisia i Hanka bynajmniej nie ukrywały trwogi, która się w nich objawiła okrzykami i wszystkimi jakie na pamięć umiały modlitwami. Napró-

żno sędzia, stojąc obok powozu, otuchy im dawał. Trwoga nie znikła, aż latarnia rozlała światło i dozwoliła rozpatrzyć się w przedmiotach.

— No— mówił sędzia— widzicie... Wszystko, chwalić Boga, przeminęło i nic się nam złego nie stało...

— Aj! tatku!.. Cóż to było?.. Mój Boże!.. Jeszcze nic podobnego nie widziała...

— Jeszcześ ty, moje dziecko, wiele rzeczy nie widziała...

— Co za burza! co za pioruny!.. Cóż teraz będzie?..

— Przenocujemy i jak dzień zaświta, pojedziemy dalej... Wy się ruszać nie macie potrzeby... Przepędzicie noc w powozie...

— Sami? w stepie?..

Dziewczęciu, przyzwyczajonemu do wygodnego łóżka, dziwnym wydał się ten awanturniczy nocleg. Nie przypuszczała możliwości sypiania w powozie, jak ów Litwin nie przypuszczał, ażeby przy wagonach w pociągach drogi żelaznej nie było orczyków ni dyszla. Dziś zapewne, gdy tyle tysięcy podróżnych przepędza noce w wagonach i dyliżansach, nie widziałyby w tém nic nadzwyczajnego; lecz w.

pierwszej ćwierci dziewiętnastego stulecia rzecz ta przedstawiała się inaczej.

— W stepie? sami? w koczu? — powtórzyła, a w brzmieniu tych wyrazów ukrywały się inne, mianowicie:

— Bez kolacyi? bez? herbaty

Sędzia snadź domyślił się tego co wypowiedzianem nie było, bo rzekł:

— Trzeba się, chcąc nie chcąc, obejść bez ciepłego łóżeczka, bez herbaty i kolacyi... i poprzestać na tém, w co nas matka zaopatrzyła...

Gdy tych wyrazów domawiał i zamierzał rozgadać się o potrzebie i korzyściach poprzestawania na małym, dało się słyszeć dalekie, stepowém echem niesione, jęczenie dzwonka. Jęczenie to było chwilowém i powtarzającym się — to rozlegało się, to ustawało. W inném położeniu nie zwróciłoby ono na siebie uwagi; lecz w położeniu podróżnych 'naszych, przekonanych że są sami w stepie, było to zjawisko nadzwyczajne, które wszakże najpierw zafrapowało milczącą, zamysloną i w głąb powozu zasuniętą pannę Helenę. Wysunęła się, wyprostowała, ucha nadstawiła i zawołała:

— Pocztowy dzwonek!..

W głosie jej zabrzmiał taki akcent, z jakim rozbitki wołają:

— Żagiel!..

Z tego można wnioskować o jej usposobieniu, które było pewnym rodzajem znękania, wywołanego wstrząśnieniem natury.

— Pocztowy dzwonek!.. powtórzyła Bronisia tym samym akcentem.

— Może zechce za przewodnika nam służyć — powiedział sędzia — to moglibyśmy do wałki się dowlec...

Tomaszowi ta sama myśl zawitała do głowy; więc zawiesił wyprzeganie.

Dzwonek dzwonił urywanym sposobem, ale coraz wyraźniej i coraz bliżej. W końcu jęknął jednym ciągiem, jęk jego połączył się z głuchym turkotem i za chwilę słyszeć się dał okrzyk:

— Prrr!.. stój!...

Po okrzyku nastąpiło wołanie:

— Hej! a niechno tam kto podejdzie!..

Podszedł Tomasz z latarnią.

— Którędy droga do Odessy?..

— Ba! gdybyśmy was o to pytali, wyglądałoby przystojniej, bo my zdaleka, a wy tu-tejsi...

— Tutejsi!.. odezwał się z gniewem pytający, którym był sługa. — Burza z drogi nas zbiła i po nocy człowiek zmiarkować nie może w którą jedzie stronę...

— To samo i nas spotkało... Chcieliśmy właśnie was na przewodnika zaprosić...

Służący zaklął dobitnie i z kibitki począł wysiadać.

— No!.. cóż będzie?... odezwał się głos drugi, także gniewny, który należał do podróżnego, w płaszcz zakutanego i błotem obryzganego.

— Alboż ja wiem! odparł służący.

— Jedziemy dalej...

— Dobrze... tylko ja nie wiem dokąd jedziemy... Tu pełno krzyżowych dróg, a jeżeli jeszcze nieczysty zechce wodzić po stepie, to jutro możemy się Bóg wie gdzie oprzeć... A do tego i konie ledwo nogami płaczą...

— Cóż chcesz zrobić?..

— Alboż ja wiem!.. co każecie. Każecie jechać, to pojedę... nie pożałuję ani siebie, ani koni... Czart zechce wziąć, to weźmie jak swego, tylko was będzie szkoda...

To pochlebstwo odniosło swój skutek, bo podróżny, który dotychczas groźnym przemawiał głosem, zmienił ton i łagodniej nieco zapytał:

— Cóż robią ci ludzie?..

— A, nie wiem... trzeba się ich rozpytać... Rozpytywałem się o drogę, ale oni tyle wiedzą co i my.

— Coście za jedni? co tu robicie?.. zapytał podróżny Tomasza, za którym w niewielkiem oddaleniu stał drugi furman, a Prochor, drugi Kozak, Herszko i sędzia zdaleka się przysłuchiwali.

— Myśmy podróżni... jedziemy do Odessy... Dészcz nas złapał, noc zaskoczyła, zgubiliśmy drogę, więc myślimy tu podnocować i jutro dalej pociągnąć...

— Dużo was jest?..

— Bogu dzięki, sporo... pan, dwie panny...

— Panny?.. podchwycił podróżny. I myślicie nocować pod gołym niebem?..

— Pod gołym?.. nie pod gołym... Panny przesiedzą noc w koczku, a moglibyśmy rozpiąć i namiot, gdyby...

Podróżny nie pozwolił dalej Tomaszowi mówić.

— To macie i namiot?!.. zawołał—A!.. A może do tego i samowar?..

— I samowar..

— Ho ho!..

To rzekłszy, lekko wyskoczył z kibitki.

— Gdzie wasz pan?.. Niechno ja z nim parę słów zamienię... Mając namiot i samowar, można ten mokry step w mały raik zamienić... Gdzie wasz pan?..

Tomasz skłonił się czapką z uszanowaniem, tak mu zaimponowała wyniosła postawa podróżnego, z którym razem, tylko na przeciwną stronę, wyskoczyło z kibitki i drugie indywiduum, w szarym szeregowego żołnierza płaszczu. Dodać winniśmy, że i podróżny także wojskowe miał na sobie oznaki. Na powtórne jego zapytanie, Tomasz odstąpił kilka kroków i oświecił latarnią stojącego obok kocza sędziego.

— Pan tu nocuje i posiada namiot i samowar?..

Sędzia skłonił głowę, na znak odpowiedzi.

— W podróży jak na wojnie... A Francuzi powiadają: *à la guerre comme à la guerre*... etykieta odkłada się na stronę... Czy pan to uznaje?..

— Z pewnemi zastrzeżeniami...

— Rozumiem — podchwycił podróżny. — Co się tyczy dam... Dla tych zastrzeżenia istnieją i w obozie, w obliczu nieprzyjaciela... tem bardziej w podróży.. Ale poza temi zastrzeże-

niami, na które obydwoma podpisuję się rękami, pozwól mi pan zrobić sobie jedną propozycją...

— Najchętniej—odparł sędzia z uśmiechem, ujęty szarmanterją zabłoconego nieznanego, który mówiąc z nim, rzucał okiem w głąb powoza i widział uroczo przy bladym oświeceniu wyglądającą twarz zasłuchanej w jego z sędzią rozmowie panny Heleny.

— A więc, pozwól pan ażebym stowarzyszył się z nim do dzisiejszego noclegu...

A gdy sędzia nie odpowiadał odrazu, tak dalej ciągnął:

— Będzie to asocyacya trochę niesprawiedliwa, bo pan dasz wszystko, ja nic... Ale ja włożę z mojej strony to, czego pan nie posiadasz: umiejętność zużytkowania tego co pan dasz... Podejmuję się rozbić namiot, wysuszyć jego wnętrze, nastawić samowar, zrobić herbatę, napoić pańskie towarzyszki, pana i siebie i przerobić namiot w końcu na wygodny i zaciszny pokój sypialny... Czy zgoda?..

— Zgoda—odrzekł sędzia uprzejmie.

— Oddajże mi pan pod rozkazy jednego ze swojej służby, która, jak widzę, masz w dosta-

tecznej ilości, a ja zaraz z moim służącym wezmę się do dzieła...

Sędzia wyznaczył Prochora i natychmiast nieznajomy przystąpił do wykonania tego co zapowiedział. Zrekognoskowawszy przy pomocy latarni grunt dokoła, wybrał miejsce nieco wznioślejsze, kazał postawić słupy i naciągnąć płótno. Gdy kołki zostały należycie wbite, obkopał namiot rowem, któremu nadał spadek do odciągania wilgoci. Następnie rozporządził zdjęcie we środku mokrej powierzchni ziemi, przez co odkrył suchą, piaskową warstwę. Do tego pomogła mu natura chersońskiego gruntu, mającego twardą, zsiadłą skorupę, z której, zwłaszcza na podniesieniach, woda ścieka, nie przenikając do głębi.

Wykonanie tego wszystkiego zabrało tyle czasu, ile Tomasz i drugi furman potrzebowali do wyprężenia i ustawienia koni w miejscu zasłoniętym powozami od wiatru.

— Panie!.. panie dobrodzieju!.. zawołał nieznajomy na sędziego. — A niechże pan zobaczy!..

Sędzia znalazł namiot zupełnie mieszkalnym.

— No, a teraz każ pan słać kobierce i ustawić sprzęty... Zdałoby się pochodne umeblowanie, stoliki, stołki, łóżka, ale tego pan zape-

wne nie posiada: więc niech ich miejsce zastąpią walizy, kufry, tłomoki...

Zniesione i stosownie ustawione walizy, kufry i tłomoki, rzeczywiście zastąpiły stół, krzesła i kanapy.

— A teraz... nakrywajcie do herbaty i nstawiajcie samowar!.. Jeżeli węgla niema, to porąbać i spalić kibitkę!..

To ostatnie jednakże okazało się niepotrzebnem, bo w zapasach podróжных sędziego był węgiel, było nawet i drzewo. Wody dostarczył dęszcz, który napełnił wszystkie wyźłobienia gruntu.

W niespełna godzinę, wewnątrz namiotu przedstawiało widok dla nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju widoków bardzo ciekawy i tém ciekawszy, że cechą niespodzianki naznaczony. Pomiedzy dwoma słupami stał stół białym nakryty obrusem. Na środku stołu, na tacy, wznosił się kipiący samowar, imbryczkiem przykryty i obstawiony dokoła talerzami, napełnionemi pokrajanem w cieniutkie płateczki wędzonem i pieczonem mięsiwem. Ubrania stołu dopełniały bułki, chléb, stosy pieczonych z powidłami, kapustą i sérem pierożków, masło, wydobyte z puzderka czworograniaste flaszki i pękate

kieliszki, cztery szklanki na podstawkach z łyżeczkami we środku, cukiernica i cztery nakrycia, przed którymi z całym komfortem można było zasiąść i rozstawione na stole dary Boże wygodnie spożywać. Gdy to wszystko zostało ustawione, nieznajomy, przybierając minę mistrza ceremonij, a przynajmniej marszałka dworu, rzekł:

— No... a teraz prosić panie do herbaty...

IV.

Nieznajomy, przy pierwszej z sędzią rozmowie, rzucił okiem do wnętrza powozu. Wnętrze nie pozostało mu dłużnym. Wyplłynęło z niego spojrzenie, które go oblało od głowy do stóp, na wylot obryzganą błotem jego powierzchowność przejrzało i odrazu odkryło w niej zalety, które się następującymi tłumaczyły wyrazami:

— Piękny i dystyngowany człowiek...

Rzeczywiście, nieznajomy podróżny był w całym znaczeniu człowiekiem pięknym i o tyle dystyngowanym, że z każdego jego ruchu, z każdego spojrzenia i odezwania się biły i w oczy się rzucały salonowe nawyki. Wzrost miał wyniosły, kształty ciała prawie atletyczne, twarz męską, ozdobioną klasycznym czołem, oświeconą szafirowemi oczami i ocienioną pło-

wemi włosami, szerokiemi, ciemnawemi brwiami i zawieszonym a starannie utrzymanym wąsem. Włosy krótko przystrzyżone i do góry zaczesane, nie zakrywały czoła, którego lekkie zmarszczenie nadawało fizyognomii wyraz takiej groźby, że zdawało się jakby oczy piorunów były pełne; pogoda zaś na czole obléwała twarz wyrazem pociągającej dobroci. Harmonia kształtów i gra ruchów zdradzały niepospolitą siłę, połączoną z niepowściągniętą odwagą.

Panna Helena wszystko to widziała i natychmiast postawiła sobie zapytanie:

— Co to za jeden?..

Dźwięk głosu, kilka francuzkich, *à propos* użytych wyrazów, dały jej poznać towarzyską sferę, w której krążyło owo stepowe, burzą zesłane zjawisko. A gdy się dowiedziała, że w towarzystwie jego przepędzić ma kilka godzin, natychmiast myśl zwróciła na siebie, na to, ażeby mu jaknajlepiej się zaprezentować. Podróżny negliż wybornie do tego się nadawał; lecz pomiędzy negliżem a negliżem wielka zachodzi różnica. Włosy poczochrane nie są włosami w nieładzie; suknia zmięta nie jest suknią od niechcenia postać okrywająca. Panna Helena przeto w mgnieniu oka opatrzyła się i po-

prawiła wszystko, co w jój podróżnym ubraniu poprawy wymagało. Czysto, gładko wyprasowana, ozdobiona haftem na kołnierzyku szmizetka okrywała jój gors, ukrywając się zgrabnie pod wpół na piersi otwartym kaftanikiem szlafrocza, który fałdami spódnicy obwiewał jój szykowną, a świeżo ściśniętym gorsetem wyprostowaną kibić, nie zasłaniając misternych haftów spódnicy, bielizny, świeżej, czystej i bez najmniejszego śladu bryzgów błota i kropel deszczu. Włosy przyczesła, pozostawiając parę grubych kosmyków, które od niechcenia wymknęły się z pod kapelusza i na ramiona spłynęły. Na prawem ręku spięła bransoletkę. Na rączki naciągnęła duńskie rękawiczki. Nawet o pończochach i trzewikach nie zapomniała: i strój jój, będąc czysto podróżnym, tchnął świeżością, czystością i gustem do tego stopnia, że najwprawniejszy znawca nie miałby mu nic a nic do zarzucenia.

Całe ustrojenie się nie zabrało i kwadransa czasu: dowód że panna Helena miała w niem wprawę i przygotowaną była na wszelki wypadek. Kiedy więc nieznajomy zawołał „prosić panie na herbatę!“, mogła mu się już zaprezentować z całą pewnością siebie, jaką płci pięknej nadaje nienaganność ubrania.

Zachodziła jednakże jedna trudność. Jak tu się dostać z powozu do namiotu, bez zamoczenia nóg?

Trudność ta przyszła najprzód na myśl nieznanemu, który też natychmiast wynalazł środek zaradzenia jej. Z błyskawicową szybkością poskoczył do kibitki, oderwał deskę która służącemu za kozioł służyła, podał jeden jej koniec Prochorowi, sam ujął drugi i przystawiając go do stopnia powozu, a nie dając nikomu czasu do namysłu, rzekł:

— Służę pani... Niech pani wysiada...

Ze Bronisia siedziała z brzegu, więc ona pierwsza skorzystała z wynalazku nieznanego. Oparta na ramionach jego i Prochora, przeniesioną została stojący do namiotu.

Po ułatwieniu się z Bronisią, nieznanomy, nie czekając na podziękowania i uwagi, jakie sędzia zabierał się czynić, poskoczył po pannę Helenę.

— Dziękuję panu... odezwała się ta ostatnia.—Ja przejdę sama...

— Ale pani nie wie, że to wilgoć po kolana...

— To nic... przejdę prędko...

— Na to nie pozwolę, choćby mi przyszło natychmiast z pani papą się strzelać...

— Ale...

— Niema żadnego „ale“... Jest błoto i woda po kolana... Jeżeli pani nie zechce dać się przenieść na desce, która tym razem gra rolę *planche du salut*, to rozściełam mój płaszcz...

I zrobił ruch do zrzucenia płaszcza z ramion.

— Panie!... zawołała panna Helena.

— Pani!.. odpowiedział nieznajomy. — Ma pani do wyboru... Rozkaż: czy mam płaszcz rozesać, czy deskę podstawić?..

Panna Helena, zawahawszy się przez chwilę, zgodziła się na deskę.

— Wybięram deskę, ale jako *planche du salut*...

— *A la bonne heure!*... zawołał nieznajomy i deskę podstawił, co mu dało sposobność zbliżka oglądać zgrabnie ozutą, maluchną i cieniuchną pończoszką obwiniętą nóżkę.

Za chwilę panna Helena, zeskakując z improwizowanych noszów, znalazła się w obec zastawionego stołu i szypiącego samowara, i mimowolnie wydała okrzyk podziwienia.

— Ach! to cuda!..

— Dla mnie—podchwycił nieznajomy — co byłem pewny że przepędzę noc na kibitce pocztowej o głodzie i chłodzie, a w najlepszym razie w jakiej norze, w towarzystwie płazów i gadów...

To mówiąc, zrzucił płaszcz, który stojący za nim sługa pochwycił, i ukazał postać swoją w mundurowym surducie.

— Ten wypadek—ciągnął dalej—zaliczę do najszcześniejszych w mojem życiu... Kiedy skromne moje życzenie zwróciło się na kawałek strzechy i na kieliszek rozbełtanęj z wodą wódki, los, jakby za uderzeniem czarodziejskiej różeczki, wydobył dla mnie z pod ziemi Lukulusowską wieczerzę, prawdziwie chińską herbatę towarzystwo pięknych dam...

Na wyraz „pięknych“ panna Helena spojrzała nieznajomemu w oczy i z jego spotkała się spojrzeniem. To ją cokolwiek zmieszało, ale tylko cokolwiek, bo natychmiast odpowiedziała:

— Tylko dodać potrzeba, że czarodziejem jesteś pan sam...

— O, pani!.. czarodziejstwo moje z garści mokrej słomy pocztowej kibitki nie wytworzyłoby tego namiotu, téj zastawy, ani tego towa-

rzystwa, przenoszącego mnie żywcem do najwytworniejszego w stolicy salonu...

— Ale... przerwał sobie nagle... nie traćmy drogiego czasu... Samowar kipi, wieczera czeka: zabierajmy się do dzieła... *Nous pouvons causer tout en mangeant... Cela n'empêche pas le sentiment... N'est-ce pas, mademoiselle?..* zapytał zwracając się do panny Heleny, która mu również po francuzku, czystym akcentem odpowiedziała:

— *Je vous sais gré, monsieur, de m'avoir rappelé à mes devoirs....* tłumacząc się, że podziw jaki w niej widok wnętrza namiotu wywołał, sprawił, iż zapomniała że jest gospodynią.

Trzeba wiedzieć że sędzia nieumiał po francuzku. Dlatego zapewne, rzuciwszy w tym języku kilka frazesów, jakby dla okazania że nadsekwańska mowa nie jest jej obcą, panna Helena nie używała jej więcej. Nieznajomy często się do niej uciekał. Ona mu odpowiadała po polsku, umieszczając kiedy niekiedy wyrazistsze lub dźwięczniejsze francuzkie wyrażenia.

Podróżni nasi zasiedli przy stole. Nieznajomy ulokował się obok panny Heleny i z niepospolitą zręcznością wywiązywał się z przyjętej dobrowolnie roli jej pomocnika w rozda-

waniu i rozlęwaniu, podtrzymując przytęm rozmowę, którą umiał uczynić zajmującą.

— Cóż to za szczęśliwy wypadek, ta burza, co o mało nas nie zalała i ta ciemność, co mego służącego na błędne sprowadziła drogi...

— Pozwoli pan drugą szklanę herbaty?...

— Pani!.. jak nie zapragnąć z rąk takich?.. Wszak my herbatę tuzinami szklanek pijamy... To dowód że jesteśmy trzeźwiejsi niż Francuzi, Anglicy i Niemcy, z których pierwsi piją wino, drudzy porter, trzeci piwo... Lubi pan piwo?.. zapytał sędziego.

— W wielki post... z grzankami... odpowiedział zapytany.

— Wy, panowie szlachta, jak słyzałem, kochacie się w starym węgrzynie i w syconym miodku... Ot, nie kosztowałem nigdy miodu... Powiadają że przypomina malagę...

— Tego nie wiem... Pan sam osądzi... Hej! Prochor!.. a przynieś no z bryki butelkę miodu...

— To czary!.. panie!.. to czary!.. Spełnia się wszystko co mi tylko przez myśl się przesunie...

— Niechże pan w tej chwili czarów tworzy życzenia poważne... odezwała się panna Helena.

— Życzenia poważne?.. rzekł nieznajomy.—

Chyba że mi je pani podpowie, bode tego trzeba być usposobionym, przygotowanym, niby do spowiedzi...

— Do tego całym życiem człowiek się przygotowuje...

— Tak... zapewne... Lecz w życiu człowiekowi zdarzyć się może coś takiego, co cały onego kierunek odrazu zmieni... Przypuszczając tedy, że mi się coś podobnego w tej chwili przytrafiło?...

I pytającym wzrokiem popatrzył w oczy panie Helenie, która, dziwnym obdarzona instynktem, odgadła, że w tém spojrzeniu zawierało się pytanie, które, jak ołowiany ciężarek do długiego przywiązany sznurka dno morskie sonduje, sondowało głębię jej serca. Zamiast więc zapłnienia się i spuszczenia oczu, co niechybnie każda uczyniłaby parafianka, popatrzyła nieznajonemu śmiało i prosto w oczy i odparła:

— *Allons donc... Cela sent le sentimentalisme à mille lieues...* My parafianie mamy życzenia nasze zawsze na myśli...

— Dlatego że na prowincyi myśl się bardziej koncentruje niż w stolicy, gdzie tysiące przedmiotów rozbija ją na atomy...

— Przecież jakiś jeden przedmiot musi stać na czele wszystkich innych... Do tego więc przedmiotu niech pan westchnie...

Nieznajomy westchnął tak komicznie, że się panna Helena uśmiechnęła, a Bronisia w głos roześmiała. Sędzia byłby się także śmiał, gdyby nie powaga wieku, która mu tylko głową kiwnąć pozwoliła.

— Wykonałem rozkaz pani i zreprodukowałem westchnienie takie same, jakich trzy urońiłem dziś o południu w Bałcie... Tylko tam nie śmiano się z nich...

— Bo zapewne spłynąć musiały na dobrze uprawny grunt...

— Zapewne... na grunt czułych serc, należących do trzech dam, co grają najpierwsze role na wielkim powiatowego miasta świecie...

— Trzema westchnieniami obdzieliłeś pan trzy damy?.. To dowodzi, że pan w wysokim stopniu nosisz w sercu poczucie sprawiedliwości... Praktykowanie tej sprawiedliwości musi się panu zdarzać dość często...

— Kuta!— pomyślał sobie w duchu nieznajomy, któremu panna Helena podobała się, zrazu jak „ładna dziewczyna“, następnie jak kobieta zdolna stawić czoło wychowawcowi stoł-

eznych salonów. Zamierzał więc zmienić z nią taktykę i dlatego zamilkł na chwilę. W ciągu tej chwili Prochor wniósł i na stole postawił butelkę miodu.

— Otóż to nasz miodek—odezwał się sędzia.—Może go zechcesz waszmość dobrodziej skosztować...

— To chyba rzec się muszę tuzina szklanek herbaty, które miałem zamiar wychylić...

— Niekoniecznie;.. można pogodzić jedno z drugim... Kończ pan zaczęty tuzin, a potem zajrzemy do butelki...

— *Ma foi!* doskonała rada—rzekł nieznajomy wesoło i popijał dalej herbatę, utrzymując gawędkę, która zwrócił na przygody w ciągu doby doznane.

— Ubawiłem się w Bałcie serdecznie.—Byłem na składkowym obiedzie, który mi zastąpił komedią... Ciekawy-bo to był obiad!..

— Był w Bałcie obiad składkowy?—zapytała panna Helena. — Nic o tem nie wiedzieliśmy, a wczoraj opuściliśmy Bałtę...

— Rano?—zapytał nieznajomy.

— Równy ze świtem...

— Obiad był o drugiej... Szkoda żeście

państwo nie zwlekli wyjazdu... Warto było widzieć tę ekspozycyą szyfonów...

— Jaki pan złośliwy!..

— Staram się być tylko sprawiedliwym...

— Jak z ową dystrybucyą westchnień...

— Jaka pani złośliwa!.. Ale, żart na stronę: gdybym się był z panią na bałtyckich spotkał salonach, bylibyśmy wesoło przepędzili czas..

— Straciłyby na tém owe trzy damy...

— Niechże mi pani przebaczy—błagającym tonem rzekł nieznajomy. — Przyznaję się do winy i w piersi z pokorą się biję... Zrobiłem wyznanie studenckie...

Panna Helena lekko się uśmiechnęła, rada upokorzeniu, do jakiego zniewoliła człowieka wielkiego świata. Lecz spojrzeniem, jakie w tej chwili na niego rzuciła, udzieliła mu tego czego żądał, to jest przebaczenia.

— Długo się obiad ciągnął? .

— Parę godzin... Po wychyleniu ostatniego toastu na cześć płci pięknej, fabrykowanem z cynamonu szampańskim winem, wpadłem na kibitkę i kopnąłem się w stopy...

— Wszak mówiono nam—wsunął sędzia— że wszystkie konie pocztowe zamówione były dla księcia NN.

— Mam zaszczyt należeć do świty jego książęcej mości—podchwycił nieznajomy.

Sędzia skłonił się lekko na te wyrazy, jakby dla okazania uszanowania dostojności do jakiego przyznał się nieznajomy, a panna Helena spojrzała na niego z wyrazem żywego interesu. Wyraz ten jednakże przemknął w jej oczach jak błyskawica z taką szybkością, że niepodobna go było w przelocie pochwycić.

— Kibitek było trzy... Ciągnęliśmy za kareta jego książęcej mości, póki burza nie rozpedziła nas, jak flotę Eneasza... Nie wiem co się stało z kareta i drugimi kibitkami... Nie wiem coby stało się zemną, gdyby zbawcze światełko nie naprowadziło mnie było na państwa powozy...

— Czemuż to światełko nie ukazało się jego książęcej mości i pańskiem towarzyszom?—odezwała się panna Helena.

— Ha, tém gorzej dla nich!.. Widać że dziś mnie tylko samemu szczęśliwa świeciła gwiazda, którą, dodać muszę, przemocą zdobyłem, bo mój służący tego był głębokiego przekonania, że latarnie państwa były nie czém inném, jeno samotrzaskiem, co go nieczysty na dobrych zastawił chrześcian... Tego samego prze-

konania był i drugi, i musiałem najwymowniej-
szych jakie są pod słońcem użyć argumentów,
ażeby ich zmusić do jechania wprost na światło...

Na takich i tym podobnych rozmowach czas
upływał niepostrzeżenie. Tuzin szklanek her-
baty powoli się wyczerpywał i wkońcu wy-
czerpał—i przyszła kolej na miód, który nie-
znajomemu tak się podobał, że porównania dla
niego szukał aż w mitologii.

— Z pewnością bogowie Olympu nic lep-
szego nie pili...

Czy mówił on to szczerze? — nie podejmuje
się ręczyć. To tylko pewna, że sędziego tą po-
hwałą za serce — jak to powiadają — ujął; se-
dzia bowiem bardzo lubił barszcz, piérogie, klu-
ski z sérem, huzarską pieczeń, miód i wszelkie
tym podobne rzeczy, i wielce poważał tych, co
tego gusta podzielali, a bardziej jeszcze takich, któ-
rzy, jak ów nieznajomy, odrazu do nich przy-
stawiali.

— Człowiek ma gust, panie — zna się na
rzeczy...

Miał ich za coś takiego, jak nawróceni grze-
sznicy.

— A co, panie, nasz miodek?..

— Wyśmienity—chwalił nieznajomy.

— Jako lekarstwo—wsunęła panna Helena.

Nieznajomy w oczy jęj z ukosa spojrzął, zlekka mrugnął, na znak że jęj zdanie podziela i ciągnął powoli z lampeczki, pocmokując językiem.

— Wolę to, jak szampańskie...

— Dla mnie szampańskie jest ekliwe—odezwał się sędzia.—Starka, stary wiszniak, stary maliniak, stary miód...

— Słowem, wszystko co stare—podchwycił nieznajomy —Zdaje się że taka kolej nas wszystkich... Pókiśmy młodzi, smakuje nam to i owo: lubimy pianki, jakie ze smukłego szampańskiego wybiegają kieliszka; ale na starość przywiązujemy się do rzeczy esencyonalnych, jak starka, stary wiszniak, stary maliniak, stary miód...

Sędzia głową kiwał, a panna Helena dodała:

— Których najwłaściwsze miejsce na aptecznych półkach...

Te dodatki były z jęj strony uzupełnieniami myśli nieznajomego i miały inne dla sędziego, inne dla niego i panny Heleny znaczenie. Dla sędziego miodowe lekarstwo oznaczało zbawienność, dla nieznajomego i panny Heleny obrzydliwość. W tej przeto materji pomiędzy temi

ostatniemi okazała się zgodność zapatrywania, podobna do téj jaka się objawia w dwóch instrumentach do jednego nastrojonych tonu. Nieznajomy to poznał, i panna Helena poznała, i dwoje tych ludzi, których przypadek złączył, lubo nie nie wiedzieli ani o przeszłości swojej, ani nawet o nazwiskach, byli jakby oddawna znajomemi—rozumieli się.

O przeszłości nieznajomego, o jego znaczeniu, towarzyskiem stanowisku i widokach na przyszłość, panna Helena ciekawą była dowiedzieć się. Przyzwoitość jednakże nie dozwalała wręcz pytać, a nieznajomy sam nie spieszył się z opowiadaniem własnego życia. Wyrwało mu się tylko następujące wyznanie:

— Całym moim majątkiem są moje epolety...

Zachodziło wszakże pytanie: jakie to epolety?—porucznikowskie, kapitańskie czy pułkownikowskie? — Pytania tego nieznajomy nie rozwiązał i panna Helena nie wiedziała, czy uważać go jako młodzieńca pełnego nadziei, czyli też jako człowieka na drodze kariery.

— Będzie czas dowiedzieć się o tém—myślała.—Przy rozstaniu, które jutro nastąpi, zapytam: komuż zawdzięczać mamy pomoc okazaną nam w potrzebie?..

To samo myślał sobie i sędzia; dlatego ani ze strony panny Heleny, ani ze strony sędziego nie było żadnych prób, mających na celu dowiedzenie się, z kim sprowadził ich przypadek.

Czas upływał szybko. Dziewiąta, dziesiąta i jedenasta godziny przeminęły jak jedna chwila. Rozmowa, podtrzymywana głównie przez nieznanego, wiązała się jak girlanda z pachnących uwita kwiatów, przetykana komplementami i dowcipami, które wyglądały jak pozłota na barwinku. Zajmowała ona pannę Helenę, sędziego, a nawet i Bronisję — tę ostatnią jednakże do pewnego tylko czasu, dlatego zapewne, że dzień cały spędziła bezsennie. Sędzia się wyspał, panna Helena się wydrzemała, nieznanomy musiał być przyzwyczajony do późnego czuwania: jednej przeto Bronisi około jedenastej poczęły oczęta się kleić, a twarzyczka jej była wyrazem gwałtu jaki sobie zadawała, powściągając ziewanie. Powściąganie to było możliwem do jedenastej. Po jedenastej ziewanie stało się tak natarczywem, że usteczka Bronisi kilkakrotnie w całej otwarły się szerokości, co w końcu zwróciło na siebie uwagę nieznanego.

— O! panie znużone... potrzebują widać spoczynku...

I spojrzął na zegarek.

— W pół do dwunastej... Mój Boże!.. Jakże czas zbiegł szybko!.. oto najlepszy komplement jaki państwu mogą powiedzieć...

Sędzia spojrzął także na zegarek i dziwił się że zapomniał go, według przyjętego raz na zawsze zwyczaju, o dziewiątej nakręcić.

— Jeszcze—mówił—nigdy mi się, chwalić Boga, to w życiu nie przytrafiło... W pół do dwunastej, a zegarek nie nakręcony.

— Oto odpowiedź na pański komplement—wsunęła panna Helena.—Wujaszek w towarzystwie pana zapomniał o zwyczaju życia całego...

— To mi wielce pochlebia... odrzekł nieznajomy,—a zarazem dowodzi, że pani, pan i ja przystajemy do siebie... Tylko panienki—tu wskazał na Bronisję—nie bawi nasze towarzystwo do tego stopnia, ażeby dało jej siły do zwalczenia domagań się natury... Pani chce spać...

— O!.. chciała się Bronisia tłumaczyć; lecz nieznajomy, nie dając jej przyjść do słowa, wstał i ciągnął dalej:

— Więc musimy pani ustąpić... Niech zbierają ze stołu; trzeba salon jadalny przemienić na pokój sypialny...

— Niech pan nam to samym zostawi... odezwiała się panna Helena.

— O nie, pani... Muszę dokończyć rozpoczętego dzieła...

To rzekłszy, zawołał na służących i ci w momencie uprzętnęli ślady wieczery. Następnie kazał odsunąć sprzęty, które do siedzenia służyły i sformowały się w głębi dwa łóżka, do uzupełnienia których brakowało tylko pościeli. Trzecie łóżko ustawił przy wejściu, oddzielając je od pierwszych kotarą zaimprovizowaną z płaszczów i salop.

— Oto dla pan — rzekł, ukazując na łóżka w głębi. Oto dla pana — dodał, ukazując na ostatnie.

— My, panie, obydwaj pomieścimy się w bryce — podchwycił sędzia.

— Brykę bezpodzielnie chcę mieć dla siebie... odparł nieznajomy. — Dobranoc państwu...

I podał rękę sędziemu, pannie Helenie i Bronisi i wyszedł. Sędzia za nim.

— Moim obowiązkiem jest dopilnować, ażeby panu było wygodnie...

— Niech się pan o to nie troszczy...

— I podziękować panu...

— O, panie!..

— Bądź pan pewnym naszej wdzięczności...

I chciał sędzia dodać:

— Chociaż nie mamy zaszczytu znać pańskiego nazwiska.

Lecz wstrzymał się, pomyślawszy sobie:

— Będzie na to czas jutro... Rozumié się, nie puszcę go bez herbaty, chociażbym miał koła od pocztowego wózka kazać porąbać... Zaproponuję mu, ażeby jechał z nami... Będzie mu wygodniej zemną w bryce, a mnie w jego towarzystwie będzie weselej, niż w towarzystwie zaspanego Herszka... Herszka posadzę za powozem..

Zrobiwszy naprędce taki planik, odprowadził gościa do bryki, powiedział mu dobranoc i powrócił do namiotu, gdzie go panna Helena następującemi spotkała wyrazami:

— Mój wujaszku, jakież to dziwne ludziom zdarzają się wypadki!.. Czyż mogliśmy się takiego spodziéwać noclegu?..

— Chwalić Boga!.. Opatrzność zesłała nam pomoc...

— Ale co za pomoc!.. Cóż za miły, jaki pełen resursów człowiek!.. Jaki niewyczerpany w pomysłach i rozmowie!..

Sędzia miał na to wyrazy i gesta potwierdze-

nia, chociaż nie podobał mu się trochę entuzjazm z jakim wychowanka jego objawiała zdanie o nieznanym człowieku. Czuł się więc niejako obowiązany na entuzjazm ten dmuchnąć zimnem rozwagi.

— Miły, pełen resursów człowiek — powiedział. — Niema co mówić... Ale mogą to być zalety powierzchowne... Chcąc o człowieku sąd wydać, potrzeba z nim beczkę soli zjeść...

— A!.. z humorem odparła panna Helena. — Ja sędzę, że niezawsze chodzić powinno o wydawanie sądu, który do wytworzenia wyroku potrzebuje zakulisowych detali... Podług mnie przedewszystkiem potrzebnym jest człowiekowi to, co Francuzi nazywają *savoir se faire valoir*, a co po polsku znaczy „umieć się kazać cenić“, potrzeba posiadać dystynkcyą, pozwalającą na przysłowie wujaszka o soli, odpowiedzieć innym przysłowiem: „jak cię widzą, tak cię piszą“...

Przysłowia wielką w opinii sędziego posiadały powagę. Znała tę słabą wuja stronę panna Helena i przytoczeniem przysłowia zbiła go z toru. Niezawodnie, gdyby pisać o nieznanym jak się go widziało, nie było dla niego wyrazów na pochwały. Była to doskonałość, wlana w ludzkie ciało i kości.

Doskonałość ta wlaźła do bryki, wyciągnęła się, okryła płaszczem i chrapnęła. Przedtem jednakże następujące w ucho służącemu włożyła wyrazy:

— O czwartej pojedziemy...

Służący podniósł palec do czapki i odpowiedział:

— Słucham...

Mała ta na pozór okoliczność, wielkiego zmartwienia stała się powodem — zmartwienia dla panny Heleny i sędziego, którzy poszli spać pierwsza z głową napełnioną we wszystkich komórkach obrazem pięknego, miłego i umiejącego *se faire valoir* gościa, drugi ze spokojnem, jak na sprawiedliwego sędziego przystało, sumieniem. Co się im śniło?—opowiedziałbym, gdyby opowiadanie snów nie uchodziło za *mauvais genre*, nawet w powieści. Zamiast przeto wdawać się w opowiadanie snów i w prognostykowanie na podstawie takowych mających się zdarzyć wypadków, wyprowadzę czytelnika przed namiot i ukazę mu dwa przedmioty: ziemię i niebo.

Na ziemi niewiele było do widzenia. Głęboka cienność i głucha cisza całkiem ją zalały. Tylko po omacku można było wynaleźć powóz, brykę, pocztową kibitkę, poskulane i drzemia-

ce konie i uspioną głęboko na kozłach i pod powozami służbę. Wilgoć nie przeszkadzała tej ostatniej spać, co może posłużyć jako dowód, że potrzeba jest matką nie tylko wynalazków, ale i możliwości obchodzenia się bez koniecznych dla zdrowia ludzkiego warunków. Pomiedzy służbą jednakże był jeden, który nie spał, pomimo że sen nachylał go i łamał. Czuwał, oparty o pocztowy wózek i od czasu do czasu na repetyerze godziny wydzwaniał. Był to służący nieznanego.

Na niebie po północy zaczęło się powoli rozjaśniać. Wiatr ustawał, chmury przechodziły, tu i owdzie poczęły mrugać gwiazdki i około trzeciej pokazał się księżyc, którego blade światło łamało się z cieniami, padającymi od pozostałych na horyzoncie chmur. Było to światło bardzo niedostateczne; przy niem jednakże mógł się zorientować człowiek doskonale z okolicą obznajomiony.

Po tym rekonesansie nieba i ziemi, powróćmy do namiotu i usiądźmy u wezglowia panny Heleny. Niewolno opowiadać jej snów, szkoda!—ale wolno powiedzieć jak spała. Sen jej przyrównać się da do snu żurawia stojącego na czatach. Budziło ją każde chrząknięcie i mo-

niejsze sędziego chrapnięcie. Wciąż się przebudzała i wciąż zapytywała siebie:

— Co to?..

I znów usypiała na to, ażeby ją znów jakiś szelest przebudził. Raz się przebudziła, bo jej się zdawało, że słyszy za namiotem jakiś ruch, jakieś niby wozu skrzypienie, niby koni powolny a głuchy tentent, jakieś potem dalekie ziemi dudnienie.

— To nic... to sen... powiedziała sama do siebie i usnęła i nie obudziła się, aż sędzia głośno krzyknął:

— Na Boga!.. w pół do siódmej!.. Tomaszu!.. Zaprzęgaj!..

Na okrzyk ten wszedł Prochor ze światłem i oznajmił, że konie są zdrowe i obrok już zjadły.

— A ten pan, czy śpi jeszcze?.. zapytał sędzia.

— Gdzież tam!.. Nikt ani słyszał kiedy odjechał...

Ta to wiadomość zmartwiła sędziego i pannę Helenę.

V.

Słyszałem pewnego profesora ekonomii politycznej, staruszką, który do dziś jeszcze żyje,

narzekającego przez całe życie, że się urodził później niż Adam Smith.

— Gdybym był wcześniej na świat przyszedł... mawiał, system Adama Smitha nosiłby moje nazwisko.

I mnie do czegoś podobnego ochota w tym miejscu bierze. Co za szkoda, że się nie urodził wcześniej niż Jan Jakub Rousseau!..

Nie jestem jednakże tak zarozumiałym, ażebym miał twierdzić iżbym Rousseau'a zastąpił. O! nie. Mój żal ma na celu jeden tylko tego Wolterowego przeciwnika utwór, mianowicie jego „Spowiedź“.

Pospieszam jednakże uprzedzić czytelnika, że nigdy mi w myśli nie powstało pisać moją spowiedź; że przeto ją napisał filozof genewski, nie wyrządził mi tym żadnej krzywdy. Cała krzywda na tym zależy, że opisał panią Warens i swoje z nią stosunki. Bo oto właśnie nastęrcza mi się sposobność do podobnego opisu, któremu Rosseau odbiera całą zaletę świeżości i oryginalności.

Pomiędzy panią Warens i panią Warring zachodziło uderzające podobieństwo. I ta ostatnia była niemłoda a ładna, i ta ostatnia miała swoje Annecy, w którym pędziła życie spokoj-

ne, wygodne, całkowicie poświęcone dobrym uczynom, bawieniu gości i nauce.

Annecypani Warring nazywało się Failchenhof, czyli, zachowując niemiecką pisownię, *Veilchenhof*, fiołkowy dwór. Nazwę tę usprawiedliwiała ogromna ilość fiołków, wyrastających co wiosna w pobliżu mieszkania pięknej uczonéj, różnéj tém od pani Warens, że tamta była naturalistką, a ta filozofką. Natura służyła jéj nie jako cel, ale jako ozdoba życia, podzielonego na regularne a równe części, z których każda napełnioną była jakimś przyjemném lub użyteczném zajęciem. Pani Warring wstawała o ósméj, jadła śniadanie o dziewiątéj, obiad o drugiéj, wieczerzę o siódmej. Śniadania jéj, obiady i wieczerze były skromne ale posilne: nie wstawało się od jéj stołu objedzonym, lecz nie wstawało się głodnym. Przy każdym jedzeniu panował zawsze dobry humor, który pani domu umiała podtrzymywać, urozmaicając do nieskończoności materją rozmowy. Czas między śniadaniem a obiadem zajęty był nauką w bibliotece, między obiadem a wieczerzą krótkim spoczynkiem, po którym następował spacer konno, powozem lub piechotą, co zależało od pory roku, stanu tem-

peratury i pogody. Na wiosnę, latem i w jesieni wyjeżdżała niekiedy, w celu oglądania rolniczych prac, w jesieni i zimą w celu asystowania jakiejś rozrywce, lub brania w takowej osobistego udziału. Do tego rodzaju rozrywek należały: polowanie i rybołówstwo. Czas pomiędzy wieczerzą a pójściem do łóżka upływał na grach w wista, w szachy, w billard i na dyskusjach filozoficznych, historycznych, literackich i ekonomicznych.

Failchenhof słynął w okolicy pod nazwą przybytku muz, pomimo że nigdy nie widziano w nim muz więcej jak jedną, a tą była sama pani domu, od której jaknajdalej okoliczne stroniły damy. Żadna zameżna ani owdowiała pani, a tem bardziej żadna panna nie postała na salonach failchenhofskego zamku, zwanego zamkiem ze zwyczaju, bynajmniej zaś dlatego, ażeby posiadać miał własności obronne, inne od tych, które bronią człowieka od zmian powietrza i temperatury i od różnych niedogodności mieszkania pod gołym niebem. Sama już nazwa odznaczała niewinność przeznaczenia, która wyraźniejszą się jeszcze stawała, gdy się oglądało jego położenie i rozkład. Leżał u stóp zielonego wzgórza, zwrócony frontem

do ozielenionego jeziora. Wzgórze nie było wysokie, miało jednakże pozór góry, jeżyło się bowiem pod szczytem spiętrzonymi, siwymi, mchem i bluszczem ugirlandowanymi skałami, wyglądającymi zdaleka niby wazon, z którego wyrastał stożkowy bukiet sosen. Z pomiędzy sosen przeglądała biała, połyskująca strzała cienkiej, wysmukłej, w kształcie minaretu zbudowanej wieżyczki. Było to obserwatorium, ale nie astronomiczne, z którego widok na okolice równał się najpiękniejszym szwajcarskim. Od obserwatorium do zamku prowadziła kręta, pomiędzy drzewami i skałami biegnąca ścieżka, która minawszy skalistą obręczkę, zmieniała się w wygodną, uźwirowaną i piaskiem wysypaną ulicę obszernego parku, opasującego zamek z trzech stron. Z ezwartej strony, od frontu, rozlegała się owalnie szeroką drogą okolona murawa, łagodnym spadkiem ku jezioru schodząca. Było to podwórze. Ozdabiał je wyrastający na samym środku rozłożysty jawor, olbrzymiemi konarami szeroki dokoła rzucający cień. Na przeciwnym brzegu jeziora rozlegała się wieś, tego samego co zamek nazwiska, a na środku wznosiła się wysepka umazona drzewami, ocieniającymi kiosk, zbudowany

na wzór wschodni. Około wyspy pływały łabędzie. W parku pełno było posągów, altan, ławek, stolików. Ławkami i stolikami otoczony był jawor. Kilka ławeczek stało nad jeziorem i na wyspie.

Sam zamek był struktury mającej gotyckie pretensye, zmodyfikowane w taki sposób, że styl jego architektury pozostawał bezimiennym. Niemniej przeto wyglądał okazańie i, pomimo że zbudowany był przed kilku laty, nosił na sobie cechę starożytności, która po bliższem rozpatrzeniu się występowała jako udanie. Przypominał on owe podrabiane numizmaty, albo też fabrykowane rozwaliny. Niemniej przeto, jak powiadam, był okazały. Front miał gotycki, z szarego kamienia; skrzydła ozdobione były włoskimi oknami; przyczepiona z boku krągła, z oknami nakształt strzelnic i krenelowana u szczytu wieża miała minę strażniczej. W niszach po dwóch stronach balkonu, przyczepionego trochę niewłaściwie do gotyckiego frontu, stały posągi wynalazców druku, Guttenberga i Fausta, co zamkowi nadawało charakter jakiegoś muzeum lub naukowego zakładu.

Jakoż w samej istocie był on i muzeum i naukowym zakładem, mieścił w sobie bowiem ró-

żne składy, mające ściśłą z wiedzą ludzką styczność i obok tego wszyscy jego mieszkańcy zajmowali się naukami—wszyscy bez wyjątku, nie wyłączając ani panny służącej, ani kuchty. Każdy i każda z zamkowej służby mieli jakąś naukową specjalność: pani Warring była uniwersalną. Był to Humboldt w spódnicy i w rozmiarach tego do prawdziwego Humboldta stosunku, jaki zachodzi między naturalnej wielkości portretem a miniaturą, ale—dodać potrzeba—miniaturą trochę skarykaturowaną. Główną jednakże siłę pani Warring stanowiła filozofia, a to dlatego, że w niej wszystkie ześrodkowują się nauki. Za wzór postawiła sobie Herdera, ale zamierzała go prześcignąć, chociaż tego nikomu nie mówiła. Celem jaki sobie wytknęła, było pogodzenie systematów Kanta, Hegla, Fichtego i Szelinga, albo raczej zbudowanie nowego, oryginalnego systematu, na podstawie danych zawartych w pismach tych filozofów.. Chiała zrobić naodwrot to, co z zamkiem. Zamek był budowlą starą z nowych materyałów; ona w filozofii chciała wznieść budowlę nową ze starych materyałów. Dlatego wciąż czytała i czytała i to porządkiem: Kanta, Hegla, Fichtego i Szelinga. I cały swój nowy, oryginalny

systemat miała w głowie—tylko nie umiała go wyrazić, nie umiała ująć w formy książki. Powodem tego było to, że każdy z rzeczonych filozofów, kiedy się nim zajęła, wydawał się jej najbliższym absolutnej prawdy. Kiedy Kanta miała w ręku, wówczas wszystko odnosiła do rozdziału pomiędzy subjektem a objektem, a po głowie jej snuły się idee aprioryczne i kategorie. Hegel kazał jej wszystko wyprowadzać z idei, której wcielenie oglądała z zadowoleniem miłości własnej, zwłaszcza w momentach, kiedy siedzącej z książką w ręku przed zwierciadłem, panna służąca czesała długie, grube, czarne warkocze. Fichte potęgował w niej *ja* i transcendentalny jego idealizm wytrącał jej z umysłu i krytycyzm Kanta i idee Hegla. Identyzm Szelinga dopełniał dzieła konstrukcyi systemu, to **jest** burzył poprzednie i przeszkadzał pani Warring z ruin taką wystawić całość, którąby można jako system uczonego świata na pastwę rzucić. Całość ta jednakże tkwiła w jej głowie, ale nie filozoficznie, lecz raczej poetycznie, jak pieśń którą dusza śpiewa, pełna harmonii, zachwycająca melodyą choć dla słuchaczy niezrozumiała.

W dyskusjach pani Warring była Kancist-

ka, Hegelianistką, Fichcistką lub Szelingistką. Zależało to od jęj przeciwnika. Jeżeli ten na przykład występował jako zwolennik oddziału subiektywności od obiektywności, to ona dowodziła, że podmiot z przedmiotem zléwa się w jedno; jeżeli ten stawil ideę, to ona przeciwstawiła jęj absolutne ja—i broniła swojej tezy z zapalem, który jęj szafirowe oczy napełniał weale niefilozoficznym wyrazem.

Któsby może pomyślał, że ta filozofka była to sucha, wysoka, ostrokoścista baba, z żółtą cerą i zapadłemi oczami. Bynajmniej. Była ona pulchniutka i rumiana, a kiedy się uśmiechała, to na jęj jagodach formowały się dołki, daleko wszelką myśl o książkach odpędzające. Miała lat trzydzieści kilka i mogła, gdyby chciała, rozkochać w sobie każdego studenta.

Ale—gadajże jęj o miłości! Filozofia wystrychnęła w nięj miłość na dudka; pojmowała ją po swojemu, w sposób wyższy nad przesady zwyczajne i społeczne wymogi. Pani Warring miała swoją własną moralność, która nie była bez wdzięku, lecz wywracała wszelkie ustalone, powszechnie uznane i przyjęte o moralności pojęcia. Ten to był powód, dla którego okoliczne damy miały do failchenhofskiej kasztelanki

nieprzewyciężony wstręt, którego wszakże nie dzielali mężczyźni, dla których Failchenhof szczególny posiadał urok. Z tego powodu w zamku często można było liczyć na towarzysztwo, złożone nietylko z bliższych sąsiadów, ale i z dalekich przybyszów, i to po większej części ludzi poważnych, jakimi zazwyczaj bywają profesorowie uniwersytetu. Pani Warring gościła ich i raczyła serdecznym przyjęciem, zaprawnym naukowymi rozprawami. Tym ostatnim kobięcy jej rozum szczególny a oryginalny nadawał akcent.

Ażeby dokończyć portretu pani Warring, dodać należy, że życie jej na dwie rozpadało się połowy: jawną i zakulisową. Jawnie była ta kobięcina bardzo miła, nadzwyczajnie zajmująca i dla wszystkich jednakowa. Za kulisami była także miła i ujmująca, ale nie dla wszystkich jednakowa. Tam miała wybrańców, stałych i niestałych. Niestalym—w momencie w którym zajrzeliśmy do Failchenhofs—był Oswald Dalman, młodzieniec siedemnastu lat, którego historia była taką.

Nieboszczyk ojciec Oswalda, były kolega szkolny failchenhofskego pastora, miał dużo dzieci i dużo długów. Dzieci rosły i długi

rosły; pierwsze dlatego że tak chciała natura, drugie dlatego że tak chciał Dalman ojciec, który uroił sobie, że majątek od ruiny uratuje finansowemi operacyami. Ratował więc go przez długi czas. W tym względzie rozwinął rzeczywisty talent. Z początku zaciągał nowe długi, celem zapłacenia starych; następnie zaciągał nowe, nie płacąc starych i doprowadził do tego, że majątek odłużył dwa razy wyżej nad wartość. Nic go to jednakże nie obchodziło. Niezłomna wiara w finansowe operacye wyrobiła w nim taki talent zaciągania długów, że brnął w nie coraz głębiej i kto wie jak głęboko byłby zabrnął, gdyby nie jedno zdarzenie. Zdarzeniem tém była śmierć żony. Ta śmierć pomieszała mu szyki. Zdekoncertował się, zaprzestał na chwilę finansowych operacyj i zgubił się. Kredytorowie obskoczyli go— majątek zabrali, a jego, z dziewięciorgiem różnego wieku i obojędzki dzieci, na bruk wyrzucili.

Co począć w takim razie?— Człowiek zwyczajny poskrobałby się w głowę i wziął się do pracy. Lecz Dalman ojciec miał się za coś więcej od zwyczajnego człowieka i dlatego inaczej sobie poradził. Napisał dziesięć listów, z których dziewięć brzmiały co do joty jednakowo

ze stosownemi w tytułach, adresach i imionach własnych zmianami.

— „Zacny i dobrze (lub wysoko i dobrze) urodzony panie NN.

„Spodzielam się iż w twoim domu znajdzie się kącik, przy twoim stole miejsce dla Dalmana. Posyłam ci przeto mego syna (lub córkę) N., polecając go twemu dobrze mi znanemu sercu. Zostaję etc.“

Dziesiąty list brzmiał jak następuje:

— „Przez całe życie ratowałem się operacyami finansowemi; obecnie uciekam się do chirurgicznój. Czynię to dobrowolnie i z całą umysłu przytomnością, w tém przeświadczeniu, że jest to jedyny sposób wyjścia z honorem z trudnych interesów. Testamentu nie piszę, bo moim spadkobiercom nie mam do przekazania nawet długów. Pozostaje mi więc tylko pożegnać ich, jakoteż wszystkich znajomych, przyjaciół i krewnych.“

List ten złożył i niezapieczetowany położył na stole, a rozesławszy dzieci, opatrzone każde z osobna w jedno z dziewięciu pism, usiadł przed zwierciadłem i brzytwą gardło sobie od ucha do ucha przerznął. Było to ową „chirurg-

giczną operacją,“ która wszelkie dla niego kłopoty zakończyła.

Z jednym z listów rekomendacyjnych przybył Oswald do pastora w Failchenhof. Miał podówczas lat trzynaście. Pastor był mu rad jako gościowi; lecz dowiedziawszy się o samobójstwie Dalmana i poznawszy że gość oddanym mu jest na dyskrecyą, a będąc sam liczną obarczony rodziną, nie wiedział co z nim robić. W tym ambarasie udał się do pani Warring, która, dowiedziawszy się o co chodzi, natychmiast oświadczyła się z gotowością wzięcia Oswalda do siebie na wychowanie.

Pastor nie byłby żadnego ze swoich dzieci oddał do zamku, Oswalda sierotę odprowadził, rad że się pozbył ciężaru i odpowiedzialności.

Pani Warring przyjęła młodego chłopca z bynajmniej nie udaną serdecznością.

— Uważaj mój dom jak swój własny, a mnie jak matkę...

Oswald wziął te wyrazy w literalnym znaczeniu i do nich się zastosował, ku wielkiemu pani Warring zadowoleniu.

Wychowanie jego rozpoczęło się od tego, że pozostawiono mu wolność robienia co mu się podoba. Było to bardzo mądrze. Bo cóż on miał

robić w atmosferze przesiąkniętej nauką?—Oczywiście, oddychać tą atmosferą, to jest wsiąkać w siebie filozofią, historią, polityczną ekonomią, literaturę, nauki przyrodzone, i t. d. i t. d. Uczył się, nie ucząc. Wciągał w siebie wiedzę wszystkimi naraz porami. Uczył się od pani Warring, od burgrabiego, od panny służącej, od kucharza, furmana, lokaja, nawet od chłopca co mu buty ściągał. Jakże nie miał korzystać?—korzystał jak gąbka w wodę włożona.

Ale nasz Oswald nie był Janem Jakubem Rousseau. Uczył się, bo musiał — bo nauka w Fajlchenhofie była powszednim chlebem, którego nie pożywać było prostym niepodobieństwem. Pomiedzy tém jednakże pożywaniem, a upożytecznieniem na szerokie rozmiary, wielka zachodziła różnica. Oswald zdobywał wiedzę w ułamkach i tylko wyłącznie dla siebie, bo w duszy swojej nie posiadał téj Bożej iskry, któraby w niej rozniecila żądze nauki. Uczył się od niechcienia, przeplatając czytanie książek i słuchanie improwizowanych wykładów, wycieczkami w okolicę, ze strzelbą na ramieniu, lub konno z chartami.

Czas upływał mu szybko, użytecznie i przy-

jemnie. Cztery lata zbiegły jak jeden dzień. Oswald rozwijał się rozkosznie, jak młody dąb, wzrastający w jaknajprzyjaźniejszych warunkach. Z chłopca stał się młodzieńcem nie głupim i pełnym sił, które grały w jego oczach i w całej postawie, pełnej harmonii i młodzieńczego wdzięku.

Póki nie skończył siedemnastu lat, pani Warring traktowała go jak dziecko. Gdy zaczął ósmnasty rok, postępowanie jej z nim zmieniło się nagle, i to w dniu jego urodzin, obchodzonych w zamku corocznie jak domowe rodzinne święto.

Corocznie jednakże urodziny pana Oswalda obchodzono nie tak, jak kiedy dobę dojrzewania rozpoczął. Zazwyczaj pani Warring posyłała mu rano jakieś wiązanie, przy śniadaniu składano mu powinszowania, w czasie obiadu liczba półmisków powiększoną była o jeden wysmienity sztrudel, a z wieczerzą przenoszono się bądź na wyspę bądź do lasu, gdzie naturalna grotka i bijące ze skały źródło wybornie się nadawały do biesiadowania przy pochodniach. Gdy jednakże osiemnasty rok zaczął, zwyczajny program obchodu o tyle został zmie-

niony, że zamiast wiązania, otrzymał wezwanie udania się do pani.

— Pani prosi do siebie — oznajmił mu burgrabia, który zazwyczaj wiązanie przynosił.

— Czy już wstała?... zapytał Oswald, przez wzgląd na zbyt ranną godzinę.

— Nie wiem;... ale prosi zaraz — powtórzył burgrabia i wyszedł.

Oswaldowi nic nie pozostawało innego, jak udać się do komnaty pani Warring, której drzwi dotychczas były dla niego jaknajszczelniej zamknięte.

Wszedł, postąpił kilka kroków, stanął i zagapił się. Pani Warring się uśmiechnęła. Przez chwilę trwało milczenie, którego młodzieniec nie myślał przerywać, rozpatrując się w pełnem elegancyi i komfortu umeblowania pokoju. Przerwała je pani Waring. Wzięła ze stolika paczkę banknotów i podając ją Oswaldowi, rzekła:

— Oto dziś dla ciebie wiązanie... Dotychczas traktowałam cię jak dziecko i dlatego dostawiałeś w prezencie na urodziny sprzęty, narzędzia lub suknie... Od tego momentu będę cię traktowała jak słusznego już młodzieńca

i na znak wyzwolenia, masz pieniądze, z którymi zrobić możesz co ci się podoba.

Oswald podziękował. Pani Warring wyciągnęła do niego rękę, którą on ucałował z uszanowaniem.

Pani Warring ukazała Oswaldowi na fotel. Oswald usiadł.

— Wyzwalając cię — ciągnęła piękna pani dalej — muszę z tobą pomówić otwarcie, bo nie chcę sobie mieć do wyrzucenia, jeżelibyś źle użył wolności. Zacznę tedy od tego, że się zapytam: czy chcesz pozostać u mnie? czy chcesz ruszyć w świat?

Zapytanie to spadło na Oswalda tak niespodzianie, że nie umiał odpowiedzieć inaczej, tylko zakłopotaniem i dwusylabą:

— Nie wiem...

— Potrzeba jednakże żebyś wiedział. Pomyśl i zastanów się, a jeżeliby ci to z trudnością przychodziło, to ja ci pomogę...

— Wiedz, że przyjmując ciebie, sierotę, pod mój dach, nie miałam na myśli wiązania cię do mojej osoby, ani skarwienia twojej wdzięczności. Zrobiłam to nie przez litość, lecz dlatego jedynie, że postępek ten, nie nadwierzając w niczem harmonii mego życia, w twojem na-

prawił niesprawiedliwość losu. Nie spełniłam żadnego obowiązku, a dogodziłam i tobie i sobie. Nie mam więc prawa wymagać po tobie jakiegobądź poświęcenia.

Odetchnęła, odpoczęła i tak dalej prawiła:

— Nie mogę jednakże zataić przed tobą, że sprawiłbyś mi wielką przyjemność, gdybyś zechciał ze mną pozostać...

Co Oswald miał na to odpowiedzieć? — Pokiwał głową, pomilczał przez chwilę i odrzekł:

— Pozostanę...

— Tegom się po tobie spodziewała—podchwyciła pani Warring.

Od tej chwili zmienił się jego stosunek do opiekunki, ale tylko, że tak powiem, wewnętrznie, bo na zewnątrz pozostał tém samém czém był dawniej. Pani Warring nie przestała być miłą, uczoną, filozofującą i dyskutującą kobietą, godzącą Hegla z Kantem i Fichtego z Szellingiem, kobietą wyższą o całą głowę ponad gmin istot zaludniających piekarnie, pralnie, garderoby, kuchnie, dzieciarnie i salony, słowem kobietą niepospolitą.

VI.

Tak upłynął rok cały i drugiego połowa.

Oswald coraz bardziej czuł potrzebę rozmówienia się z opiekunką swoją, bo położenie jego poczęło mu się wydawać nie nader zabawném.

— Filozofia na stronę—mówił sobie—ale tak dłużej być nie może... Trzeba żeby się to skończyło....

Zrobiwszy takie postanowienie, skorzystał z pierwszój sposobności zbliżenia się do pani Warring i pomówienia z nią na osobności.

— Pani.... chcę.... życzę sobie.... opuścić Failchenhof.

Pani Warring nie okazała ani zdziwienia, ani żalu.

— Jak chcesz.... Dokądże zamierzasz się udać?..

— Sam nie wiem—odparł Oswald, zdekoncertowany zapytaniem i zmieszany grzeczną obojętnością z jaką było wygłoszone.

— Trzeba przecież żebyś wiedział...

— Pojadę do Rygi, do Rewla, wsiądę na okręt i pojadę na morze... daleko... do Szwecyi... do Anglii... do Ameryki — podchwycił z gorączkowym pośpiechem.

Pani Warring uśmiechała się na to dobrotliwie i z pewnym lekkim wyrazem politowania. A gdy Oswald skończył...

— O! — podchwyciła. — Daleką zamierzasz zrobić podróż. Braknie jej jednakże wyraźnego celu...

— Co mi tam cel! — przerwał Oswald — moim celem jest oddalić się, mniejsza gdzie, byle jaknajdalej...

— Można oddalić się za przepierzenie izby być tak daleko, jakby się do antypodów zajęchało... Zresztą, pomówimy o tém jutro. *La nuit porte conseil*, mówią Francuzi. Jutro odłożę dla ciebie chwilę czasu i pomówimy obszernie...

Nazajutrz około południa Oswald dostał przez lokaja następujące, suche a lakoniczne wezwanie:

— Pani prosi do biblioteki...

W bibliotece pani Warring czekała na Oswalda, ale nie sama. Obok niej siedział w fotelu pastor, niegdyś szkolny kolega i przyjaciel jego ojca. Pani Warring prosiła go usiąść i w te odezwała się wyrazy:

— Prosiłam pana pastora, któremu twój ojciec ciebie powierzył, ażeby w jego obecności pomówić z tobą o zamiarze twoim opuszczenia Failchenhofu. Pana pastora zamiar ten nie dziwi, przeciwnie, pochwała go. Pod tym

względem i ja jaknajzupełniej zdanie jego podzielam. Jesteś człowiek młody, potrzebujesz widzieć świat...

Pastor dodał:

— Uczyć się...

Pani Warring dokończyła:

— I pomyśleć o przyszłości dla siebie..

A po chwili milczenia zapytała:

— Cóż obmyśliłeś?.. Jak ci się zdaje?.. Co byś chciał z sobą zrobić?..

Położenie Oswalda, z powodu obecności pastora, stało się fałszywem. Tak mu się przynajmniej wydawało. Na dane przeto zapytanie nie miał odpowiedzi. Wyreńczyła go pani Warring, zwracając mowę do pastora:

— Wczoraj, oznajmiwszy mi swój zamiar, mówił że chce się udać do Ameryki. Co pan o tém myśli?..

— A to po co! — odparł pastor. Nie widzę w tém najmniejszej potrzeby i żadnego celu. Nie mówię gdyby tu na miejscu przed młodymi ludźmi nie było otwartego pola. Ale, Bogu dzięki, i tu, byle chcieć, można sobie piękną stworzyć przyszłość. Ja z mojej strony nie jestem za, tém, ażeby Oswald tak daleko na niepewne się puszczał...

— Jabym myślała—o dezwiała się pani Warring—że dobrzeby było, gdyby pojechał do Dorpatu i do uniwersytetu wstąpił...

— Bardzo dobrze — podchwycił pastor.— Przyłączam się do zdania pani i całą je popieram siłą... Nauka i towarzystwo rówieśników jest dla młodzieńca koniecznym do dramatu życia prologiem. Stanowczo, w imieniu i zastępstwie ojca, jestem dla Oswalda za Dorpatem...

— Cóż ty na to? — zapytała tego ostatniego pani Warring.

Oswald wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Zgoda...

— Bardzo mnie to cieszy — odrzekła pani Warring. Przejście przez uniwersytet w żadnym razie nie zaszkodzi, a pomódz może ogromnie. Kilkoletni pobyt w miejscu koczującym w sobie różnego rodzaju wiadomości, da ci możliwość rozpatrzenia się lepiej w świecie, i jeżeli po kilku latach nie zmienisz postanowienia, udasz się do Ameryki lub Azji z zasobami, które ci pozwolą zdobyć sobie niepodległość.

Pastor ze swojej strony dodał coś jeszcze na pochwałę uniwersytetu. Pani Warring poparła pastora i gawędka ta zakończyła się zapyta-

niem tej ostatniej, wystosowaném do Oswalda:

— Kiedy chcesz jechać?.

— Kiedykolwiek... choćby dziś—była odpowiedź.

— I za ten pośpiech cię pochwalam... Im prędzej, tem lepiej... Nim rok szkolny się rozpocznie, będziesz mógł przygotować się do zdania wstępnego egzaminu... Dziś jednakże wyjechać nie możesz, bo potrzeba żebyś się wybrał, ale jutro. Gotuj się więc do podróży na jutro. Opatrzę cię w listy polecające i we wszystko co potrzebném jest do ułatwienia studyów. Będziesz miał na pięć lat utrzymanie, które częściami, regularnie co trzy miesiące, będzie ci mój bankier wypłacał...

Pastor podziękował pani Warring w imieniu Oswaldowego ojca i podniósł jej dobrodziejstwo pod niebiosą.

Nazajutrz po śniadaniu, Oswald był już w podróży do Dorpatu.

Że Dorpat nie był odległym, więc podróż nie trwała długo. Trzeba było wszelako, licząc w to popasy i noclegi, jechać dwie doby i pół. Dla człowieka jednakże, który z Failchenhofu niedaléj jak na trzy ćwierci mili odjeżdżał, przejazd do Dorpatu przybiórał poważne roz-

miary podróży, w której wszystko było dla niego nowością, tém bardziej że droga w całej swojej długości przedstawiała wielką różnorodność. Raz wspinała się na wzgórza, drugi raz zbiegała w doliny, tu przeskakiwała przez rzekę lub jej koryta się trzymała, owdzie wiała się wśród głuchych lasów. Gdzie rozleglejszy rozciągał się horyzont, tam niezawodnie rzucał się w oczy pejzaż, któremu nie brakło ani omszonych skał, ani posiwiałych od starości ruin, ani wodnistej, ozielenionej w perspektywie smugi. Nie brakło także historycznych wspomnień, przywiązanych do niektórych miejscowości, a nadających obrazom natury ruch i życie. Nad brzegami Aa, Embachu, Elwy i każdego niemal strumienia, na wyżynach snujących się pomiędzy źródłem rzek i rzeczek, było na co patrzeć i o czem dumać. W niektórych miejscach, jak np. w Kokenhofie, w Wolmarze, rycerskie ballady same się, że tak powiem, napraszały.

Nowość ta i różnorodność nie mogły nie zająć Oswalda. Ze wszystkich jednak wrażeń podróży najsilniejszym było to, którego doznał wjeżdżając do Dorpatu.

— Jestem tedy u celu— rzekł do siebie.

I zrobiło mu się zimno i niby straszno. Wychowanym będąc nie w publicznych szkołach, nie znał towarzystwa rówieśnej młodzieży i wyobrażał sobie uniwersytet nakształt klasztornego więzienia, gdzie ludzie się tylko uczą i nad naukami rozmyślają. Studentów wystawiał sobie niby rodzaj mólów w książki wgryzionych. Żał mu się więc zrobiło za utraconą, według jego mniemania, swobodą i za młodością, która miała zżółknąć na pergamin.

Miał wkrótce pod tym względem miłego doznać zawodu. Zanim jednakże to nastąpiło, przebyć musiał nowicyat tém cięższy, że pod opieką jednego z najznakomitszych pedantów, do którego mu i pastor i pani Warring dali listy polecające. Był to profesor na wydziale prawnym. Wykładał podobno greckie i rzymskie prawo. Wykładany przedmiot tak pochłonał jego umysł, że na świat patrzył przez pryzmę dygiesty, pandektów, instytutów i nowelli, i z ludźmi, a zwłaszcza ze swoją żoną, która nim została panią profesorową, była z powołania kucharką, rozmawiał nie inaczej, tylko cytowała paragrafów. Z tego powodu dostał mu się przydomek „paragraf“, który zastąpił imię i nazwisko. W uniwersytecie i za uniwersy-

tetem znano go pod nazwiskiem profesora Paragrafa.

Pan profesor był w stanie przestraszyć nawet człowieka doświadczonego, a nie dopiero młodzieńca, niemającego najmniejszego o uniwersyteckiem życiu wyobrażenia.

Gdy Oswald zaprezentował mu się z listami, przeczytał obydwu z uwagą, rozumie się przez okulary, i podniósłszy okulary na czoło, wpatrzył się w oddawcę.

— W jakim stopniu pokrewieństwa zostaje do ciebie pastor?..

— W żadnym—odparł Oswald.

— A pani Warring?..

— W żadnym...

— Hm... Jakiemże prawem są oni twojami opiekunami?..

— Żadnym...

— Hm... Takiego prawa niema w całym kodeksie *juris civilis*... Paragraf o opiece wyraźnie stanowi...

Tu zacytował paragraf i w krótkości go skomentował.

— Prawo żadne, przelane na mnie, jest także żadnym, *ergo*, to wszystko jedno, co nie

mieć prawa do opieki... Cóż ty na to, młody człowieku?..

— Mnie się zdaje, panie profesorze, że tu właściwie nie o prawną, ale o przyjacielską opiekę chodzi. Pan pastor i pani Warring proszą pana profesora o radę dla mnie, w imię przyjaźni...

— Kodeks milczy o przyjaźni...

A otwarty szeroko oczy, co znaczyło że pracuje pamięcią, dodał:

— Milczy... A przecie jest w nim, jeżeli nie w treści, to w duchu wszystko, co Rzymianie i Grecy w zakresie prawodawstwa działali...

Oswald zamilkł i profesor zamilkł. Pierwszy, zbity z tropu, zdekoncertowany, drugi głęboko zamyślony. Przyjaźń, jakby wyraz ten po raz pierwszy w życiu o jego uszy się obił, wydała mu się rzeczą zastanowienia godną. Przypominał więc sobie, czy niema śladów, ażeby znana była za dawnych greckich i rzymskich czasów—a jeżeli była znana, to dla czego prawodawcy Greków i Rzymian ani ją określili, ani w paragrafy kodeksów ujeli. Myślał jak ten brak wytłumaczyć—i jak, subiektywnie czy obiektywnie, na tę kwestyą potrzeba

się zapatrywać. — Zamyśliwszy się, zapomniał o Oswaldzie.

Szczęściem dla tego ostatniego, obecna rozmowie pani profesorowa nie była podległą roz-targnieniom naukowym i dlatego odrazu zrozumiała o co chodzi. Siedząc przy oknie i ce-rując skarpetkę, słuchała i z pod oka na mło-dego człowieka spoglądała. Zwyczajem jej by-ło nie mieszać się do rozmów męża, o tyle je-dnakże, o ile po za obręb prawodawstwa nie wychodziły, o ile się trzymały w granicach nauki. Pole nauki było dla niej niby zakaza-ném: nie wkraczała na nie, z powodu pewnego rodzaju pogardy, jaką przejmowała ją rzecz której nie rozumiała. Jednakże mniej jeszcze niż naukę rozumiała to, za co mąż jej pieniądze bierze?..

— Jeżeli on na katedrze takie same jak w domu prawi głupstwa, to...

I ramionami wzruszyła, co oznaczało, że wątpi o zdrowiu zmysłów tych, którzy płacą pro-fesorowi.

A gdy jej o uszy się obijało, że małżonek jej jest nadzwyczajnie rozumnym.

— Co za rozumny!.. powiadała. — On sam sobie, z przeproszeniem, kamizelki zapiąć nie umie...

Miała się przeto za rozumniejszą od męża, i jak tylko on opuszczał grunt greckiego i rzymskiego prawodawstwa, ona głos zabierała i bezwzględnie wszystkie rozstrzygała kwestye.

Gdy więc pomiędzy profesorem a Oswaldem zawiązała się rozmowa, pani profesorowa z początku milczała, lecz poznawszy o co idzie, natychmiast wzięła w niej udział.

— Co pan z nim gadasz?.. On nic nie rozumie!.. Czego panu potrzeba?..

Oswald opowiedział cel swego przyjazdu do Dorpatu.

— A masz pan utrzymanie?..

— Mam.

— Na życie i korepytycyę?

— Na wszystko...

— Hm... To cóż to ma do tych głupstw, o których on (tu rzutem głowy ukazała na męża) prawi... Weź pan sobie mieszkanie, zgódź korepetytora i basta...

— Dlatego właśnie, ażeby mi w tym względzie ktoś dobrze i szczerze poradził, pan pastor i pani Warring dali mi polecające do pana profesora listy...

— Znasz ty tych państwa?— zapytała profesorowa męża.

— Paragraf siedemdziesiąty piąty wspomina wprawdzie...

— Czy znasz tych państwa, od których listy otrzymałeś?.. powtórzyła pani profesorowa zapytanie głośno i dobitnie.

Profesor patrzył na żonę szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiał zapytania.

— A to prawdziwa kara Boża, gadać z takim półgłówkiem!.. rzekła profesorowa, niby do siebie i niby półgłosem, a wstając i podchodząc do męża, zapytała:

— Od kogo są te listy?..

Gdy profesorowa podchodziła, profesor, ujrawszy ją przed sobą, zrobił ciałem i głową taki w tył rzut, jak gdyby znienacka ujrzał przed oczami szynę rozpalonego na czerwono żelaza, lub jakby umykał twarz przed wymierzonym policzkiem.

— No!.. a to znów co?... czego się boisz?.. Któsby powiedział, że ja cię bijam... Od kogo te listy?..

Profesor poprawił się na krześle, spuścił głowę i odpowiedział:

— Od pastora z Failchenhof i od pani Warring także z Failchenhof...

— Znasz ich?..

- Znam...
- Co to za jedni?..
- Pastor jest człowiekiem uczciwym i rozumnym.

— Jeżeli taki rozumny jak ty, to niewielka z niego pociecha... wsunęła profesorowa nawiasowym sposobem.

— Znakomity teolog... Kończyliśmy razem uniwersytet w Würzburgu, który w starożytności nazywał się Herbipolis i był na prawach miast...

— A pani Warring?—przerwała profesorowa mężowi, który miał już powiedzieć, jakich praw pod Rzymianami Herbipolis używało.

— Kobięta uczona... Bada filozoficzne systemata, ale nie te które na utworzenie praw rzymskich i greckich wpłynęły, dlatego nie wiem o niej nic innego, tylko że jest uczona i że Failchenhof jest jej własnością...

— To ostatnie najbardziej mnie obchodzi... Jest więc panią?..

— Jest panią...

— Bogata?

— Uczoną...

— Ach! co mi tam że uczona! — krzyknęła

profesorowa i zapytała głosem tak podniesionym, jakby profesor był głuchy:

Ja pytam się ciebie: czy jest bardzo bogata? czy ma dużo pieniędzy?...

— O! dużo... bardzo dużo... jest bardzo bogatą... Sama rozporządza sobą i majątkiem... Kobiety tego rodzaju, według kodeksu *juris civilis*...

— Bodajes się udławił kiedy twojém *juris civilis*!..

— A odwracając się od męża, zawiązała rozmowę z Oswaldem.

— Więc ja panu poradzę... Znam wszystkie kwatery, wszystkich profesorów i wszystkich korepetytorów... Pastor i pani Warring niepotrzebnie pisali do mego męża. Trzeba było do mnie napisać, a mój mąż byłby mi przeczytał. chociaż ja i sama umiem czytać...

Na te wyrazy Oswald nie mógł powściągnąć uśmiechu, który mu nieznacznie usta rozciągnął. Profesorowa to spostrzegła.

— Myślisz pan że nie umiem... Oho! to się na mnie nie pokaże... I drukowane i pisane, książka czy list idzie mi tak, jak woda kiedy płynie... Ale czasami nie mam do czytania ochoty... zresztą, od czegoż mąż, którego ludzie

mają za rozumnego?.. Ale, o czémże to chcia-
łam z panem mówić?

Zapytała, ale na odpowiedź nie czekała:

— Aha!.. Potrzeba panu poradzić po przy-
jacielsku... Otóż radzę panu, sprowadź się na
mieszkanie do nas. Będziesz miał osobny po-
kój, łóżko, stolik, komodę, cztery krzesła,
lichtarz i wodę. O światło i opał możemy się
umówić osobno, a także i o stół, który, uprze-
dzam pana, tak jest dobry, że lepszego nawet
pod Lwim pazurem nie dostaniesz, chociaż
tam przechwalają się knedlami... Lubisz pan
knedle?..

— O...

— Bo ja robię doskonale... Co czwartek i co
niedziela stołownicy moi dostają knedle... Ra-
dzę więc panu po przyjacielsku, zgodzić stół
u mnie... Wygodnie jest mieć w jednem miej-
scu mieszkanie, opał, światło i stół... To jedno.
Teraz pomówmy o korepetycyach. O łacinie
i greckim języku nie masz pan co myśleć.
Mój mąż egzaminuje, to już ja jemu nagadam...

Tu spojrzała z ukosa na profesora, który mil-
czał ze zwieszoną w dół głową.

— Pozostaje historia, geografia, matematy-
ka i języki. Ale i na to jest rada. Możesz się

pan przygotowywać u profesorów, ale to gorzej. Lepiej wziąć studenta i zgodzić się z nim tak: jeżeli zdam egzamin, dostaniesz tyle, jeżeli nie zdam, nie dostaniesz nic.

Oswalda to zdziwiło. Pytającym więc wzrokiem wypatrzył się na profesora.

— Jeżeli się pan tak zgodzisz, to będzie już interesem korepetytora, ażebyś koniecznie zdał egzamin...

— Jeżeli będę dostatecznie przygotowany, to go zdam w moim własnym interesie — wsunął Oswald.

— Jak to zaraz widać, żeś pan świeżo przybył... Przygotowany czy nieprzygotowany, jak potrzeba zdać, to potrzeba... Gdy wstąpisz do uniwersytetu, to poznasz starych burszów, co nigdy nic nie umieli i zapewne nigdy niczego się nie nauczą...

I dodała wesoło:

— No, więc podobały ci się moje rady?.. Możesz się sprowadzić kiedy zechcesz, dziś albo jutro. Miesiąc liczy się od dnia sprowadzenia. Pamiętaj, że na stół nie będziesz narzekał, a łaciński i grecki języki dostaniesz w dodatku... Napisz-że zaraz do pastora i pani Warring, żeś znalazł przyjacielską radę...

Podyktowany w ten sposób układ, bez najmniejszej ze strony Oswalda uwagi został przyjęty i przyszedł akademik tegoż samego jeszcze dnia sprowadził się na mieszkanie do pana profesora Paragrafa. Dostał wszystko według umowy: i pokoik, który nie wyglądał nader ponętnie, i łóżko, które było jak stolik i stołki kulawém, i bez kluczków komodę (o kluczach układ milczał) i to wszystko. Korepetytora dostał w osobie Hermana Kilblinga, studenta z trzeciego kursu na fizyko-matematycznym wydziale, człowieka co w uniwersytecie począł już siwieć, a wstawił się wynalazkiem krambambuli.

Od chwili zainstalowania się u profesora, rozpoczęło się nowe dla Oswalda życie, które jednakże z serca i z pamięci nie było w stanie wytrącić mu odrazu świeżo ubiegłej przeszłości. Nowe życie nie przedstawiło mu się w pierwszej chwili pod postacią nader ponętną. Pomiedzy niem a ubiegłym zachodziła zbyt wielka różnica, podobna do tej, jakiej doznaje ptak w sidła ujęty i do klatki wsadzony. Nie zbywało mu na niczem, a przecież zbywało na wszystkim tém do czego się przyzwyczyił. Przyzwyczajenie—powiadają—staje się drugą naturą. Owóż druga ta natura, która się pod wpły-

wem failchenhofskich zwyczajów urobiła, była w Oswaldzie pokrzywdzoną. Uczone o prawodawstwie rozmowy profesora Paragrafa nie mogły zastąpić natchnionych, czarującym uśmiechem zaprawnych dysertacyj pani Warring; towarzystwo umiejaczej wprawdzie, ale bardzo słabo, czytać profesorowej nie sprawiało munajmniej-szej przyjemności, pomimo nawet że, jak się później okazało, wiadomości jej kucharskie były wielce bogate i różnostronne; obcowanie z Hermanem Kilblingiem ograniczało się na suchym naukowego abecadła wykładzie, który w głowie Oswalda porządkował nabyte bez systemu wiadomości. Znajomość z kilku innymi profesorami, do których miał listy polecające, ograniczała się na obojętnem a protekcyjonalnem przyjęciu młodego człowieka, nie budzącego w uczonych mężach żadnego żywszego zajęcia. Ci panowie zaledwie na niego patrzyli... zaledwie kilka wyrazami raczyli go zaszczycić. Studenckie nawet mieszkanie jego, jakże było różnem od eleganckiego apartamentu w failchenhofskim zamku!

Oswaldowi było tęskno i smutno i nieraz przychodziło mu na myśl:

— Och!.. gdybym mógł powrócić!..

Na tém tle snuł fantastyczną tkankę prze-
najrozmaitszych przypuszczeń, życzeń i proje-
któw, aż wreszcie postanowił napisać do swój
opiekunki list opisujący stan jego duszy, rwą-
cój się z więzienia miejskich murów do zielo-
nych, rozkosznych widoków Failchenhofu.

Napisał list, wyprawił i na odpowiedź cze-
kał.

Czekał i czekał—napróżno.

VII.

Warunek postawiony Kilblingowi, zniewolił go trzymać swego ucznia zdala od życia młodości uniwersyteckiej, ukazując mu je tylko w perspektywie.

— To dla ciebie pora próby... Przejdź ją, a staniesz się wolnym jak ptak... mawiał, gdy Oswald upadać się zdawał pod ciężarem nauk.

— Tylko zdaj egzamin...

Kilbling posiadał w wysokim stopniu korepetytorską wprawę, którą możnaby nazwać geniuszem. Nie robiąc całe życie nic innego, tylko wykładając, nauczył się wykladać. Sam nie umiał, ale umiał uczyć drugich i to tego tylko, czego uczą w gimnazyach. Wyda się to dziwnem, a przecież zdarza się częściej, jak się komu wydawać może. Umieć, jest to uczynić naukę swoją własnością, przejąć nią duszę własną i nawzajem, ją duszą swą ożywić. Takie umienie jest rzadkiem. Częściej posiada się wiedzę mechanicznie, a przytém posiada się sposób udzielania jej drugim. Jest to rzeczą nawyknienia, wprawy, włożenia się w przema-

wianie do młodych umysłów. Kilbling umiał przemawiać, z naciskiem na naukowych osiach; posiadał dar grupowania przedmiotów stosownie do podobieństw i pokrewieństw, jakie pomiędzy niemi zachodzą. Algebrę ożenił z arytmetyką i geometryą, historią z geografiją i statystyką, wszystkie gramatyki zlał w jedną i przygotował Oswalda do wytrzymania egzaminowej próby. Charakterystycznem w metodzie jego wykładu było to, że ucznia swego wciąż egzaminował i tak go z tém oswoił, że kiedy Oswald znalazł się w obec profesorów stanął śmiało i rezolutnie.

Egzamin powiódł się wybornie, w czem, pomogły mu trzy rzeczy: trochę przygotowanie, trochę szczęście, a trochę podstęp. Przygotowanie oswoiło go z fizyognomią egzaminu; szczęście sprawiło, że profesorowie nie zapytywali o to, na co odpowiedziećby nie potrafił; podstęp zależał na zręcznym pewnych przedmiotów wyminięciu. Tak naprzykład od tych co się deklarowali na wydział matematyczny, wymagano analitycznej i wykreślnej geometryi; od tych zaś co się deklarowali na wydział nauk prawnych lub literackich, pewnej znajomości języków łacińskiego i greckiego. Oswald,

zdając egzamin z matematyki, zdeklarował się na wydział prawny, a zdając ze starożytnych języków, na matematyczny, przez co wyminął tak matematyczne jak literackie trudności.

Po zdaniu egzaminu, Kilbling powitał swego ucznia jak towarzysza, lecz jeszcze nie jak równego.

— Jesteś już studentem uniwersytetu, ale nie jesteś jeszcze burszem...

Akademickie terminatorstwo przebył Oswald dość szczęśliwie. Dość szczęśliwie — powiadam — to znaczy bez wypadków, które mogłyby posłużyć jako urozmaicenie naszej powieści. Po roku został burszem, ze wszystkimi przynależnemi temu stopniowi studenckiej hierarchii prawami i przywilejami, to jest, streszczając owe prawa i przywileje, zasiadł w knajpie jak równy między równymi, z prawem głosu i uczestniczenia we wszelkich honorowych sprawach i wybrykowych przedsięwzięciach.

Knajpa znajdowała się pod Lwim pazurem. Lwi pazur był symbolem korporacyi która tam zasiadała, a która miała się za bardzo poważną i dostojną, dla tego właśnie pazura, należącego

do króla zwierząt i mającego znaczenie i berła i hetmańskiej buławy.

Knajpa pod Lwim pazurem znaną była w całym Dorpacie, — znaną i w pewnych dnia porach omijaną przez zwyczajnych śmiertelników. Omijano ją zwłaszcza wieczorem. Wówczas napełniał ją dym tytoniu, w którym, niby w obłokach, migwały postacie młodych, o zamasztych minach ludzi, siedzących za stołami przed spienionymi kufkami piwa. Toczyły się tam głośno gwarne rozmowy i odbywały się posiedzenia. Do posiedzenia potrzebném było zażądanie jednego z członków korporacyi.

Wchodzimy do knajpy, w chwili właśnie kiedy Kilbling gromkim głosem zawołał:

— Żądam posiedzenia!..

Natychmiast gwar ustał, studenci zwrócili się wszyscy w jedną stronę ku seniorowi, zajmującemu krzesło prezydenta, amieszczone pod drewnianą tablicą, na której ciemnowiśniowém tle wymalowanym był Lwi pazur. Wśród cizy dał się słyszeć głos seniora.

— Zbierzcie całą uwagę! Usłyszymy coś ważnego. Posiedzenia zażądał znany Herman Kilbling, wielce zasłużony, tak w żyjącem po-

koleniu, jak u tych co dopiero żyć mają... Wynałazco krambambuli! przedstaw nam co ci ślina na język przyniosła...

Kilku chrząknęło. Kilbling powstał i głos zabrał.

— Seniorze i zacni burszowie! kwiecie i słowo rodzaju ludzkiego!.. To co mam wam przedstawić nie spłynęło ze śliną na mój język, lecz strzeliło owocem głębokiego w mojej głowie rozmyślenia. Zapadło w moję mózgownicę ziarno i zakiełkowało... i powiedziałem sobie: odezwę się do braci, a głos mój nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Takim był wstęp, po którym nastąpiło właściwe przedłożenie sprawy.

— Jak słońce jest chlubą świata, tak honor chlubą bursza.

Grzmotne oklaski i wołania „brawo!“ pokryły wyrazy mówcy.

— Jak wiecie, umiem honoru przestrzegać. Pamiętacie tego filistra, któremu wybiłem zęby?

— Brawo!—zawołano jednogłośnie.

— Mógłbym przykładów takich naliczyć tyle, ile lat mam zaszczyt należeć do najzaszczytniejszego pod słońcem grona burszów. Posta-

nowiłem sobie każdego roku przytrzcąć rogów pysze zawysoko nos podnoszącej. Gdzie bowiem są bursze, tam niewolno nikomu nad nich się wynosić. W ciemnych, pozbawionych ich obecności okolicach, niech się dzieje co chce; lecz gdzie są oni, tam górą być powinni...

— Brawo!.. powtórzył się okrzyk.

— Owóż, powiadam wam, że tak nie jest.

Tu mówca przerwał sobie i spojrzał po zgromadzeniu, które ostatnie jego wyrazy głuchym przyjęło szmerem, a w tym szmerze był akcent niedowierzania.

— Wątpicie o tém?.. Powiadam wam: tak jest. Przejdźcie się tylko po mieście, z tém głębokim przejęciem się godnością bursza, które mnie nigdy nie opuszcza, a prawda słów moich uderzy was piorunowym sposobem i całunem smutku wasze serca okryje. Popatrzcie tylko na czoła i w oczy birgerów i birgerek. Czoła się podnoszą nad poziom dozwolony ludziom niemającym zaszczytu należeć do najzaszczytniejszego pod słońcem grona burszów, oczy nie raczą na nas się zwracać. Studyowałem tę rzecz sumiennie i na trzeźwo, z całym pobłażaniem na jakie ułomności ludzkie zasługują, i przysze-

dłem do tego przekonania, że czas jest nasz honor ratować... Jeżeli jeszcze wątpicie, możecie się o tém sami przekonać. W tym celu stawiam wniosek: niech każdy z mających zaszczyt należenia do burszenszaftu przez cały miesiąc robi postrzeżenia i po miesiącu na walnym posiedzeniu, niech sumiennie zdanie swoje objawi. Skończyłem.

Kilbling usiadł. Senior się odezwał:

— Czy kto w tej materji życzy sobie zabrać głos?..

Zgromadzenie milczało.

— Ponieważ do głosu nikt się nie zgłasza, przeto oddam wniosek pod wotowanie.

— Proszę o głos... odezwał się bursz z głębi knajpy.—Mojem zdaniem wniosek sławnego wynalazcy krambambuli jest nie na swoim miejscu. Upatruję w nim zbytek skromności. Wyrazy bursza na bezwzględna zasługują wiarę. Kiedy on mówi tak, to tak, kiedy nie, to nie. Przekonywanie się jest ubliżeniem własnej godności, którą powinniśmy cenić w sobie wysoko, jeżeli chcemy ażeby ją w nas ceniono. Dlatego wnioskuje, aby uwierzyć temu co Herman Kilbling powiedział i obmyśleć sposoby zreparowania nadwreżonego honoru.

— Mamy więc dwa wnioski — odezwał się prezydujący. — Oznaczę je cyframi jeden, dwa. Kto za wnioskiem jeden, niech powstanie...

Nikt nie powstał, ani nawet wnioskodawca.

— Kto za wnioskiem dwa, niech powstanie...

Powstali wszyscy.

— Posiedzenie nasze coraz więcej nabiera ważności — rzekł senior. — Jak widziacie sprawa tu nie z pojedynczym człowiekiem, nie z gospodynią mającą zwyczaj przesalania lub niedosalania, ani z kelnerem, zapominającym o należnym burszowi pierwszeństwie, lecz z ogółem, z osobistością zbiorową, mającą tysiące głów i dwa razy tyle ramion. Sprawa przeto jest ważna, arcyważna, nadzwyczajnie ważna.

Nastał moment gwaru, połączony z krzykiem i szumem przedmuchiwanym cybuchów. Gdy kufle zostały napełnione, fajki nałożone i świeże kłęby dymy wionęły pod sufitem, senior zawezwał do porządku i w następujące przemówił słowa:

— Im głębiej zastanawiać się będziemy nad postawioną przez zacnego Kilblinga kwestyą, tem jaśniej stanie nam przed oczy pewna ostateczność, przed którą nawet Cezar się za-

wahał. Chodzi tu ni mniej ni więcej, tylko o wydanie wojny społeczeństwu, które zapoznało obowiązki względem przestawnego burszen-szaftu. Ja myślę, że nie o co innego chodzi...

Że ostatnie te wyrazy wymówione były tonem zapytania i po nich nastąpił krótki pre-stanek, przeto zgromadzenie odpowiedziało:

— Tak!.. tak!.. chodzi o wojnę!..

Senior skinął ręką.

— Posiedzenie więc nasze ma na celu: ob-myślenie sposobów prowadzenia wojny... spo-sobów, których przedstawienie należy do was, zacni bursze... Kto żąda głosu?..

Powstało naraz kilku. Senior uporządkował ich podług alfabetu. Podług porządku tedy powstawali numer pierwszy, drugi, trzeci i t. d. i każdy z jakąś wystąpił propozycją.

Numer pierwszy proponował powybijając wszystkim birgerom okna.

Numer drugi proponował poprzemieniać szyldy.

Numer trzeci proponował powykradać bir-gerkom faworyty koty i puścić je na miasto, z poprzywiązywaniem u ogonów pęcherzami.

Numer czwarty proponował pozostawić na-technieniu każdego sposób wojowania.

Przeciwko tej ostatniej propozycji powstała większość.

— Pomędzy burszami powinna być solidarność—rzekł jeden.— Niech birgerszaft wie, że z burszenszaftem ma do czynienia, a nie będzie o tém wiedział, jeżeli każdy z osobna działać zacznie na własną rękę... Nie! tak być nie może...

— Precz z propozycją!—zawołano.

— Wykreślić ją z pomiędzy przyzwoitych wniosków!..

— Wykreślić!.. wykreślić!.. powstały okrzyki,— i proponującego na karę skazać!..

— Precz z karą!.. Nie czas myśleć o karach, kiedy taka ważna sprawa na stole!.. wołali inni.— Dość propozycją odrzucić!..

Powstała wrzawa, która jednakże trwała niedługo. Po uspokojeniu jej senior głos zabrał.

— Tym sposobem żadnego nie osiągniemy rezultatu. Potrzeba obradować porządnie. Każdemu wolno zdanie swoje wypowiedzieć i każdemu wolno odpowiedzieć, ale nikomu nie wolno hałasem biegu obrad tamować... Głos ma Wilhelm Miller...

Powstał przysadkowaty, rudawy, szeroki, piegowatej a niemiłej twarzy młodzieniec.

— Mojem zdaniem źle się obrady rozpoczęły. Potrzeba nam czegoś szczegółowszego, czegoś bezpośredniejszy z przedmiotem obrad związek mającego... słowem potrzeba, ażebyśmy natychmiast głośno a dobitnie wyrazili wstręt, jakim przejęci jesteśmy dla birgerów...

— Zgoda!.. odezwały się liczne głosy.

— Mocya jest poparta...

— Wniosek nagły...

— Więc—rzekł senior—zawieszamy obrady, a przystępujemy do załatwienia wniosku Millera. W jaki sposób wyrazić mamy nasz wstręt?..

— Proszę o głos!.. zawołał Miller.

— Wnioskodawca ma głos...

— Ponieważ godłem naszej korporacyi jest lwi pazur, więc wyrażmy wstręt nasz głosem tego królewskiego zwierza... Ryknijmy trzykrotnie lwim głosem...

— Nie pozwalam! — krzyknął Kilbling.— Gdy dla wyrażenia wstrętu lwim głosem ryknijemy, to jakiegoż użyjemy sposobu na ogłoszenie tryumfu?.. Możemy inaczej rzecz załatwić. Lwie ryczenie zachowajmy na chwilę tryumfu, a wstręt wyrażmy świńskim chrząkaniem...

Zaledwo ostatni wyraz padł z ust wynalazcy krambambuli, powstało huczne, jednogłośnie bravo, a po brawie nastąpiły próby, podobne do strojenia instrumentów, poprzedzającego granie orkiestry. Próby te trwały póty, póki senior nie dał znaku milczenia.

— Przystąpimy tedy do wyrażenia wstrętu i słusznego oburzenia, jakiem przejmuje nas postępowanie birgeryi... Ale wyrażmy to porządnie, dobitnie i trzykrotnie... Na dany przezemnie znak, niech zaczyna ten co najlepiej umie naśladować głos świni... Do niego niech się łączy drugi, dalej trzeci, czwarty i tak dalej po jednym, aż całe zgromadzenie jednym gromowym głosem wyrazi wstręt do tych, co od téj chwili stają się burszów nieprzyjaciółmi... A więc...

Tu powstał, wyciągnął prawicę i znacząc nią takt, podniesonym zawołał głosem:

— Oto wam birgery marsz tryumfalny!.. Raz... dwa!.. trzy!..

Na wyraz trzy w tłumie odezwało się doskonałe naśladowanie świni, które solo kilka powtórzyło się razy. Solo przeszło w duet, następnie w trio, w kwartet, kwintet i naostatku w chór,

który brzmiał przez minutę blisko i sam przez się raptem ustał.

Senior powtórnie rękę wyciągnął i powtórnie zawołał:

— Oto wam birgery marsz tryumfalny!.. Raz!.. dwa!.. trzy!..

Koncert chrząkania w tym samym porządku zabrzmiał powtórnie.

Senior dał hasło po raz trzeci i wyrażenie wstrętu zabrzmiało po raz trzeci, tym razem dłużej, głośniej i z większą precyzją.

— Jesteśmy tedy dostatecznie już przysposobieni — rzekł prezydujący, gdy chrząkanie ustało. — Możemy przystąpić do deliberacyi. Głos ma wynalazca krambambuli.

Kilbling zabrał głos.

— Wszystkie propozycye, jakie zacni burzowie wygłaszali, noszą na sobie cechę rozumu i tej sądu wytrawności, która cechuje głębokich myślicieli. Pozwolą sobie jednakże powiedzieć, że dotknęli oni rzeczy w częściach, nie zaś w całości. Wybijanie okien, przemienianie szyldów, pęcherze, petardy i wszystko cokolwiek wymyśleć można, są to części jednego i tego samego dzieła, którego przepro-

wadzenie wymaga systematyczności, płynącej z energicznej a rozumnej woli. Wojna wymaga jednej woli w jednej skupionej głowie, inaczej, wymaga wodza, któryby sam operacyami kierował i stosownie do potrzeby urządzał dziś wybijanie okien, jutro przemienianie szyldów, pojutrze petardy etc. etc. Moją więc propozycją jest, ażebyśmy wybrali wodza i jemu całą rzecz powierzyli. Od trafnego wyboru zależy wszystko; nawet sława burszenszaftu, który przez wybór da dowód dojrzałości i wytrawności.

Okrzyk „zgoda“ był odpowiedzią na tę propozycją, a po tym okrzyku dały się słyszeć pojedyncze głosy:

— Kilbling!.. Kilbling!..

— Okrzyki te — rzekł senior — oznaczają, że Kilbling proponowanym jest na wodza...

— Kilbling!.. Kilbling!.. powtórzono.

— Kto za Kilblingiem, niech wstanie...

Powstali wszyscy, wyjąwszy Kilblinga, który powstał wówczas dopiero, gdy wszyscy usiedli.

— Nie mam zamiaru odpychać zaszczytu, jaki mnie w tej oto chwili spotyka. Przeciwnie: gotów jestem go przyjąć. Lecz, zanim przyjmę, zanim wynurzę wam, koledzy wdzięczność za

zaufanie, jakim moje osobę zaszczycać, niech mi wolno będzie powiedzieć, jak stanowisko wodza rozumiem i pod jakimi je przyjmuję warunkami. Wymagam bezwarunkowego i nieograniczonego posłuszeństwa... Pod tym tylko warunkiem gotów jestem wziąć na siebie całą odpowiedzialność, całą... hańbę niepowodzenia.. Sława zyskana spłynie zarówno na mnie i na was, ale hańba dotknie tylko mnie, mnie samego... Gdy wyjdziemy z walki zwycięsko, każdy chętnie przypisze sobie jakąś część zasługi; gdy doznamy niepowodzenia, nikt winy nie weźmie na siebie. Wina całym ciężarem spadnie na mnie. Dlatego domagam się nieograniczonego posłuszeństwa, ale nie na nieograniczony czas. Zastanawiałem się nad przedsięwzięciem. Potrzebny jest miesiąc czasu na wykonanie onego. Domagam się przeto posłuszeństwa na miesiąc. Pod tym warunkiem przyjmuję dowództwo.

Ten warunek stał się powodem sporów, które streściły się w żądaniu przedstawienia ze strony wodza planu działania.

— Nie! ja tego nie zrobię,—odpowiedział Kilbling.—Tajemnica planu działania jest głó-

wnym warunkiem powodzenia. Gdybym wiedział że o tkwiącym w głowie mojej planie wie moja czapka, to zdarłbym ją z głowy i w ogień cisnął. Nie! ja planu nie przedstawię i ktokolwiek byłby wodzem, zrobiłby najgorzej, gdyby zadość temu żądaniu uczynił.

Kwestyą tę, oddaną pod głosowanie, rozstrzygnięto w duchu warunku Kilblinga i Kilbling został wodzem. Krzyknięto mu „hurra!“, wniesiono toast za jego zdrowie i obsypano go powinszowaniami. Rozumie się, że władza jego nie nadwężała w niczem władzy ani powagi seniora. Specjalny cel określał i z góry jej atrybucye ograniczał. Kilbling był wodzem w wojnie i wyłącznie dla wojny, i to nie dłużej jak na jeden miesiąc, od 15 września do 15 października; czasu więc nie miał dużo. Dlatego zapewne ogłosił zgromadzeniu:

— Kroki nieprzyjacielskie rozpoczynają się od jutra... Jutro rano birgiery dostaną oznajmienie, a wieczorem wyjdzie pierwsza wyprawa, pod osobistym mojem przewodnictwem. Do wyprawy tej potrzebuje czterech ludzi...

I wymienił czterech burszów, a pomiędzy nimi swego ucznia, dziś kolegę, naszego znajomego Oswalda Dalmanna.

— Wieczorem — rzekł do nich — macie się stawić pod Lwim pazurem...

— Jak?.. z czém?—zapytał jeden.

— Z czém?.. z niczém: z odważném sercem i gorliwością pełnienia dalszych moich rozkazów...

Cztérej wybrani salutowali mu przez podniesienie dwóch palców do czoła.

Dla Oswalda wszystko co w knajpie zaszło nie było już rzeczą ani nową, ani dziwną. Student od dwóch lat, wciągnął się do studenckiego życia, oswoił się z niém i nauczył poważnie patrzeć na błazeństwo. Zasmakował w psotach i w knajpowym parlamentaryzmie. Burszostwo uleczyło go z tęsknoty za failchenhofskim zamkiem i panią Warring, która—powiedzmy nawiasem—zupełnie z nim stosunki zerwała. Po niej pozostał tylko Oswaldowi ograniczony kredyt u bankiera i więcej nic.

Tem mocniej przeto rozsmakował się w życiu, które było pewnym rodzajem nieustającego zawrotu głowy—w życiu bez jutra, zużywającym dziś, z najlepszą wolą wypicia kielicha rozkoszy do dna. Szczęściem temu picciu przeskadzały różne rzeczy, a najbardziej kontro-

la młodocianej zbiorowości, potakująca figlom i psotom, potępiająca gwałcenie moralności. Bursze, zalévając się cienkiem piwem i okurzając dymem fajek, na całe gardło śpiewali.

„*Alle schwarzen Brüder
Leben so wie ich und du:
Sie legen sich besoffen nieder,
Sie stehen auf und saufen wieder.
Alle schwarzen Brüder
Leben so wie ich und du.*“

(Wszyscy bracia czarni
Żyją tak jak ja i ty:
Gdy pijani, idą spać,
Wstają by znów pić i grać.
Wszyscy bracia czarni
Żyją tak jak ja i ty.)

Jednakże pijaków pomiędzy nimi nie było. Ot zwyczajnie młodzież — szalała zbytkiem życia, szumiącego w niej jak ferment w musującym trunku. Oswald do tego życia całą przylgnał duszą. Jutro przed niem zasłaniały mury uniwersytetu. Nikt się o nic nie troszczył i Oswald się nie troszczył. Sprawy burszenszaftu miały dla niego znaczenie wysokiej doniosłości. Z tego powodu wielce go zadowolili wybór

jaki z jego osoby uczynił Kilbling do jutrzejszej wyprawy, której wyglądał z niecierpliwością i ciekawością, obiecując sobie nie zawieść zaufania wodza.

Przyszła nakoniec wyglądana chwila. Zrana plakaty oznajmiły mieszkańcom Dorpatu deklaracją wojny, napisaną w stylu napuszystym i tak ciemnym, jak żaden akt dyplomatyczny. Wieczorem korporacja zgromadziła się w knajpie pod Lwim pazurem. Posiedzenia nie było. Bursze pili piwo, palili fajki, gwarzyli, śpiewali i około północy rozeszli się. Pozostało tylko pięciu: Kilbling, Oswald i jeszcze trzech. Były to same zdrowe, tegie i silne chłopcy. Wódz ich uzbroił: Oswaldowi wręczył żelazne kółko na długiej osadzone tyce; drugiemu miotkę, a raczej duży pędzel, na takiejże osadzone tyce; dwom zaś ostatnim niewielki cebrzyk, napełniony olejną farbą, sfabrykowaną z angielskiej sadzy. Uzbroiwszy, w krótkich wyrazach nauczył swoich podwładnych użycia instrumentów.

Około pierwszej po północy wyprawa ruszyła. Wódz miał krótką przemowę:

— Rozpoczynamy od podjazdów...⁶³ Nazna-

czymy przeciwnika piętnem długo niezmazaném... Pamiętajcie, że sława burszów spoczywa w téj chwili na waszych barkach... Młode atlety! w pochód!.. marsz!..

Na ulicach było ciemno. W onych czasach—przypominam czytelnikom, że działało się to przed pół blisko wiekiem—oświecanie miast uchodziło za zbytek, dozwolony zaledwie stolicom, i to nie wszystkim. Również i długie z wieczora czuwanie uważaném było jako gwałt zadawany naturze. Porządni ludzie szli do łóżka przed jedenastą; o północy miasta pogrążone już były w głębokim śnie.

Na ulicach przeto Dorpatu było ciemno i pusto, a pusto dlatego, że brak złodziei czynił zbyteczném czuwanie nad bezpieczeństwem własności prywatnej, niemiecka zaś systematyczność, gasząca ogień dobrze i w przyzwoitej porze, uwalniała władzę bezpieczeństwa publicznego od czuwania nad ogniem. Więc chociaż byli stróże nocni, ale i ci pełnili swój obowiązek nominalnie, to jest nazywali się stróżami nocnymi, lecz w nocy sypiali. Dlatego Kilbling, Oswald i ich towarzysze nie spotkali nikogo. Przesuwali się po zatopionych w ciemności ulicach, niby cienie.

Kilbling szedł przodem, za nim Oswald, za Oswaldem bursz z miotełką, a za tym ostatnim dwaj z cebrzykiem. Kilbling dyrygował operacją, która opierała się na doskonałej znajomości wasistdasów (okienek)—znajomości, nabycia której wynalazca krambambuli poświęcił kilka tygodni i do takiego posunął ją stopnia, że nie tylko wiedział ile wasistdasów Dorpat posiada, nie tylko który w którym umieszczony jest oknie, ale w każdym oknie znał szybę pełniącą funkcję wietrzenia domu. Idąc przodem, zatrzymał się pod upatrzonem z góry oknem każdego domu z kolei i półgłosem następujący dawał rozkaz:

— Na prawo!.. w górę!.. pierwsza szyba!..

Na ten rozkaz Oswald stawał pod oknem i kierował tykę w taki sposób, ażeby kółko znajdowało się przy wasistdasie. Przed nim lokował się ten co niósł miotełkę, którą umoczywszy obficie w farbie, umieszczał obok kółka. Gdy ci dwaj ustawili się, Kilbling komenderował:

— Zaczynaj!..

Na to hasło Oswald kółkiem lekko pukał w okno i pukał póty, póki nie otworzył się was-

istdas i nie wychyliła się przezeń głowa w szlafmycy, z zapytaniem, zdziwionym wymawianem głosem.

— Was ist das?!

(Bodaj czy nie z tego powodu owe osobno otwierające się w oknach okienka wasistdasami zostały nazwane?).

Wówczas kółko chwyciło głowę i przytrzymało ją, przyciskając kark do ramy wasistdasu, a miotełka obmalowywała całą twarz na czarno. Operowany w ten sposób człowiek, przechodząc z jednego zdziwienia w drugie—z niespodzianego rozbudzenia w bardziej jeszcze niespodziany samotrzask—nie miał czasu krzyknąć. Operacja odbywała się szybko. Kilka pociągnięć pędzla, połączonych z przyciśnięciami, wystarczyły na osmarowanie całej twarzy. A gdy Oswald podniósł kółko, głowa szybko się cofała, wasistdas się zamykał i pojawiała się w domu światło.

Długość tyk, na których osadzonemi były kółko i miotełka, pozwalała rzecz tę załatwiać na piętrach, na których pukanie w okno żadnego podejrzenia, lecz tylko zdziwienie w uspio-nych mieszkańcach wzbudzając, zachęcało ich do wyjrzenia przez wasistdas.

VIII.

Wyprawa posuwała się powoli od domu do domu i szła coraz dalej, zostawiając po sobie szereg oświeconych okien. Rodziny poczciwych mieszczan budziły się jedna po drugiej, przestraszone krzykiem, a następnie przerażone czarnym kolorem, który powlekał poważne twarze ojców familij. Zwykle bowiem ojcowie brali na siebie wyjrzenie przez okno, w celu sprawdzenia przyczyny pukania, mogącego być przypisanem, zwłaszcza na piętrze, to wiatrowi, to nocnym ptakom, to czemuś niepojętemu, nigdy burszom, a tém mniej złym ludziom, o których Dorpat wiedział tylko ze słyszenia. Lecz w niektórych wasistdasach wychyliły się głowy kobiece. Po noży nie sposób było rozpoznać. Więc tu i owdzie kilka twarzy niewieścich padło ofiarą nowego wynalazku wynalazcy krambambuli.

Wyprawa szła dalej. Oswald wprawił się do łapania birgierskich głów, miotłkowy jego towarzysz do malowania. Kilbling ich prowadził i perorował:

— Nasze dzieło podobnym jest do dzieła, które Mojżesz wykonał w Egipcie przed wyprowadzeniem Żydów z niewoli. Wiedzcie, że wzięłem sobie Mojżesza za wzór i cały mój plan oparłem na plagach egipskich. Będę plagami nękał birgierów, póki ich pysze rogów nie zbiję, a jeżeli plagi nie pomogą, utopię ich w Czerwonem morzu. Głowa moja pełną jest pomysłów, jak ten oto oryginalnych. Jutro...

Lecz nie dopowiedział reszty.

— Tylko com strasznego nie popełnił głupstwa! Tylko com nie odkrył tajemnicy!.. Dalej! naprzód, wspaniali bursze!.. Gdyby nie noc, powiedziałbym wam: ze szczytu tych dachów czterdzieści wieków na was patrzy... Może te dachy mają mniej trochę niż czterdzieści wieków, ale o to mniejsza. Główną rzeczą jest sława, która aureolą wasze czoła opromieni... Naprzód!.. dalej!.. Oswaldzie, przedstawię cię jako zasłużonego w burszenszafcie.

Rzeczywiście, Oswald wielkich nabywał zasług. Chwywanie głów w kółko szło mu jak z płatka, a było to najważniejszą częścią zadania. Potrzeba było głowy za wasistdas wywa-

bić, złapać i przytrzymać, ażeby możliwém było osmarowanie. Oswald tak zręcznie pukał, tak zgrabnie łapał i tak mocno przytrzymywał, że operacya nigdy nie chybiała. Tylko gdzie twardej spano, trzeba było dłużej pukać. Oto cała niedogodność. Trzeba się było spieszyć, bo sztuka dopisać mogła na jeden tylko raz, a tu, jak na złość, przed niektórymi domami traciło się czasu niekiedy aż kwadrans. Przy niektórych załatwiano się w minut pięć, nawet we trzy.

Kilbling się spieszył, a i noc się spieszyła.

— Gdyby przynajmniej pięćdziesięciu naznaczyć birgierów!—wołał od czasu do czasu.— Toż będzie gadaniny, i śmiechu, i zmartwienia!..

— Umyją się i zapomną—któs się odezwał.

— Ale... ba!— odparł Kilbling.— Po tygodniu umywania będą jeszcze wyglądali jak blichujący się na słońcu cygani. Farba jest wypróbowana. Domieszałem do niej pewną kompozycyą, która długo trzyma się ludzkiej skóry... Naprzód!... dalej!... spieszmy się!... O!... bije piąta...

Na skrzypiącym i syczącym miejskim zegarze pięć uderzeń znać dało, że jesienny poranek zacznie wkrótce świtać. Dorpacian osmarowanych było już około czterdziestu.

— Spieszmy się!—powtarzał co chwila Kilbling.—Pójdźmy do łóżka z tém wewnętrzném zadowoleniem, żeśmy użytecznie spędzili noc...

Trzeba się było spieszyć. Miasto poczynąło się już przebudzać. W oknach ludzi liczących się z godzinami zabłyszczały już światła i na ulicach dawały się czuć pierwsze symptomy miejskiego ruchu. W przedporankowej ciszy słyszeć się dawały skrzypienia drzwi i owe odkasliwania, znamionujące powstawanie ze snu. Kiedy niekiedy postać ludzka przesunęła się szybko środkiem ulicy.

— Jeszcze tu—rzekł Kilbling, zatrzymując się przed domem okazalój niż inne wyglądającymi— basta... Trzeba już skończyć i spocząć na laurach... Szyba dolna, na lewo...

Oswald wzniósł tykę, i zapukał. Wasistdas otworzył się natychmiast, jakby czekał tylko na hasło. Przez wasistdas wysunęła się głowa w szlafmocy. Oswald ją kółkiem szybko ujął. Osmarowanie się odbyło. Lecz gdy przyszło zdjąć kółko, dał się czuć niespodziany opór. Oswald szarpnął. Opór się wzmocnił. Szarpnął jeszcze w dół, do góry i horyzontalnie—i nagle dał się słyszeć okrzyk:

— Łapaj!..

— Nogi za pas!—krzyknął Kilbling.—Unoście narzędzia!..

Oswald jeszcze raz szarpnął. Napróżno. Chciał tykę z kółkiem zostawić i drapnąć; lecz punkt honoru zatrzymał go. Towarzysze jego znikli, pozostawiając po sobie ginący w oddaleniu tent na bruku. On spróbował jeszcze po raz ostatni, i to stało się jego zguby powodem. Gdy już zdecydował się punkt honoru poświęcić bezpieczeństwu, ujrzał się naraz otoczonym.

Pewny jestem, że żaden z czytelników nie weźmie mu za złe, że w tej chwili zapomniał o tyce, którą z rąk wypuścił, a pomyślał o ratowaniu własnej osoby.

Ratunek składał się z dwóch części. Trzeba było najprzód przez otaczających przebić się, a przebiwszy się, uciec.* Potrzeba więc było łączyć w sobie dwie zalety: siłę pięści i szybkość nóg.

Oswald obie te zalety w wysokim posiadał stopniu. Był więc ufny w siebie i śmiało rzucał się na przeciwników, z których jeden w pół go już ujmował. Lecz słusznie powiada przysłowie: „siła złego dwóch na jednego.“ Na

Oswalda zważyło się trzech ludzi. On jednego wywrócił i byłby uciekł, gdyby nie dwaj inni. Z tych jeden pochwycił go za nogę, właśnie w chwili kiedy przeskakiwał przez leżącego. Z powietrza więc padł na ziemię jak długi, grzbietem do góry. Pozycja ta jest bardzo wygodna do szybkiego zerwania się. Oswald chciał się zerwać, nie tracąc ani jednego mgnienia zrenicy; lecz w tej chwili przeciwnicy go przysiedli i przytrzymali. Jeden znalazł się na głowie, drugi na nogach. Oswald się skurczył i usiłował się podnieść, o tyle przynajmniej, ażeby móżdż użyć kułaków.

— Wiąz!.. dało się słyszeć wołanie.

Rozpacz którą ten wyraz w nim wywołał, spotęgowała jego siły. Szarpnął się wściekle, lecz napróżno. Ramiona trzymających były niby z żelaza. Oswald był silny, lecz nie był Herkulesem. Trzymający podali się za jego ruchem, ale go nie puścili i ten z pomiędzy nich co był w początku walki zwalony, z gotowym postronkiem wziął się do jego nóg, które okręcił raz i związał, okręcił drugi raz i powtórnie związał na podwójny węzeł. Operacya ta odbywała się trochę niezgrabnie, ale dość prędko. Po załatwieniu się z nogami, wszyscy wzięli

się do rąk, ściągnęli ramiona w tył i związali je na grzbiecie.

— Teraz to już nie człowiek, ale baran — odezwał się jeden z przeciwników — ułagodzony.... A, ptaszku, wpadłeś w sidła...

W tonie mówienia tego człowieka nie brzmiała nieubłagana nieprzyjaźń. Mówił, jak się powiada, po ludzku. Ten szczegół nie uszedł baczności Oswalda, którego wszystkie władze umysłowe skupione były w myśli ratowania się, bez względu na honorową jakość sposobu. Honorowi uczynił zadość. Trzymał tykę do ostatka, i gdyby ją był wydarł, byłby nią sobie drogę otworzył. Nieprzewidziany jakiś wypadek, może zbieg okoliczności — sprawił, że uwięzła w ostatnim wasistdacie i stała się przyczyną nieszczęścia jakie na niego spadło. Nie pozostawało nic innego, jak starać się wybrnąć z nieszczęścia. Więc spróbował przemówić do napastników.

— Czegocście na mnie napadli? za coście mnie związali?.. Puśćcie mnie natychmiast.

— O!.. nie tak to prędko, mój dobry panie, nastąpi—była odpowiedź.

— Cóż wam złego zrobiłem?..

— Nic.

— Czegoż odemnie chcecie?..

— Niczego...

— Może pieniędzy?.. albo mego zegarka?..

Potrójny gruby śmiech odpowiedział na to zapytanie.

— Nie podejrzewam was o złe zamiary, ale chcę was... wam...

Chciał powiedzieć „przekupić“, lecz się zająknął i bąkał:

— Moję sakiewkę i mój zegarek dać na pamiątkę...

— O tém pomówimy później, a teraz nie mamy czasu z panem rozprawić. Poranek świta; potrzeba pana schować...

To rzekłszy, jeden wziął Oswalda za głowę, drugi za nogi, trzeci go podtrzymawał w pół ciała, podnieśli go i ponieśli.

I nie nieśli długo. Zrobili nie więcej jak trzydzieści kroków, drzwi przed nimi się otwarły i Oswald został złożony dość ostrożnie na jakimś posłaniu, wydającym silną woń świeżo wyprawnych baranich skór, połączoną z innymi jeszcze woniami. Posłanie było miękkie, puszyste i w dotknięciu sprawiało wrażenie fu-

tra. Rzeczywiście były to futra, złożone w taki sposób, że można było na nich leżeć.

Ludzie co przynieśli Oswalda, rozwiązali mu postronki na rękach, wyszli i drzwi za sobą zamknęli. On sam rozwiązał sobie węzły na nogach, usiadł, głową pokiwał i począł rozmyślać.

— Gdzie jestem?—takim był punkt wychodni rozmyślenia.

Odpowiedź na to pytanie nie przedstawiała wielkich trudności. Niedługo potrzebował myśleć, ażeby wiedzieć, że ostatni dom był domem zamożnego handlarza futer, którego cała rodzina nosiła imię Fryderyków, na uczczenie pamięci wielkiego króla, którego godło ozdabiało fronton magazynu. Nazywał się on Fryderyk Donner, jego żona Fryderyka Donner, jego syn Fryderyk Donner, jego córka Fryderyka Donner. Dwóch Fryderyków i dwie Fryderyki. Z tego powodu nazywano ich nie Donnerami, ale Fryderykami i z ciekawością oczekiwano pomnożenia rodziny, zapytując: co zrobiłby Donner, gdyby mu pan Bóg dał drugiego syna, lub drugą córkę? — jakieby dla nich wymyślił imiona?

Cześć dla Fryderyka Wielkiego sprawiała, że naśladował pruskiego bohatera we wszystkim, w czem tylko mógł: miał dobre wyobrażenie o Francuzach, pisał wiersze, czytywał Machiawela, zażywał tabakę i prowadził swój handel ryzykownie. Zażywanie tabaki do tego doprowadził stopnia, że przesiąkł nią cały. Handel szedł bardzo pomyślnie.

Oswald, po krótkiej chwili zastanowienia, poznał, że wpadł w ręce wielbiciela i naśladowcy Fryderyka Wielkiego. To go nieco uspokoiło.

— Fryderyk Wielki dobrze z jeńcami się obchodził... Jest przeto nadzieja, że mnie Donner nie sponiewiera... Ale, jednakże, co on zemną zrobi?..

Ważne pytanie, do rozwiązania którego nie było żadnych danych.

Oswald siedział i rozglądał się. Z początku w ciemności nie mógł nic widzieć; lecz gdy dzień zaświtał, rozpoznał, że się znajduje w suterenach, służących jako magazyn do przechowywania skór i futer. Było to podziemie sklepienie. Mury wydawały się bardzo grube. Światło dostawało się do wnętrza przez półko-

liste okienka, opatrzone w grube żelazne kraty i umieszczone tak wysoko, że nie można było, wspiąwszy się na palce, ręką do nich sięgnąć. Pod ścianami dokoła, na niskich pryczach, leżały stosy futer. Ani stolika, ani stołka, ani nic co mogłoby oznaczać, że tam kto mieszka lub mieszkał. Ściany były nagie i niewyprawione. Gdyby nie futra, podziemie wyglądałoby zypełnie jak owe więzienia, w których, wedle ballad, zwiędło tyle rycerskich kwiatów.

I Oswald uważał się jako kwiat rycerstwa— i gdy w umyśle swoim skonstatował fakt, że się w więzieniu znajduje, uczuł pewien rodzaj wewnętrznego zadowolenia. Studencka psota urosła w jego mniemaniu do wysokości znakomitego czynu. Więzienie wydało się mu chludnym.

Lecz z drugiej strony, trudno mu było obronić się pewnym niepokojącym myśłem, których jednakże bliżej określić nie umiał. Przejmowała go mimowolnie trwoga. Robiło się mu zimno.

— Wszyscy diabli! — mówił sam do siebie.

Wolałby być na wolności. Wyrzucał sobie zbytek gorliwości, który mu kazał zadługo przy tyce się zatrzymać.

— Chciałem niedać nieprzyjacielowi trofeów, a dałem mu i trofea, i siebie... Jedna chwila wszystko rozstrzygnęła... Czemuż trochę wcześniej nie rzuciłem téj przeklętej tyki?.. Co się ze mną stanie?..

Kiedy tak rozmyślał, dzień coraz stawał się jaśniejszy. Popatrzył na zegarek.

— Dziewiąta...

Uczuł potrzebę snu. Wstał, przeszedł się po więzieniu i począł opatrywać futra. Na jednym stosie leżały baranki astrachańskie, na drugim krymskie, dalej proste barany, za niemi jony, kałanki, sobole, niedźwiedzie, lisy. Chodził i opatrywał, broniąc się snowi, który go coraz mocniej atakował.

— Dlaczegożbym nie miał spać? — rzekł wreszcie do siebie.

Położył się, ale zasnąć nie mógł, bo mu na myśl przyszło:

— Czyż nikt tu nie przyjdzie?.. czyż z nikim nie będę mógł się rozmówić?..

I cała rodzina Donnerów w oczach mu stała. Obstąpili go stary Fryderyk i stara Fryderyka, młody Fryderyk i młoda Fryderyka. Znał ich z widzenia. W małym mieście, po kil-

komiesięcznym pobycie, niepodobna nieznać fizyognomii pryncypalnych mieszkańców, do jakich należał Donner, właściciel jednej z najpiękniejszych kamienic i jednego z najbogatszych magazynów. Starego i młodego widywał prawie codziennie, bo koło ich magazynu wypadała mu droga do uniwersytetu. Starą i młodą widywał bardzo często.

Niewiedzieć dlaczego, z całej téj rodziny najdłużej przed oczami jego zatrzymała się postać panny Fryderyki. Niewiedzieć dlaczego?—żłem się wyraził. Było to bardzo naturalnem. Panna Fryderyka miała lat szesnaście.

Lat szesnaście, jasne oczy, złote włosy, perłowe ząbki, lekko zadarty noseć, białą płeć, rumieńce na licach, zgrabną kibić, sto tysięcy posagu—i w całej postaci coś—coś—co mówiło wszystkim słuchaczom wszystkich fakultetów:

— Kochajcie mnie...

Gdyby nie sto tysięcy, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cały uniwersytet byłby u jęj stóp. Ale sto tysięcy czyniły ją nieprzystępną. Uniwersytecka młodzież spoglądała na nią zdaleka, jak na owoc zakazany, dojrzewa-

jący za murami zaczarowanego ogrodu. Jakie-
mu takiemu snuły się niekiedy myśli o niej,
lecz należały one do rodzaju zamków na lodzie,
które młodzież rada buduje. Myśli te snuły się
i Oswaldowi. Niedziw przeto, że w więzieniu
leżącym pod jej stopami, ona więźniowi przed
oczami stała.

Więzień i ona!..

Oswaldowi myśl poczęła się jakimś rytmicz-
nym układać sposobem, niby poezya, niby mu-
zyka. Cós mu szeptało :

— Więzień, to ja... Ona, to panna Fryde-
ryka...

Położył się na wznak i wpatrzył się w skle-
pienie. Wzrok jego przebijał grube mury, a
biegnąc prostopadłym do góry promieniem,
spotykał pannę Fryderykę.

— Ona w tej chwili stoi może wprost nade-
mną...

Wpatrywał się. Wszelkich dokładał sił, aże-
by utrzymać powieki rozwarte. Sen je całemi
zwierał siłami. Ta walka trwała z pół godziny
zakończyła się— zwycięstwem snu.

Oswald zasnął na futrach Donnera.

Sen jego musiał być twardym, kiedy nie

słyszał jak ktoś go odwiedził. A musiał ktoś odwiedzić, bo obudziwszy się, znalazł obok siebie dzbanek z wodą i bochenek czarnego chleba. Przetarł oczy, obejrzał się i słuchał. Dokoła panowała cisza. Zdaleka dochodził odgłos turkotu kół na bruku, odgłos głuchy, a to dlatego, że okienka podziemia wychodziły na podwórze.

— Co to?— rzekł do siebie.—To przestaje już być zabawném...

I opanowało go coś, niby gniew. Zerwał się, stanął, kułaki ścisnął. Roisło się mu po głowie: wyłamanie drzwi, zburzenie kamienicy, wysadzenie jej prochem w powietrze, ze wszystkiém co w niej było.

— Zginę ja!... ale zginą i oni!...

Szczęściem nie miał prochu do swego rozporządzenia.

— Gdybym był Samsonem!...

Przyszło mu na myśl, że Kilbing przyrównał siebie do Mojżesza.

Gniwał się, zgrzytnął zębami i w uczuciu bezsilności zwał się na futra. Odmet różnych, czarniejszych jedne od drugich myśli, opanował jego głowę. Głębokie westchnienia, jedno

po drugim, z piersi mu się wydzięrały. Świat piękny, słońce jasne, ludzie, profesor Paragraf, profesorowa, kawa z mlekiem i z bułką, obiad złożony z czterech potraw, knajpa, audytorium, koledzy, piwo, fajka, mieszały się w jedną chaotyczną całość, z której nakoniec wyplątał fajkę.

— Zakurzę sobie—pomyślał.

Nałożył fajkę, lecz napróżno. Zapewne podczas szamotania się z ludźmi którzy go uwięzili, wypadły mu z kieszeni hubka i krzesiwo. Pozostał tylko krzemień.

Westchnął. Pozbawionym został ostatniej pociechy i jedynej w samotności rozrywki. Położenie wydało się mu okropnym. Chleb i woda przedstawiały się mu niby gorzka losu ironia. Uśmiechnął się.

— Nie... tego się ani dotknę...

A był już głodny. Od dwunastu przeszło godzin nic w ustach nie miał.

— Ani się dotknę!— głośno powiedział. — Wolę z głodu umrzeć...

Straszne postanowienie! które tylko rozpacz może natchnąć.

Oswald rzeczywiście był w rozpacz, która trwała tak długo, póki mu się tego jeść nie zachciało, co nastąpiło nad wieczorem.

— Pal diabli! — rzekł do siebie, pomyślał i wziął się do czarnego chleba. A że jeszcze rozpacz niezupełnie go opuściła, więc jadł zawzięcie i gryzł bochenek, jak Ugolino łeb biskupa Ruggieri, na złość postanowieniu zagłózenia się.

Podjadł sobie, głęboko westchnął i... wody się napił.

Przyszedł wieczór, a za nim noc czarna. W położeniu Oswalda żadna nie zaszła zmiana. Nikt do niego ani zajrzał. Spodziéwał się, że przecie nie odmówią mu świecy. Próżna nadzieja! Grobowa ciemność otoczyła go dokoła. Nic nie słyszał, nic nie widział. Pragnienie fajki wywracało mu wnętrzności. Leżał i długo zasnąć nie mógł. Obudził się jasnym dniem i znów znalazł świeży bochenek chleba i pełny dzban wody.

Upłynął drugi dzień, upłynęła i druga noc.

Zaświtał trzeci dzień, przyszyła i trzecia noc.

Nadaremniebym się silił powtórzyć wszystko, co Oswald przez te trzy doby przemyślał. Po wiem więc tylko, że zaczął już patrzeć w przyszłość, a ta wydawała się mu czarną otchłanią, bez dna i granic, nieskończonością straszną i głuchą.

— Przesiedziałem trzy doby, mogę więc przesiedzieć jeszcze i czwartą... Przesiedzę cztery, mogę przesiedzieć i piątą... szóstą... siódmą... Z dni robi się tydzień, z tygodni miesiąc, z miesięcy rok, z lat wiek...

Ten sylogizm przyczepił się do jego mózgu i duszę smutkiem napełnił.

— O! moja młodość!.. zawołał.

Począł robić rachunek sumienia i wymawiać sobie wszystko złe jakie popełnił.

— Gdybym się był oddał szczerze nauce, nie uczęszczałbym do knajpy; gdybym nie uczęszczał do knajpy, nie byłby mnie wybrał Kilbling; gdyby mnie Kilbling nie wybrał, byłbym nie poszedł na wyprawę; gdybym nie poszedł na wyprawę, nie dostałbym się do więzienia; gdybym się nie dostał do więzienia, byłbym wolny: więc, gdybym się był oddał nauce, byłbym wolny...

Tego drugiego sylogizmu czepiał się inny, którego wyjściem był Failchenhof.

Oddawna pani Warring nie przychodziła mu na myśl. Samotność, grobowa cisza i ciemność pociągnęły go ku niej. Jakakolwiek była przy niej jego rola, zawsze położenie wyda-

wało się mu znośniejszém, niż w tém podziemiu, o suchym chlebie i o dzbanku czystej wody. Już nie pytał się: jak długo to potrwa?— bo widział przed sobą na ścieżaj otwarte wrota wieczności.

— W téj ciszy, w téj grobowej samotności, zasnę i... i, co potem?.. Czy będę potem żył?..

Zycie przyszłe, nieśmiertelność duszy, różne pod tym względem własne i pożyczane przypuszczenia zajęły jego głowę. Zaczął być spokojniejszym. Przyszła noc: zasnął twardo, a to dlatego zapewne, że poprzednich nocy męczyły go jakieś zmory, które mu wyspać się porządnie przeszkadzały.

Spał więc. Cóż mu się śniło, jakby niebo pełne światła i aniołów. Światło go radowało, aniołowie zachwycali. Dusza jego się uśmiechała. Było mu w tym słonecznym kraju dobrze, słodko, błogo. Otworzył oczy i prędko zamknął, znów otworzył i znów zamknął. Czuł że go opuścił sen, ale mu go żal było. Żal mu było za światłem wewnętrzném i zamykał oczy na zewnętrzne, które czerwonaawym odblaskiem oblęwało nagie, kamienne sklepienie. Było to dla niego niespodzianką, której wierzyć nie chciał.

— Zkąd światło?.. co za światło?.. mówił sam do siebie.

Wydało się mu, że to pozostałość tego pięknego marzenia, zewnętrzne odbicie wewnętrznej jasności, co z jego duszy wypłynęła. Nie wierzył w jej rzeczywistość. Jednakże ta jasność, spadając na powieki, drażniła jego wzrok i niejako upominała się o wiarę.

— Trzeba się przekonać...

Odemknął oczy szeroko i oczy kołem mu stały, nie ze strachu, lecz z wielkiego zdziwienia. Podniósł się na łokciu i usiadł. Zdziwienie go nie opuszczało.

— Sen to, czy jawa?.. coś mu w myśli szeptało.—Nie, to być nie może... Muszę spać...

Niech się nikt nie dziwi zdziwieniu Oswalda. W samotności czas zmienia swe rozmiary. Godziny stają się dniami, dnie prawie latami. Po krótkim pobycie, z więzienia wychodzą ludzie starcami. Ciągłe myślenie, myśli się więcej, obszerniej i dlatego prędzej oswaja się z powziętym przeświadczeniem.

Oswald powziął przeświadczenie, że w samotności, bez ludzi i światła, przepędzi lata, i zaśnie, i z grobu w grób się przeniesie. Więc

zdziwił się i nie chciał, nie mógł w to uwierzyć, że podziemne jego więzienie oświeciło się ziemskim blaskiem, a tém mniej że blask ten wydawała zwyczajna łojowa świeca. Jednakże, koniec końcem, rzeczywistości nie można było przeczyć. Zdziwienie przeminęło i zrozpaczony zrazu, zrezygnowany następnie więzień, ujrzał przed sobą pannę Fryderykę.

Stała, z łojową świecą w ręku, z czarownym na ustach uśmiechem. Pod sklepieniem więziennego podziemia wydawała się aniołem pociechy. Oswald chciał coś przemówić — lecz nie mógł znaleźć wyrazów, bo mu w poprzek stanął w głowie następujący frazes:

— Starego Fryderyka, ojca tego anioła, osmarówalem czarną farbą...

Ten frazes stał się groblą, przed którą wzbierał potok myśli i przełamać jej nie mógł.

Panna Fryderyka także milczała, ale się przynajmniej uśmiechała. Oswald nawet na uśmiech zdobyć się nie zdołał. Było mu wstyd. Gdyby ujrzał przed sobą jednego z tych co go związali i do więzienia odnieśli, byłby z nim śmiałym, mógłby mówić swobodnie. Lecz z nią — z nią? — ani sposobu.

Panna Fryderyka milczała i wciąż się uśmiechała. Ten uśmiech począł Oswalda palić, ni by rozpalone żelazo.

Westchnął.

I ona westchnęła. Spojrzał jęj w oczy. W jęj oczach jaśniało cós anielskiego. Wyciągnęła rękę i podała Oswaldowi pękaty jakiś pakiet.

— Co to?—zapytał ten ostatni.

— Pieczona kura, trochę szynki, chléb z ma-
słem i kilka bułek...

— Och!.. pani...

— Niech pan to zjé i kosteczki pochowa,
żeby nikt nie widział...

Apetyt do kury i wdzięczność dla panny Fryderyki razem w nim się obudziły. Nie wiedział czemu dać pierwszeństwo. Wdzięczność wszakże przemogła.

— Pani! jesteś aniołem!.. Nie mam wyrazów na podziękowanie!..

— Nie dziękuj pan...

— Nie mogę nie dziękować...

— To przynajmniej nie teraz... Teraz niema czasu...

— Ta jedna chwilka wynagradza mi długie dnie samotności...

— Pan smacznie spałeś?..

— Sniłem o aniołach... Obudziłem się i ujrzałem panią... Byłem zdumiony.

— Widziałam to... Takeś pan szeroko oczy otworzył...

— Mój Boże! jaka to rozkosz widzieć przed sobą ludzką postać i jeszcze taką postać!..

— Pytaj się mnie pan. Może chcesz o czem wiedzieć...

— Ach!—zawołał Oswald, niby z letargu tą uwagą zbudzony.— Chciałbym o wielu rzeczach wiedzieć....Co się ze mną stanie?..

— Będziesz pan sądzony...

— Kto będzie sądził?..

— Wszyscy uczernieni...

— Cóż oni zemną zrobią?..

Panna Fryderyka ramionami ruszyła.

— Kiedy sąd nastąpi?..

— Po odmyciu czernidła...

Oswald westchnął, bo przypomniał sobie, co Kilbling o własnościach farby mówił.

— Czy nie potrzebujesz pan czego?..

— Niczego — odparł więzień smutnie i głowę zwiesił.

Panna Fryderyka patrzyła na niego z wyrazem spółczucia.

— Co nocy, o pierwszej po północy, będę pana odwiedzała...

— Och pani... jam na tyle dobroci nie zasłużył... Ja panią tak obraziłem!...

— Pan mnie niczem nie obraził...

— Ależ pan Donner, pani ojciec...

— Mój ojciec nie został uczerniony... Mój ojciec uprzedzony był przez jednego... przez jednego... hm...

Zająknęła się.

— Przez kogo?—zapytał Oswald.

— Przez jednego z burszów... Zbudzono go nad ranem i został ostrzeżony... Ale nie mam czasu... Muszę iść... Dobranoc...

To rzekłszy, dygnęła i znikła. Oswald, pozostawszy w ciemności, oburzał się na myśl zdrady, która go wydała w ręce birgierów, i żałował że panny Fryderyki o światło nie poprosił.

— Byłbym sobie przynajmniej fajkę zakurzył...

IX.

Poranek dnia tego, w którym Oswald został uwięziony, był dla Dorpatu dniem wielkiego smutku, wielkiego gniewu i wielkiego śmiechu. Kto się gniewał? kto się śmiał? — o tém i mówić nie potrzebuję. Poszkodowani byli furioso. Bo też niektórych ta psota boleśnie dotknęła. Naprzykład, była para narzeczonych, która w dniu psoty miała zostać małżeństwem. Ta para kochała się od lat kilku. Od lat kilku najgorętszem pragnieniem jej był ślub. Tysiące przeszkód oddalało i wciąż oddalało tę upragnioną chwilę. Nakoniec przeszkody zostały złamane, trudności zwalczone, dzień naznaczony. Można sobie wyobrazić jaki lekki był ich sen poprzedzający ten uroczysty dzień. On i ona spali czuwając. Najlżejszy szmer był dla nich zwiastunem dnia. Aż oto ktoś puka w okienko. Puka i zdaje się mówić:

— Wyjrzyj... wyjrzyj... kochanko... to ja...

— To on! — zawołała ona.

Wyskakuje z ciepłej pościeli, bosy, w nocnej koszuli, zapominając o przyzwoitości, pamiętna tylko na to, ażeby on nie stał długo na chłodzie nocy jesienniej, biegnie do okna, otwiera wasistdas, wychyla głowę i zostaje uczernioną. Zamiast uścisku kochanka, uścisk żelaza; zamiast gorącego pocałunku, mokry pocałunek olejną farbą napojonej miotełki.

W drugim miejscu ta psota dotknęła pastora, który miał wystąpić z kazaniem; w innym znów adwokata, dla którego dzień ów miał znaczenie rozstrzygające o jego przyszłości.

Więc poszkodowani gnięwali się, nieposzkodowani zaś śmieli się. Nieszczęście ludzkie bywa niekiedy śmiesznem.

Nikt ani wątpił, że to sprawka burszów. Każdemu z pokrzywdzonych przyszła na myśl zemsta.

Zemścić się, nad czém? nad wiatrem w polu?

Cóż to była za radość, gdy gruchnęła wiadomość, że jeden z burszów został ujętym.

Gdzie? jak?—były zapytania, które sobie zadawali ludzie w domach i na ulicach. Na ulicach zbierały się kupy i rozprawiały. Poszkodowani przemyśliwali nad tém, co z jeńcem

zrobić. Każdy chciał go reklamować i na własny rachunek—jak się wyrażano:

— Smarkacza nauczyć...

Najprzód jednakże każdy wziął się do odmywania czernidła.

W domach dotkniętych uczernieniem cały dzień gotowała się woda i cały dzień odbywało się mycie. Woziwody ogromny mieli zysk, a również i mydlarze. Ruch beczek był taki, jak w czasie pożaru. W kotłach kipiało, jak onego czasu, kiedy to wrząca woda używaną była do oblewania wdziérających się na mury. Birgery szorowali sobie twarze na różne sposoby—gąbkami, wiehcciami, szczotkami i ręcznikami;—do wody dodawali mydła, różnych proszków, rozmaitych kwasów i spirytusów: wszystko napróżno. Byli czarni, jak Murzyni. Zdawało się że woda, mydło, kwasy, spirytusy i proszki przyczyniają się tylko do nadania twarzom połysku.

Uczernionych ogarniała rozpacz — inni się śmieli.

Na drugi dzień wezwano lekarzy i żądano od nich rady. Lekarze zrobili konsylium, które zadecydowało, że, ażeby dać radę, trzeba naj-

przód chemicznie zanalizować farbę. Zarekwirowano kółko, do którego w kilku miejscach przyczepiło się czernidło. *Corpus delicti* przeniosło się do chemicznego laboratorium. Profesor chemii przystąpił do analizy. Ostrożnie zeszkrobał farbę i, podzieliwszy na cząstki, poddał ją próbom ognia, wody, soli, kwasów i różnych odczynów. Próby odbywały się systematycznie i powoli—jedna na dzień—co znaczyło że nie prędzej jak po tygodniu można było spodziewać się *jakiegoś* rezultatu. Ten wyraz „*jakiegoś*“ zatrząsał uczernionych. Więc nie zaprzestawali mycia. I dobrze zrobili. Na trzeci dzień nad wieczorem czarny kolor począł szarzyć. Widoczném więc było, że ustępuje przed wodą i mydłem. Z nowym przeto zapalem rzucono się do wody i mydła, do gąbek, wiechci, szczotek i ręczników. Woziwody zyskiwali, mydlarze zyskiwali. Za beczkę wody trzeba było płacić poczwórnice.

Pozostawmy zamożniejszych obywateli Dorpatu, zajętych ważną kwestyą przywrócenia twarzom naturalnego kaukazkiej rasy koloru, a przenieśmy się pomiędzy burszów.

Wieczorem, w dniu uwięzienia Oswalda, kor-

poracya w największym komplecie zgromadziła się w knajpie pod Lwim pazurem. Odbywało się walne posiedzenie. Kilbling zdawał sprawę.

— Nie mam potrzeby, szlachetni i zacni bursze, wyłuszczać przed wami szczegółów pierwszego ustępu obszernego mego planu, którego całość spoczywa tu...

Tu ukazał palcem na czoło.

— Spoczywa i objawiać się będzie takim piorunowym sposobem, jak ten, o którym w tej chwili mówią pod blaszanemi dachami kamienic i pod słomianemi strzechami lepianek. Szczegóły te są znane. Stały się one już własnością historyi, która o nich bezstronny wyda sąd. Rozpoczęliśmy wojnę. Na pierwszym zaraz kroku laur ocenił nasze czoła. Czuję go na skroni...

— Niech żyje Kilbling!.. ktoś krzyknął i całe zgromadzenie huknęło:

— Niech żyje!

— Nie chcę fałszywej udawać skromności — ciągnął dalej wódz. — Laur mi się należy i sięgam poń otwarciem. Słuchajcie tego turkotu wojowodów!.. patrzcie na tę rozpacz żon i córek

birgerów!.. czytacie w oczach tych, których twarze są w tej chwili jak kamienny węgiel czarne!.. oto są moje zasługi! oto moje tytuły i prawa do laurowego wieńca!..

Powtórne grzmotne „niech żyje!“ pokryło ostatnie mówcy wyrazy.

— Lecz, jak wiecie, tryumfy bez ofiar nie są zupełnemi tryumfami. Trzeba je okupywać. I nasz tryumf został okupiony. Bolesną ponieśliśmy stratę. Oswald Dalman, którego miałem wam przedstawić jako najzasłużeńszego pomiędzy zasłużonymi, został uwięziony. Nieprzyjaciel ma go w swoich rękach. Ujęła go rodzina Fryderyków... Potrzeba naradzić się nad sposobami wydobywania tego bohatera z rąk nieprzyjaciela.

— Odbić!.. Wydrzeć!.. Uwięzić starego Fryderyka!.. Uwięzić młodą Fryderykę!.. odezwały się okrzyki.

Senior skinął. Nastąpiło milczenie.

— Tyle zasłużonemu co wódz, należy się zostawić pierwszeństwo w podaniu sposobów...

— Kiedy tak—odezwał się Kilbling—to muszę wam oświadczyć, że *casus est gravis*. Nie możemy jeńca wydobyć przemocą, bo musieliby-

śmy popełnić gwałt, przewidziany artykułem kryminalnego kodeksu. Wiadomo czem to pachnie. Nie pozostaje więc nic innego, tylko jedno z dwojga: albo wydostać Dalmana podstępem, albo za pomocą układów. Najprzód jednakże potrzeba wiedzieć gdzie on jest, co z nim Donner zrobił?.. Wątpić należy, ażeby u siebie go zatrzymał. Gdyby jednakże go oddał bądź władzom szkolnym, bądź policji, to jużbyśmy o tem wiedzieli. Niema go tu, niema tam: gdzież jest?.. Najprzód o tem trzeba się dowiedzieć... Powinniśmy wszyscy wziąć się do tego i szukać, nad ziemią, na ziemi, pod ziemią, szukać, póki bohaterą nie znajdziemy...

— Najkrócej będzie rozpytać się Donnera... ktoś się odezwał.

— Rozpytuj się i Donnera i Donnerwetera... kogo chcesz... byleś znalazł... Główna rzecz: znaleźć... Dajmy sobie hasło: znaleźć... Zawieszam kroki nieprzyjacielskie i wzywam burszen-szaft do działania.

Zgromadzenie całe powstało i krzyknęło:

— Zgoda!.. znaleźć!..

Bardzo, ale nadzwyczajnie wprawne oko, takie oko jakiego napróżno szukalibyśmy pomię-

dzy ludźmi, przebiwszy się przez obłoki dymu i rozlewające się w knajpie z czterech niezbyt jasnych kinkietów półświatło, takie oko, powiadam, w tłumie burszów mogłoby dostrzedz jedną twarz drwiącym nacechowaną uśmiechem. Właściciel tej twarzy nie nie mówił, tylko się uśmiechał ironicznie, jakby tym uśmiechem chciał wyrazić, że Kilbling zupełnie na błędną wprowadził burszenszaft drogę i jakby zarazem cieszył się, że nie wszedł na prawdziwą.

Posiedzenie skończyło się na postanowieniu szukania Oswalda.

Z knajpy przenieśmy się do kamienicy Fryderyka Donnera i wejdźmy do salonu, w którym zgromadzoną była cała rodzina, to jest dwóch Fryderyków i dwie Fryderyki. W potrzebie będziemy ich oznaczali numerami: starzy N. 1, młodzi N. 2.

Salon Donnerów nie był zbyt wykwintnym. Brakowało mu tego co nazywają smakiem, ale nie brakowało wygody. We wszystkim przebijała się mieszczańska zamożność, której główną ozdobą był ogromny, w złotych ramach portret Fryderyka Wielkiego, olejno ma-

lowany. Oprócz tego portretu, było jeszcze na ścianach parę zwierciadeł, ale malowidła ani obrazu żadnego. Okna przysłaniały ciężkie firanki. Miękkie kanapy, wygodne fotele, kilka mahoniowych stołów, etażerka z chińską porcelaną i spluwaczki z rączkami dopełniały umeblowania.

Na jednym z fotelów siedziała Fryderyka Nr. 1, z pończochą w ręku, na drugim Fryderyka Nr. 2, z rozłożoną na stole paciorkową robótką, która była już prawie skończoną. Panna Fryderyka dorabiała złoty kutasik do czapeczki, do owej czapeczki, po której pomiędzy Niemcami dają się rozpoznać ojcowie rodzin i szczęśliwi kochankowie. Z powodu tej roboty siedziała najbliżej jedynej świecy, dość słabo salon oświetlającej. Druga świeca stała obok, lecz nie była zapalona, przez oszczędność. Zapalano dwie gdy gość wchodził, a bez gości gorzała kolejno to jedna, to druga, dla równości. Na kanapie siedział Fryderyk Nr. 2. Fryderyk Nr. 1 chodził po pokoju i był w doskonałym humorze. Co chwila zatrzymywał się dla zażycia tabaki i kiedy niekiedy głośno nos w dużą kraciastą ucięrał chustkę.

Nie będę się długo zatrzymywał nad opisaniem powierzchowności tych czworga ludzi. Byli to niemieccy mieszczanie—to dość. Dobroduszość: oto wyraz który ich charakteryzował. My Polacy tego rodzaju ludzi nazywamy: poczciwymi Niemczyskami. Starzy kochali młodych, a młodzi kochali starych. W rodzinie panowała jaknajzupełniejsza harmonia. Syn pomagał ojcu, żona pomagała mężowi, córka matce; ojciec i mąż myślał o przyszłości dzieci—o przyszłości, o której nie było co myśleć, była bowiem zapewnioną. Fryderyk Nr. 2 dostawał, po śmierci ojca, kamienicę i handel; Fryderyka Nr. 2 dostawała sto tysięcy posagu. Handel był w stanie kwitnym; posag w gotówce leżał u bankiera. Żadna więc chmurka nie zasepiała jasnego nieba rodzinnego szczęścia, którego z czystym sumieniem używali starzy i młodzi. Dla starych najważniejszém zadaniem było: ożenić syna i wydać za mąż córkę. Fryderyk Nr. 2 miał lat dwadzieścia cztery, Fryderyka Nr. 2 skończyła lat szesnaście.

O Fryderyce Nr. 2 parę słów muszę powiedzieć — parę słów może zbytecznych, a przynajmniej nie zwiastujących nic nowego. Była

sentymtalną. Któraż Niemka pomiędzy szesnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia nie jest sentymtalną? — A nie należy zapominać, że w epoce wypadków do których ściąga się niniejsza powieść, sentymtalizm kobiet niemieckich silnie został wsparty przez Goethego i Schillera. Dla panny Fryderyki ewangelią serca był wiersz:

„Czy znasz ty kraj gdzie kwitną cytryny?“

Wiersz ten kręcił się jój po szesnastoletniej główce, nad paciorkową nachyloną czapeczką.

W salonie toczyła się rozmowa. Treścią jój były wypadki dnia.

— Fryderyk Wielki lepiejby się nie spisał — rzekł Fryderyk Nr.1, zatrzymując się przed portretem króla i dużą dozę tabaki w nos pakując. Wielki król posiadał sztukę przenikania tajemnic nieprzyjacielskich... I ja tę sztukę posiadam... .

— Gdyby nie poczciwy Hilberg, byłbyś o niczém nie wiedział — wtrąciła Fryderyka Nr. 1.

Fryderyk Nr. 1 odwrócił się na to do żony i głośno się zaśmiał.

— W tém to cała tajemnica tajemnicy!..

I Fryderyk Wielki nie wiedział przez Ducha Świętego, ale przez ludzi, których umiał znaleźć, i wybrać, i do siebie przywiązać... Kto wybrał Hilberga?.. He!.. Kiedym go brał do Fryderyki na metra rysunków, wiedziałem co robię... Z oczu mu wyczytałem, że ten chłopiec na coś się przyda... I przydał się...

Fryderyka Nr. 2 przy ostatnich ojca wyrazach lekko się uśmiechnęła.

Stary zażył tabaki, utarł nos i począł się przechadzać.

— Burzenszaft wydał birgerszaftowi wojnę—bąknął Fryderyk Nr. 2.

Stary uśmiechnął się i głową kiwnął. W tym geście była pewność siebie.

— Narobią oni prób bez liku—odezwała się Fryderyka Nr. 1, myśląc o burszach.

— Niéma się czego lękać... Mam w ręku zakładnika—odparł stary.

— Którego będziesz musiał oddać—dokończyła żona.

— Oddać?.. nie!.. Będę go trzymał...

— Uczernieni upominają się...

I wymieniła kilka nazwisk dorpatskich mieszkańców.

— Odpowiedziałem, że Dalmana niema u mnie i przy tém pozostanę... Z burszenszaftem sam sobie poradzę... Fryderyk Wielki w trudniejszych bywał okolicznościach...

I dodał:

— Ale, ale... Nakazałem surowo sługom i czeladnikom i wam zalecam, ażebyście ani o pobycie u mnie Dalmana, ani o odwiedzinach Hilberga nikomu nie mówili... Ani słówka!..

Począł chodzić po pokoju i chodząc rzekł sam do siebie:

— Ten Hilberg oddał mi usługę... Muszę pomysłuć o wynagrodzeniu go... Nagrody przywiązują ludzi.

Fryderyka Nr. 2 znów się uśmiechnęła.

Fryderyk Nr. 1 zatrzymał się przy świecy, zażył tabaki, popatrzył na zegarek, powtórnie zażył tabaki i rzekł:

— Czemuż się tak spóźnia?.. Obiecał przyjść między dziewiątą a dziesiątą... Dziesiąta dochodzi... Już spać mi się chcieć zaczyna...

I jakby na poparcie słów dowodem, szeroko ziewnęła.

Niedługo potem dało się słyszeć pukanie do

drzwi wchodowych, poczem odgłos prędkiego chodu rozległ się na schodach.

— To on—rzekł z uśmiechem stary Donner i zatrzymując się naprzeciwko drzwi, zażył szybko tabaki.

Panna Fryderyka zapaliła drugą świecę.

Pani Fryderyka zawiesiła przebiieranie drutami.

Fryderyk Nr. 2 zerwał się i podszedł do ojca, a kiedy podchodził, drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek nie nazbyt pociągającej powierzchowności. Wzrostu był więcej niż miernego, biały i rumiany, czoła wysokiego, włosów jasno-płowego koloru, oczu błękitnych, nosa kształtnego lecz trochę zamałego i dziwnie zaostrego. Budowę ciała miał krzepką i silną. W fizyognomii jego uderzały szczególnie uszy jakby przyprowadzone. Sterczały one prawie prostopadle do głowy i nie miały tych zagięć i rowków, które natura ludzkim nadała uszom. Były gładkie, cienkie i przezroczyste, jakby z delikatnej ulepione klejonki. Gdyby je od głowy odłączyć, niktby nie powiedział że to uszy. Nos zaś, usta, policzki, broda, czoło, brwi i wszystkie części głowy miały pozór

zbiéranéj na chybił trafił drużyny. Patrząc na nie, trudno było wierzyć, że należą do jednego i tego samego człowieka. Pomimo więc że każda z tych części, wyjąwszy uszu, z osobna wzięta, była kształtną, wszystkie razem stanowiły całość wzbudzającą niewysłowiony wstręt—wstręt z ciekawością połączony. Odrazą ma w sobie coś pociągającego. Zdarzają się obrzydliwości, na które dość napatrzeć się nie można.

Hilberg tę wielką posiadał w oczach starego Donnera zaletę, że na imię mu było Fryderyk.

Posiadał on i inne zalety. Poprawnie rysował—i dlatego został metrem rysunków przypannie Fryderyce; bezgranicznie sprzyjał rodzinie Fryderyków — i dlatego złamał statuta burszenszaftu; był przytém od natury obdarzony tym rodzajem bystrości umysłu, co to we wszystkiém umie dostrzedz stronę śmiesznią i słabą i takową wykazać, i naodwrot, wszystko złe wytłumaczyć i usprawiedliwić. Dla niego cnota była śmiesznością; występek nie budził w nim odrazy. Miał lat dwadzieścia osiem.

Kiedy wszedł, Fryderycy Nr. 1 i Nr. 2 uści-
snęli go kolejno za rękę, Fryderyki powitały
go ukłonem i życzliwym uśmiechem. On postą-
pił kilka kroków, Fryderykę Nr. 1 w rękę po-
całował, a numerowi drugiemu zdaleka się u-
klonił i usiadł.

— Nie mogłam jeszcze panu podziękować—
odezwała się Fryderyka Nr. 1.

— Podziękować?... za co? — podchwycił
Hilberg, rzucając z ukosa okiem na Fryderykę
Nr. 2.

— Pan nas uratował... od nieszczęścia...

Hilberg się uśmiechnął i ręce zatarł. Miał
na języku definicyą nieszczęścia, o którym pa-
ni Donner myślała, lecz jej nie wypowiedział.
Natomiast od niechcienia, przybierając minę
skromną, rzucił frazes:

— O! pani... Spełniłem tylko powinność...

— Ach! panie... Czyż to każdy chce i umie
pełnić powinność?..

— Sumienie...

— Niech pan o sumieniu nie mówi!.. Prze-
cież każdy z panów uczernionych ma w bur-
szenszafcie znajomego, przyjaciela, krewnego...
Czyż tym znajomym, przyjaciołom i krewnym

sumienie nie kazało ostrzedz?.. A jednak nikt nikogo nie ostrzegł, tylko jeden pan nas... Pańskie więc sumienie jest lepsze niż innych...

Hilberg zrobił na to grymas, mogący wyrażać różne rzeczy, a pomiędzy innymi rozrzuwienie i lekceważenie. Fryderyk Nr. 1 położył tamę wynurzeniom żony wyrazem:

— Dosyć tego... Będę ja wiedział jak panu Hilbergowi podziękować...

Tu spojrzął z pod oka na portret.

— Prawdę powiedziawszy, niebardzo mnie to gniewa, że ten i ów został uczerniony... Bo koniec końcem: cóż to za nieszczęście!..

— Nie gadałbyś tak, gdyby nie pan Hilberg, który to nieszczęście od ciebie odwrócił—wsunęła pani Donner.

— No... to prawda... to po części prawda... Gdybym ja nie był Fryderyk... Donner, to pan Hilberg nie byłby odemnie nieszczęścia odwrócił...

Gdy wyrazy te wymówił, stały się one niby hasłem skrzyżowania wzroków. Fryderyka Nr. 1 spojrzała w oczy mężowi, Fryderyk Nr. 1 żonie. Fryderyka Nr. 2 spojrzała w oczy Hilbergowi, Hilberg Fryderyce Nr. 2. Ta osta-

tnia zapuściła na oczy firanki rzęs i lekko się zapłoniła: Hilberg się uśmiechnął i odchrząknął.

— Czyż nie tak?.. zapytał Donner.

— Czyż mogłoby być inaczej?.. odparł Hilberg.

— Lubię mówić prawdę wręcz, bez obwijania w bawełnę, zupełnie jak Fryderyk Wielki. Podobał mi się koncept Kilblinga. Doskonały koncept!.. Gdybym nie był Fryderykiem Donnerem, chciałbym być Hermanem Kilblingiem!

Otworzył tabakierkę i pociągnawszy potrójną dozę tabaki, strzepnął palcami i krzyknął:

— A!...

— Nacóż więzisz tego biédaka, którego czeładnicy pojмали?.. Zacóż go trzymasz o chlebie i wodzie?—zapytała pani Donner.

— Ba... odparł uciérajac nos.—Sprawiedliwość przedewszystkiem... On jest jeńcem wojennym... Traktuję go jak jeńca...

— Ale—przerwał sobie, zwracając się do Hilberga.—Cóż tam słychać?.. co zamierza burzszensaft?..

— Wyszukać Dalmana...

— Zjedzą diabła, jeżeli go znajdą!.. Byłem u rektora. Opowiedziałem mu całą rzecz pod

wielkim sekretem i oddał mi Dalmana na dyskrecyę, pozwalając ukarać go przykładnie... Z tego pozwolenia o tyle chcę korzystać, że na długi czas zapewnię birgerszaftowi spokój ze strony burszenszaftu... Przeprowadzę burszenszaft do układow... zagrozę sądem na Dalmana. Sąd będzie złożony ze wszystkich uczer-nionych. Będzie to sąd mszczących się sędziów...

Wymówiwszy ostatnie wyrazy, sam się ich przestraszyli przestraszyły obie Fryderyki. Matka i córka szeroko otworzyły oczy. „Mszczący się sędziowie“ wydali się im czémś tak groźnem, jak zawieszony nad głową piorun. Hilberg zasłonił twarz dłonią i tym sposobem ukrył uśmiech który mu usta wykrzywił.

— Stało się... ciągnął dalej po chwili przerwy Donner. — Powiedziałem i już się nie cofnę... Fryderyk Wielki także się nie cofał: co postanowił, tego święcie dotrzymał. Tak, będzie sąd... Bursze niech szukają... Birgery niech się myją... Ja będę czekał... Czekanie bywa niekiedy heroizmem...

— Biedny chłopiec...

Dwa te wyrazy wypłynęły pani Donner z głębi piersi, wiérzchem po westchnieniu.

Panna Donner także westchnęła i spojrzała w oczy Hilbergowi, a wzrok jej strzelił takim jakimś wyrazem, od którego Hilberg oczy spuścił i w ucho się lekko poskrobał, jak człowiek zaambarasowany.

— Co to za jeden, ten Dalman?.. rzucił pytanie Fryderyk Nr. 2.

Hilberg ramionami ścisnął.

— Wiem tylko, że mieszka u profesora Paragrafa...

— To znaczy, że płaci regularnie i dobrze—podchwycił Fryderyk Nr. 2.—Pani profesorowa kredytów nie udziela i każe sobie su-
to płacić. Jest to dowodem, że ten Dalman musi być zamożnym...

— Być może—bąknął Hilberg półgłosem od niechcienia, jakby dla okazania lekceważenia i Dalmana, i jego bogactwa.

— O, ba!—zawołał stary Donner. —Prze-
cież ja Dalmanów znam!.. Dobra szlachta, zamo-
żni i przytém paliwody... Gniazdem ich Mita-
wa... Znałem ich osobiście dwóch. Ładne chłop-
cy i silne. Ten musi być z tych samych. Trzej
silni ludzie ledwie go uchodzili...

Fryderyka Nr. 2 zawiesiła robotę i przez ca-

ły czas opowiadania ojca z wyteżoną słuchającą uwagą.

— A jak się on uczy?..

— Jest gorliwym burszem — odparł Hilberg. — Kilbling go wielce poważa...

— To z tych samych — podchwycił Donner. — No, ale wróćmy do rzeczy. Pomiedzy nami umowa trwa. Będę regularnie wiedział o wszystkiem, co burszenszaft przedsięwzięmie?..

— Regularnie wieczorem udzielię panu potrzebnych wiadomości...

— O której?...

— Między dziewiątą a dwunastą...

Nate wyrazy stary Donner się skrzywił.

— Czyby nie można jak dziś: między dziewiątą a dziesiątą?..

— Jeżeli w knajpie pod Lwim pazurem posiedzenie przeciągnie się do dwunastej, to nie będę mógł przyjść przed dziesiątą...

— To prawda... Ha!.. Trzeba się poświęcić...

— Przytém — dodał Hilberg — nie w każdej chwili będę mógł wejść do pana. Bursze mają oko na dom pański. Muszę wchodzić ostrożnie, ażeby mnie nie spostrzegli...

— To prawda — powtórzył Donner.

— A słudzy i czeladnicy, czy są pewni?..

— O! o to bądź pan spokojny... Moich ludzi jestem pewny... Zaden mnie nie zdradzi...

— Nie można się na to spuszczać.. Ale... cóż robić?.. Zresztą, zdarzają się ludzie wierni... zwłaszcza w razie gdy strona przeciwna nie chce lub nie może ich skorumpować.

— Skorumpować! — krzyknął Donner. — Któżby ich mógł skorumpować?.. Płacę im regularnie i na Nowy rok wiązania daję...

— Burszenszaft nie zapłaci, ani wiązania nie da... Ale, ot co stać się może. Kilbling zaprosi do knajpy na piwo i przy buflu, rozgadawszy się, nieznacznie rozpyta...

Fryderyk Nr. 1 zamyślił się i tabaki zażył.

— Bądź pan spokojny... Jutro rano pomówię z moimi ludźmi i nakażę im, żeby dopóki nie pozwolę, z żadnym nie wdawali się burzem.

W ciągu téj rozmowy Fryderyka Nr. 2 wciąż spoglądała na Hilberga, który usiłował być spokojnym, a ukryć nie mógł wewnętrzne go niepokoju. Kiedy Donner mówił o tém, że go ludzie jego nie zdradzą, on mimowolnie zamigotał oczami, jakby go zbyt mocno raził blask

dwóch świec łojowych. Nie patrzył na pannę Fryderykę, ani na panią Fryderykę, lecz to spuszczał oczy, to szukał niemi czegoś po ścianach i suficie. Nie był, jak powiadają Francuzi, *à son aise*. Wyraźnie się czegoś lękał i unikał, ażeby mu ktoś o tém czego on się lęka nie wspomniał. Aż tu, jak na złość, następujący zabrzmiał frazes:

— Cóżby to panu szkodziło, jeżeliby koledzy pańscy dowiedzieli się, że pan tajemnice ich przed nami odkrywasz?..

Frazes ten wymówiła panna Fryderyka.

Hilbergowi na twarz uderzyły płomienie. Podniósł głowę, usta otworzył; jakby chciał coś powiedzieć, i nic nie powiedział.

Zapanowało milczenie.

To co panna Fryderyka powiedziała, nie zrobiło przyjemności Hilbergowi, ale również nie zrobiło przyjemności i Fryderykowi Nr. 1. Ten ostatni chciał córkę skarcić; lecz zrozumiał, że skarcenie córki byłoby tém większém dla Hilberga upokorzeniem. Wolał milczeć i dla kon-tenansu tabakę zażywać. Po każdém zażyciu wykrzykiwał:

— A!..

Powtórzył to razy z pięć.

W przeciągu tego czasu Hilberg odzyskał zimną krew i w następujący odezwał się sposób:

— To co robię, robię dla dwóch powodów. Najprzód nie chcę być niewolnikiem przesądów, nawet akademickich; powtóre sprzyjam państwu bardziej niż wszystkim na świecie burzszasztom, tym rezerwoarom wielkich dzieciństw i błazeństw, tém większych, że niby poważnych. Mego postępowania nie wstydzę się w obec ludzi istotnie poważnych, jakimi są pan Donner i pani Donner; lecz muszę się z niem ukrywać przed Kilblingami i kompanią, bo ci nie zrozumieli by pobudek i wielką mogliby mi wyrządzić przykrość...

Pannie Fryderyce drwiący przez usta przesunął się uśmiech, który nie uszedł baczności Hilberga. Zmarszczył się więc i skończył:

— Zresztą, później wytłumaczę powody mego postępowania... Są w nich pewne pobudki, których wręcz wypowiedzieć jeszcze nie pora... To tylko zaręczyć mogę, że wszelkich dołożę usiłowań, ażeby być użytecznym państwu... Przy tém postanowieniu wytrwam do końca... Dobranoc!...

Wstał i ukłonem pożegnał panie. Panowie serdecznie go za ręce ściskali. Fryderyk Nr.2 porwał świecę i wyszedł za nim na schody, lecz Hilberg prosił go ażeby wrócił.

— Światło może mnie zdradzić... Muszę się wymknąć tak, ażeby mnie nikt na ulicy nie poznał, gdy będę próg kamienicy przekraczał...

Zeszedł po omacku, otworzył drzwi, wysunął głowę, obejrzał się dokoła, stanął na progu, znów się obejrzał, zamknął drzwi, postąpił kilka kroków, jeszcze raz się obejrzał i, przekonawszy się że ulica jest pustą, ruszył krokiem zdwojonym...

X.

Młodym dziewczętom nie potrzeba wiele, ażeby wyobraźnię ich nastroić wysoko. Można ją rozbudzić jednym od niechcienia rzuconym wyrazem. Ten wyraz szybko się rozrasta w pewien rodzaj poematu i z głowy tajemniczymi kanałami dostaje się do serca, z kądem ogrzany, powraca znów do głowy w kształcie cudnego obrazu.

Ten wyraz—panna Fryderyka go usłyszała. Był on pomiędzy temi, które wypowiedzianemi zostały w rozmowie przytoczonej przy końcu poprzedniego rozdziału. Od tej rozmowy Fryderyka została inną kobietą. Cóż w niej zaszło dziwnego.

Panna Fryderyka nie знаła Oswalda, nigdy go w życiu nie widziała. Awantura, której stał się bohaterem i ofiarą, była prostą psotą,

napiętnowaną błazeństwem, dla którego w romantyzmie niema miejsca. A przecież postać tego psotnika stanęła w wyobraźni panny Fryderyki w jakiemś romantycznem oświeceniu. Dlaczego?—może z powodu kontrastu, jaki pomiędzy błazeństwem a romantyzmem zachodzi, —może z powodu tonu jakim o awanturze odzywał się ojciec,—może z powodu nieszczęścia jakie Oswaldowi zagrażało,—może z powodu Hilberga,—może w końcu z powodu tych wszystkich i jeszcze innych podobnych przyczyn, których wyliczanie zaprowadziłoby nas musiało do najgłębszych serca dziewczęcego tajników. Jakikolwiek jednakże przyjmiemy powód, faktem który z niego wyniknął było żywe zainteresowanie się Fryderyki jeńcem.

Dziwne zrządzenie sympatyi! Właśnie w chwili kiedy Oswald czuł nad sobą Fryderykę, Fryderyka czuła pod sobą Oswalda. Rozebrała się, położyła i zasnąć nie mogła. Wzrok jej w ciemności przebijał się przez sufity i sklepienia i topił w podziemiu, szukając nieznanego młodzieńca—bursza swawolnika, który targnął się na poważne jej ojca oblicze.

Panna Fryderyka długo nie spała. Tę jej

należy oddać sprawiedliwość, że nie poszła ślepo za pierwszym popędem. Usiłowała obronić się myśleniu o Dalmanie i różnych do tego używała sposobów. Odmawiała raz po raz „Ojczy nasz“, rachowała do tysiąca, powtarzała sobie konjugacye francuzkie. Lecz odmawiając pacierz, zawsze się myliła, rachując, zawsze zapominała porządek, a w konjugacyi zawsze nasuwał się jój na myśl czasownik „kocham“, który odmieniała tylko w jednym czasie, i w dwóch osobach—w czasie teraźniejszym, w osobach pierwszej i trzeciej.

— Kocham... kocha... powtarzała sobie, usiłując odpędzić myślenie o Oswaldzie i sprowadzić sen.

— Kocham?.. kocha?.. rzekła prawie głośno dobitnym tonem zapytania i odpowiedziała sobie pocichu:

— Ani ja go nigdy nie widziałam, ani on zapewne nigdy mnie nie widział... Niewiedzieć co mi się roi....

I roiła.

W dyskusjach mają niektórzy zwyczaj, jak się mówi, chwytać za słowo. W dyskusyi jaką rozum panny Fryderyki toczył z jój ser-

cem—a raczej nie z sercem ale z fantazyą—chwyciwszy ją za słowo, możnaby pomyśleć, że się już rozkochała w młodzieńcu, którego nigdy w życiu nie widziała. Ta jednakże okoliczność, z powodu nadzwyczajności, tём silniej na fantazyą młodej dziewczyny działała. Myśl o kochaniu odpędzała i skończyło się na tём, że z nią usnęła.

I złapała się na wędkę, którą sama na siebie zarzuciła. Nazajutrz z tą myślą, której się broniła, już była oswojoną. Kochać się w Oswaldzie, nie wydało się jój niczём nadzwyczajnём. Przemarzyła o nim cały dzień, a gdy wieczorem znów przyszedł Hilberg, to nie mogła bez oburzenia patrzeć na niego. Hilberg wydał się jój najobrzydliwszym pomiędzy obrzydliwymi.

Wstręt do niego rósł, w miarę jak jego gorliwość w interesie starego Fryderyka okazywała się coraz większą. Stosownie do tego wstrętu rosło w niej interesowanie się nieznanym jeńcem i doszło do takiego stopnia, że ukradkiem upiekła kure, nakrajała szynki, kupiła bułek, wszystko to obwinęła starannie w papier i wykradłszy klucz od piwnicy, osobiście więźniowi odniosła.

Do tego poświęcenia nie mam co dodawać. Jest ono samo przez się dowodem miłości, przypominającym czyny bohaterów ballad, romanów, tragedyj i oper. Jednej tylko dozwolę sobie uwagi, a mianowicie, że jest ono dowodem miłości niemieckiej, przypominającej trochę kuchnię. Bohaterki romanów, ballad, tragedyj i oper nie pamiętają zazwyczaj o żołądkach kochanków. Przynoszą im sztylety, truciznę, serca, czułe spojrzenia, głębokie westchnienia, niekiedy wolność, ale nigdy pieczoną kurę. Mnie się zdaje że to ztąd pochodzi, iż miłości bywają dwa rodzaje—romantyczny i praktyczny—jeden tłumaczący się westchnieniem, drugi chlebem z masłem. Ten ostatni był rodzajem przyjętym przez pannę Fryderykę. Pokochawszy Oswalda i przemarzywszy o nim przez trzy dni, domyśliła się w końcu:

— On głodny...

Którażby inna rozkochana tego się domyśliła!

Miłość tę przyjął Oswald z wielką przyjemnością, i kiedy nad jego głową brzemienna piorunami—w nawiasie mówiąc, niezbyt groźnemi—burza się zbierała, on tymczasem ko-

chał się i pieczone kury zjadał. Podziemie stało się jaśniejszém; przyszłość przestała być straszną i czarną; na dnie otchłani, która go przerażała, ujrzał bardzo ładną panienkę—gwiazdę nadziei mrugającą jasnym okiem, tylko nie tak jak w romansach, z poza bukietów kwiatów lub w obłokach, ale z poza ułożonych symetrycznie, a więc z pewnym estetycznym gustem, stosów pieczyw rozmaitego rodzaju.

Rozmaitość ztąd pochodziła, że każdego dnia przynosiła panna Fryderyka Oswaldowi coś nowego. Pieczoną kurę zmienił sarni cząber; sarni cząber zmieniły jarząbki; jarząbki ustąpiły miejsca indykowi; indyk cieplej pieczeni — i t. d. bez końca. Oswald jadł i kochał. Panna Fryderyka nosiła jedzenie i kochała. Ani Oswald, ani panna Fryderyka nie powiedzieli jedno drugiemu tego czarodziejskiego wyrazu „kocham.“ Jednakże jedno i drugie wielki w miłości zrobili postęp przez to, że się do niej wyraźnie i otwarcie przed sobą przyznali.

Takie przyznanie się jest najpiękniejszym w kochaniu momentem—najpiękniejszym, bo pełnym tajemnic, uroków i znaków zapytania. Powiedziawszy to sposobem nawiasowym, powracam do opowiadania.

Bursze, z gorliwością lepszej godną sprawy, robili wszystko co mogli, celem odkrycia więzienia Oswalda. Uczernieni myli się. Fryderyk Nr. 1 obmyślał sposoby przeprowadzenia kampanii.

Pierwsi nic nie wskórali. Nie domyślali się, ażeby Oswald znajdować się mógł u Donnera, a to dlatego właśnie, że domysł podobny był najprawdopodobniejszym. W sferach tego rodzaju co burszowskie, prawdopodobieństwa są nieprawdopodobieństwami, rzeczy naturalne i łatwe nienaturalnymi i trudnymi, i naodwrot. Szukano Oswalda wszędzie po wszystkich kątach i kryjówkach, tylko nie tam gdzie go znaleźć było można.

Uczernieni, po przełamaniu pierwszej trudności, znaleźli się na dobrej drodze. Farba, raz puściwszy, niebardzo opierała się wodzie, połączonej z różnymi wymywającymi przyprawami. Z pod czarnej warstwy coraz bardziej i bardziej przeglądał cielisty kolor na szanowanych obliczach ojców familij. Po trzech dniach stali się śniadymi, po sześciu twarze ich powlekał już tylko lekki cień, na który od biedy można było nie zważać. Cień to był taki, ja-

ki ubiera twarz kominiarza, gdy się na niedzielę wygoli i umyje.

Najtrudniej szło Fryderykowi Nr. 1. Uwięził Oswalda i nie wiedział co z nim począć. Puściwszy pogłoskę, że go nie trzyma we własnym domu, postawił się w fałszywej pozycji i nie wiedział jak z niej wybrnąć. Aby nie ubliżyć Fryderykowi Wielkiemu, którego ducha czuł w sobie, nie chciał się nikogo radzić i odgrązał się sądem, który nie wiedział w jaki sposób przeprowadzić. Słowem, był w ambarasie, który go gniewał i męczył, który— rzecz nadzwyczajna!—pozbawiał go apetytu i snu. Ambaras ten był następujący:

— Sądzić przez pokrzywdzonych, albo nawet i przez niepokrzywdzonych, znaczyło: osobistej powagi, tej powagi w której tkwił urok Fryderyka Wielkiego, zrzekać się na korzyść jakowéjsz zbiorowości i narażać ją na nieuznanie. Puścić więźnia, znaczyło: wystawić się na cel prześladowania ze strony burszów. Jedyną rekojmią spokoju było: trzymać go jaknajdłużej. Lecz trzymanie miało swoją granicę. Trzeba było raz puścić; ale jakim sposobem, w jakich warunkach? to był sęk... Chodził

Donner jak zwarzony, a im dalej t \acute{e} m trudniej mu było na jakiś stanowczy zdecydować się krok.

Utrata apetytu zatrwożyła panią Donner.

— Tyś chory — rzekła do męża przy obiedzie.—Co cię boli?..

— Nic — odparł zapytany z niecierpliwością, która pochodziła z tąd że właśnie w głowie jego układał się jakiś projekt; żona mu zapytaniem szyki pomieszała.

— Tyś chory—twierdzącym sposobem powtórzyła pani Donner.—Trzeba posłać po lekarza...

Jeżeli nie po raz pierwszy w życiu, to z pewnością po raz pierwszy w ciągu pożycia małżeńskiego, wybuchnął Donner wielkim gniewem i krzyknął:

— *Donnerwetter!*..

Złękły się obie Fryderyki i Fryderyk Nr. 2. Obiad upłynął w milczeniu. Całe poobiedzie i wieczór zeszyły w smutku. Hilberg nie miał nic nowego do powiedzenia i dlatego zabawił krótko, a gdy odchodził, Donner mu oznajmił uroczyście:

— Jutro sprawa się rozstrzygnie...

— Sądem?—zapytał Hilberg.

— Nie...

— Wolno zapytać jak?..

— Zapytać wolno, ale mnie wolno zachować do jutra tajemnicę i zadziwić, przerazić Dorpat... Mniejsza o to!.. kiedy wojna, niechże będzie wojna... Sąd jest półśrodkiem... Fryderyk Wielki w półśrodku się nie bawił, i ja bawić się nie myślę... Zdecydowałem się na krok stanowczy, a jeżeli będzie on okropny, tém gorzej dla Dalmana...

Mówił tak gwałtownie, że obie zbladły, a Fryderyk Nr.2 otworzył szeroko oczy i słuchał ojca z pewnym rodzajem przerażenia. Tylko Hilberg się nie przeraził—uśmiechnął się, uklonił i wyszedł. Po jego wyjściu Donner długo jeszcze w milczeniu chodził po pokoju i w końcu... poszedł spać.

Poszedł spać; ale sen uciekał od jego powiek. Wielbiciel Fryderyka Wielkiego brzemienny był jakimś zamiarem, którego wykonanie nastąpić miało jutro. Przewracał się w piernatach z boku na bok i wzdychał i od czasu do czasu odkrząkiwał. Ciszę nocną przerywało niekiedy zapytanie żony:

- Nie śpisz?..
- Nie...
- I ja spać nie mogę...
- Śpij...
- Śpijże i ty...
- Ba, gdybym mógł...
- Ba gdybym mogła...
- Czemuż nie możesz?..
- Dlatego że ty nie śpisz...
- Będę próbował...
- I ja będę próbowała...

Małżeństwo pod piernatami przewracało się i nagle uwaga Fryderyka i Fryderyki zwróconą została na jakiś ruch w domu. Któs otwierał drzwi, ktoś chodził. W nocnej ciszy rozlegało się ciche stapanie, pochodzące od przyciskania podłogi lekką stopą. Fryderyk Nr. 1 wytknął głowę z pod pierzyny i szlafmycę nad ucho podniósł. To samo zrobiła i Fryderyka Nr. 1. Równocześnie zapytali jedno drugiego:

— Co to jest?..

I równocześnie zimny dreszcz przeszedł po ich ciele, bo przyszło im na myśl, że to być mogą poszukiwania burszów za Oswaldem. Równocześnie więc oboje naciągnęli pierzyny na głowy i dali nurka w poduszki.

A ruch tymczasem nie ustawał. Któs otworzył drzwi jedne, potem drugie, dalej trzecie, następnie wyszedł do sieni i na schody i szedł ostrożnie. Gdyby państwo Donner nie byli się schowali w poduszki, byliby widzieli światło które do ich sypialni dostało się przez dziurkę od klucza i znikło, przesunawszy się niby gwiazda po ścianach i suficie.

Tym blaskiem, który sprawił ruch w kamienicy, była panna Fryderyka. Szła ze świecą i ogromnym kluczem w ręku. Gdzie szła?—domyślny czytelnik z łatwością odgadnie. Lecz może trudniej mu będzie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego niosła klucz i świecę, a nie niosła ani chleba z masłem, ani bułki, ani żadnej rzeczy która do posiłku służy?

Po odpowiedź na to pytanie musimy iść za panną Fryderyką, która lekko zbiegłszy ze schodów, otworzyła ciężkie drzwi i tuż za progiem spotkała Oswalda. Ten ostatni tak się do jej odwiedzin przyzwyczał, że każdego wieczora czekał na nią przy drzwiach swego więzienia.

— O, mój aniele!—rzekł gdy weszła i uciał, bo ujrzał ją z próżnymi rękami. Ta okoliczność

zdziwiła go i trochę zmartwiła. Zmartwieniu temu nie dziwcie się, łaskawi czytelnicy. Pochodziło ono z dwóch powodów: najprzód z przyzwyczajenia się do owego pakietu, który w rękach panny Fryderyki miał minę rogu obfitości, powtóre z głodu, który się rozwinął z tej przyczyny, że Oswald, spuszczać się na nocny posiłek, pozostawiał nietkniętém więzienne swoje jadlo. Dlatego więc uciał na—mój aniele!.. i odstąpił parę kroków.

Panna Fryderyka zatrzymała się.

Nastąpiła chwila ciszy. Oswalda oczy zdawały się mówić:

— No, i pocóżeś przyszła?..

Panna Fryderyka była zmieszana i niby roz-targniona. Chciała się uśmiechać i fałdowała usta?..

Wiedzieć należy, że Oswald powziął zamiar zrobić wyznanie swęj miłości i stosownie do tego nastroił się z przemową, nad którą przez cały dzień myślał. Miała ona zacząć się od tych wyrazów, które powyżej przytoczyłem, a po tych wyrazach nastąpić miało odepchnięcie pakietu z pieczywem i chlebem z masłem, ze stosowném wytłumaczeniem tego z rozpaczą

graniczącego czynu. Miało być tak: panna Fryderyka podaje pakiet; Oswald go prawą dłonią odpycha i mówi:

— Nie chcę... nie chcę jeść ani pić!.. Mnie pali tu... ukazując na pierś.

Nieobecność pakietu zepsuła całą rzecz. Nie było co odpychać, a zatem nie było powodu do okazania czynu z rozpaczą graniczącego. Dlatego to wyrazy zastygły na ustach Oswalda, a na inne jakieś przemówienie nie mógł się zdobyć naprędce. W głowie jego w poprzek myślom stanęło zapytanie:

— Dlaczego ona bez niczego przyszła?..

Zapytanie na które ani rusz znaleźć odpowiedź—i gdyby nie panna Fryderyka, to ta odpowiedź byłaby na wieki dla Oswalda tajemnicą.

— Przychodzę z niczem — rzekła, zarumieniwszy się po same uszy—ale zato przynoszę panu... wolność...

— Wolność!.. podchwycił Oswald, a brzmienie tego wyrazu mówiło: nie spodziewałem się jój.

— Tak, wolność... powtórzyła Fryderyka.

Gdyby Oswald mógł się szczerze tłumaczyć,

byłby żądał odłożenia téj upragnionéj chwili. W więzieniu zaczęło mu iść dobrze. Ciekawa, pełna czarów zagadka przedstawiła się mu do rozwiązania. Przed rozwiązaniem przeto téj zagadki nie chciało mu się wychodzić z więzienia, w którym, koniec końcem, dzięki pannie Fryderyce, na niczem mu nie zbywało, wyjąwszy wolności. Wolność jednakże — rzecz względna — zależy od użytku jaki się z niej robi. Oswald byłby wiele dał za to, ażeby czas więzienia przedłużyć jeszcze do jakiej oznaczonej chwili, w której mógłby sobie powiedzieć:

— Dość...

Niespodziana przeto i niepożądana wolność zmieszała go, a zmieszała do tego stopnia, że tego ukryć nie umiał i zmieszał przez to pannę Fryderykę, której się wydało, że nic mu miłszego oznajmić nie mogła. Gdy jednakże przekonała się że tak nie jest, położenie jej stało się trudném. Nie wiedziała jak się zachować; nie wiedziała co mówić. Więc bąknęła jeszcze raz wyraz „wolność“ i złąka się, bo w brzmieniu tego wyrazu nie znalazła tych czarów i uroków, jakie mu ludzie przypisują.

Zadzwoił on jaknajtrywialniej, jakby jeden z wyrazów, któremi oznaczamy najprozaiczniejsze przypadkowości ludzkiego żywota. Pod biedną dziewczyną nogi zadrżały. Błyskawicznym sposobem przemknęło w jej umyśle porównanie pomiędzy przyjęciem jakiego doznawała, przychodząc z kurą pieczoną, a tém jakie znalazła, gdy przysła z oznajmieniem najdroższego skarbu, najwyższego szczęścia, najpiękniejszego z bożych darów.

— Miałeby Oswald kure pieczoną przekładać nad wolność?..

To zapytanie robię ja—wyraźnie ja. Panna Fryderyka sobiego nie zadała, a nie zadała dlatego, co zrozumiałem jest każdej z pięknych a nie pączkowej młodości czytelniczek, która przypomina sobie zapewne owę chwilę, gdy pierwsza miłość do jej serduszka zapukała. Panna Fryderyka nie zadała sobie tego pytania dlatego, iżby niem sprofanowała ideał swojej pierwszej miłości. Oswald, odpychający wolność, a wyciągający rękę do kury pieczonój, spadłby od razu w jej mniemaniu z piedestatu poezyi w błoto najohydniejszej prozy. Nie! ona tego przypuścić nie mogła, ale nie wiedziała co

właściwie przypuszczać, chociaż miała na to czasu dość, bo milczenie trwało długo. Serce panny Fryderyki biło, jakby rozbić chciało dekę piersiową. Nogi pod nią drżały. Chciała uciekać, a nie mogła, bo ją przykuwała na miejscu troska o los Oswalda. Wreszcie !Oswald przerwał milczenie. Przyszło mu natchnienie.

— Pani!.. zawołał tonem, któryby mógł sprawić efekt na deskach scenicznych. — Nie chcę ja wolności, która mnie pozbawi szczęścia widzenia cię każdego wieczora... Chciałbym zostać w więzieniu... nazawsze.

Wyrazy te zmieniły zupełnie postać rzeczy. Dla panny Fryderyki zagadka się rozwiązała — a rozwiązała w ten sposób, że rozkoszne jakieś ciepło przebiegło jęj po żyłach i wywołało żywy na twarz rumieniec. Obudziło się w jęj sercu uczucie wdzięczności dla Oswalda za to, że sam siebie w jęj oczach rehabilitował.

— Chciałbym zostać w więzieniu nazawsze — ciągnął ten ostatni—i widywać panią raz na dzień i słyszeć głos pani...

— Panie Oswaldzie...

— Panno Fryderyko...

Podniosła rączkę, jakby dla nakazania mil-

czenia; lecz Oswald tę rączkę w powietrzu pochwycił, do ust przycisnął i trzymając ją w obydwóch dłoniach, na jedno kolano przykleknął.

— Kocham...

— Panie Oswaldzie...

— Pani!.. kocham cię!—Aniele... Nie karz mnie wygnaniem... nie odpędzaj od siebie!—błagającym mówił tonem.

Panna Fryderyka rozpływała się z rozrzwienia. Pochyliła się i pocałowała Oswalda w głowę. Ten się podniósł z klęczek i pociągnawszy ją ku sobie, do piersi przycisnął.

Panna Fryderyka nie bronila się. Lichtarz wypadł jej z ręki, świeca potoczyła się i zgasła. Ciemność przywołała ją do przytomności.

— Panie Oswaldzie! co pan robi?—zawołała i wydarła się z jego objęć.

— Kocham! — powtórzył Oswald, wyciągając ręce w ciemności.

— I ja kocham... odparło dziewczę—ale...

I zacięła się—i powtórzyła:

— Ale...

— Co.. ale?.. Fryderyko!..

— Ale... panie Oswaldzie — bąkała dziewczyna.

— Jakie ale?—dopytywał się Oswald.

— Trzeba żebyś pan ztąd wyszedł...

— I ciebie na wieki utracił?..

— Nie... ja pana kocham...

— Kochasz?..

— Kocham.

— Fryderyko!..

— Oswaldzie!..

— Ale—dodała dziewczyna prędko, jakby wielki przestach kładł jej w usta wyrazy—trzeba żebyś pan ztąd wyszedł jaknajprędzej... Chodźmy!...

— Ty mnie kochasz?... będziesz moja?..

— Kocham... będę twoją... jestem twoją...

— Będę cię widział i słyszał, chociaż na wolności?..

— Będiesz mnie pan widział i słyszał tylko chodźmy... prędzój!..

To mówiąc, drobną rączką ujęła go za rękę i wyprowadziła z lochu, zostawiając klucz we drzwiach.

Wyjście jednakże z lochu nie znaczyło wyjścia z więzienia. Były jeszcze jedne drzwi do przebycia. Była jeszcze niemąta trudność do przełamania, zależąca na tém, ażeby z domu

wydostać się na ulicę. W tém był sęk. Oswald i panna Fryderyka znajdowali się w podziemiu, z którego wychodziło się na zabudowane i omurowane dokoła podwórze, do obszernego, zajmującego całe dolne piętro magazynu, na schody prowadzące na pierwsze mieszkalne piętro i na ulicę. Wyjść na ulicę drogą uczciwych ludzi, to jest przez wrota, albo przez furtkę, o tém nie można było ani myśleć. Wrota były mocne, okute, ciężkie, furtka także mocna i okuta, opatrzona w potężny zamek, od którego klucz był u odźwiernego pod poduszką. Wydobyć ztamtąd ów klucz było niepodobieństwem. Wejść do magazynu a z magazynu na ulicę, było także niepodobieństwem; klucz od magazynu spoczywał również u odźwiernego pod poduszką. Wyjść z kamienicy przez podwórze, zdawało się jeszcze trudniejszym. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko z pierwszego piętra spuścić się na ulicę przez okno.

Bodajto balady i romanse! Dzięki im, panna Fryderyka obmyślała z góry cały plan ucieczki dla Oswalda i jak tylko znalazła się z nim na podsieniu, szepnęła mu do ucha:

— Sprawuj się pan cicho... cichuteńko...
zrzuć buty...

Oswald wykonał rozkaz swojej przewodniczki.

— Już?..

— Już...

Chodź pan za mną, ale cicho... cichuteńko...

I wzięwszy go za rękę, wprowadziła na schody, a idąc przodem, zatrzymywała się co parę kroków i powtarzała:

— Cicho...

Przeszli szczęśliwie mimo drzwi od izdebki odźwiernego i mimo drzwi od sypialnego pokoju państwa Donnerów, i lekko jak duchy, cicho jak dwa cienie, wsunęli się do pokoiku panny Fryderyki.

Trudno opisać wnętrze tego pokoiku. Było w nim ciemno, i dlatego właśnie stał się bardzo dla Oswalda niebezpiecznym, z powodu stojących pośrodku niektórych mebli, zawadzenie o które mogło sprawić hałas i rozbudzić domowników. Panna Fryderyka to przewidywała, co jest dowodem że była roztropną i przytomną dziewczyną, umiejącą niebezpieczeństwo odwrócić. Trzymała Oswalda za rękę i kierowała jego krokami.

— Na prawo... na lewo... tu stołek... tu stół... a oto kanapka... Tu przy stole ostrożnie... No... dobrze... Usiądź pan na kanapie i buty wzuź...

Oswald usiadł, lecz zamiast wzuwać buty, przyciągnął Fryderykę i przemocą prawie posadził ją obok siebie.

— Cicho—szepnęła ta ostatnia—jeszcze kto usłyszy...

— A! niech słyszy — odszepnął Oswald.— Co to mi szkodzi!..

— Ale mnie szkodzi—podchwyciła Fryderyka.—Moja dobra sława wisi teraz na włosku.. Niech się ten włoszek zerwie, a stanę się jutro przedmiotem szyderstwa całego miasta... Nie będę śmiała ludziom w oczy patrzeć... Trzeba żebyś pan szanował moje dobrą sławę, jeżeli mnie kochasz...

Oswaldowi nie w smak poszło to gadanie i spostrzegł się że niedorzeczność powiedział. Chciał więc ją naprawić i przybrał ton czuły:

— Jeżeli ciebie kocham?.. Och! nad wszystko, nad życie... moja Fryderyko! mój jasny aniele!..

— Więc spieszmy się... Nie traćmy ani chwili czasu... Przygotowałam tu sznur do

wieszania bielizny, długi i mocny... Trzeba go przytwierdzić do ramy okna i spuścić się...

— Na ulicę?.. z drugiego piętra?—zapytał Oswald tonem zdziwienia.

To zapytanie zmieszało Fryderykę. O sposobach podobnego wychodzenia z domów czytała w książkach i wydawały się jej one możliwymi. Ton zapytania wprowadził ją w wątpliwość. Jak błyskawica w jej głowie przesunęła się myśl:

— A jeżeli spuszczenie się po sznurze z piętra jest niepodobieństwem?..

I odpowiadając niejako na tę myśl, zapytała:

— Cóż począć?.. jak temu zaradzić?..

— Niema rady... Ale mniejsza oto—odparł Oswald.—Ja spuszczę się i bez sznura, skoczę jeżeli potrzeba... Mnie to nie obchodzi... Obchodzi mnie tylko to, co będzie skoro odyskam wolność. Jak i kiedy będę mógł cię widzieć? jak i kiedy będę mógł z tobą mówić?.. Bez patrzenia w twoje oczy, bez słyszenia twego głosu, ja już żyć nie mogę...

— O, będziesz mnie pan widział...

— Jak?..

— Co niedziela chodzę do kościoła...

— Dziękuję... Widzieć raz na tydzień i to zdaleka i nie śmieć słówka przemówić...

— Naznaczmy sobie godzinę i pan codziennie przechodź mimo naszego domu. Ja będę stała w oknie lub we drzwiach magazynu... Będziemy się widzieli codziennie.

— A mówić?.. słyszeć dźwięk twego głosu?..

— Mówić?.. a!.. ja nie wiem... jakoś to Bóg da... Ale wzuwaj pan buty...

— Mój aniele!.. moja Fryderyko!.. moje szczęście!.. mój skarbie!—mówił Oswald i przyciągał ją lekko opierającą się do piersi.

Wtém nagle w ciszy nocnej rozległ się okrzyk:

— *Donnerwetter!.. Saperment!..* Co to jest?.. Piwnica otworzona!..

Oswald i Fryderyka odskoczyli od siebie.

W jednej chwili buty były na nogach Oswalda, okno otworzone i sznur przywiązany.

Po kamienicy brzmiały okrzyki, nawoływania: „Michale!.. Piotrze!.. Janie!..“ i tupot chodzących ludzi. Słychać było jak z sypialnego pokoju wyskoczył Donner i krzyknął na schodach:

— Co to się stało?..

W tej chwili Oswald wisiał już między niebem a ziemią i spuszczał się coraz niżej i niżej, a wychylona przez okno Fryderyka słała mu wyrazy:

— Bądź zdrów, Oswaldzie... mój drogi!..
bądź zdrów... do zobaczenia!...

XI.

— Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło—mówił Fryderyk Nr. 1 przy śniadaniu na-
zajutrz po ucieczce Oswalda, zajadając z wiel-
kim apetytem sucharki maczane w kawie z mlé-
kiem.

— To prawda—rzekła Fryderyka Nr. 1.—
Odrazu odzyskałeś i sen i apetyt... Spałeś wy-
bornie do rana i pożywasz śniadanie jak nie pa-
miętam...

— A!.. nie o to chodzi... ale że się pozby-
łem ambarasu, który zaczynał mi ciężyc...

Fryderyka Nr. 2 nieznacznie się uśmiechnęła.

— Tylko... ciekawy jestem wiedzieć, jakim
sposobem wyszedł z kamienicy?.. Wrota były
zaryglowane, furtka i drzwi zamknięte, na po-
dwórzu ani nigdzie najmniejszego śladu... je-
dne drzwi od piwnicy otworzone i w piwnicy ni-

kogo... To rzecz dziwna, niepojęta... cudowi równa... Przyznać potrzeba, że te bursze posiadają nadzwyczajne sposoby...

— Któs jednakże w nocy chodził—wsunęła Fryderyka Nr. 1.

— I ja słyshałem że chodził—rzekł Fryderyk Nr. 1.

— I ja słyshałem—dodał Fryderyk Nr. 2.

— A ty?—zapytała matka córkę.

— Ja?—odparła zapytana, zarumieniwszy się po uszy—ja nic nie słyshałam...

— O! ona jak śpi, to możnaby jej nad uchem z pistoletu strzelać—rzekł ojciec—i ona by nie słyshała...

— Tak, twardy mam sen—odrzekła panna Fryderyka z zająknieniem.—Nic nie słyshałam..

— Jednakże—podchwycił ojciec—ciekaw jestem wiedzieć, jakim sposobem ta ucieczka została skuteczną?.. Kto drzwi otworzył?—kto klucz wyniósł?.. To nie mogło się stać inaczej, tylko że do furtki dorobiony został klucz, a klucz od piwnicy wziął ktoś, komu nieobce są tajemnice i zwyczaje nasze domowe... A!..

Tu uderzył się w czoło.

— Mam go!.. Nikt inny nie mógł ułatwić

ucieczki, tylko Hilberg... O, z pewnością Hilberg... On kazał dorobić klucz do furtki, on wykradł klucz od piwnicy... on, nie kto inny... No, proszę!.. Czyż można na dwóch stołkach siedzieć?.. A, łotr jakiś!.. Jemu łotrzyk z oczu patrzy... Dawno to widziałem, ale nic nie mówiłem...

— A może go niesłusznie podejrzewasz— zauważyła pani Fryderyka.

— Jako niesłusznie?..

— Dowodów nie masz...

— Dowodów?.. na co dowody?.. Mam najprzód moralne przekonanie, a potem tak się składają okoliczności... Nikt oprócz niego nie mógł wiedzieć gdzie wisi klucz od piwnicy... Nikt nie mógłby się do takiego uzuchwalić stopnia, ażeby po klucz na piętro chodzić... Nieprawdaż?..

Pani Fryderyka pomyślała trochę i odpowiedziała:

— Tak się zdaje...

— Nie zdaje się, ale tak jest—odrzekł pan Donner.—Dałbym gardło, że tak jest... Jemu się chciało i moje i burszów względy sobie skarbić... On ma zamiary na Fryderykę ..

Panna Fryderyka przy tych wyrazach znów oblała się rumieńcem, a Donner ciągnął dalej:

— O, ja to widziałem, ale nie mówiłem, bo wiedziałem że Fryderyka nie będzie taka głupia, ażeby się miała w tym dryblasie rozkochać...

Kiedy tych wyrazów domawiał, drzwi się otworzyły i wpadł Hilberg. Był zadyszany i zalterowany. Ujrawszy go, Donner dobył tabakierkę i tabaki zażył. Hilberg nikogo nie witał, tylko natychmiast zaczął mówić:

— Na Boga!.. co to się stało?.. Dalman uciekł!.. Teraz cała zemsta burszensaftu zwróci się na pana...

— Nie lękam się burszensaftu—odparł Donner—ale fałszywych przyjaciół...

— Co pan pod tém rozumiesz?..

— Rozumiem ludzi którzy mnie baki święcą, a burszensaftowi usługi oddają...

Hilberg spojrział po wszystkich szeroko otworzonymi oczami i ramionami ścisnął, a po chwili uśmiechnąwszy się, rzekł:

— Będiesz pan miał dziś serenadę pod oknami... Już jest na cześć pana pieśń ułożona i tylko układa się nuta chóru, który składać

się ma ze szczekania psów, wycia wilków, miauczenia kotów, ryczenia, gwizdania i... wybijania okien...

Jedno „ach“ wydarło się z piersi obydwóch Fryderyków i obydwóch Fryderyk. Śmiertelna bladeść pokryła ich twarze naraz, niby na komendę. Fryderyk Nr. 1 rozsypał tabakę. Milczenie i przerażenie zapanowało i trwało przez chwilę. Przerwał je wielbiciel i naśladowca Fryderyka Wielkiego.

— Mój Boże!.. a to nieszczęście!.. Na cóż mi było tego Dalmana więzić i trzymać?..

— Trzeba było lepiej dać się oczernić, dla przyjemności szorowania twarzy przez cały tydzień, jak się szorują rądle...

Donner głęboko westchnął.

— Raczej należało lepiej więźnia pilnować i nie dozwolić mu uciec...

— Czyż można już lepiej pilnować?.. zawołał Donner.— Drzwi były zamknięte... Do piwnicy nikt nie chodził, tylko Michel, i to nad ranem, kiedy Dalman spał, dla odmienienia mu wody i chleba... Klucz od piwnicy wisiał tu, na tym kołku.—Tu ukazał palcem na hak, który podtrzymywał u dołu potret Fryderyka Wielkiego.—Możnaż było lepiej pilnować?..

— Jakimże on sposobem uciekł?..

Przy tém zapytaniu Hilberg patrzył w oczy pannie Fryderyce, która spuściła wzrok, jak winowajca, ale się nie zarumieniła, pomimo że miała do tego usposobienie. Potrafiła zapanować nad sobą. Powściągnęła rumieniec— w sobie go stłumiła, podniosła oczy i śmiało w oczy Hilbergowi spojrzała. Był to cud miłości.

— Jakimże sposobem uciekł?.. powtórzył Hilberg zapytanie.

— Alboż ja wiem!.. odparł Donner.—Jestto zagadką nierozwiązalną...

— Jednakże tę zagadkę trzeba koniecznie rozwiązać... Będę się o to całemi starał siłami—rzekł Hilberg, nie spuszczając oczów z panny Fryderyki, która mężnie indagacyą wytrzymywała.— Niepodobna, ażeby Dalman nie wygadał się...

Te ostatnie wyrazy były ciosem wprost w serce Fryderyki skierowanym. Jednakże i ten cios ześlizgnął się po jej sercu, jak strzała po hartownym puklerzu. Udawała obojętną, ale wiedziała że Hilberg nie kogo innego, tylko wprost ją podejrzywa.

Fryderykowi Nr. 1 nietyle już chodziło o ta-

jemnicę ucieczki więźnia, ile o to, co go czekało. Pomimo że się chwalił odwagą i wielką przytomnością umysłu, czego dowodów w życiu swoim nie dał dlatego jedynie, że nie miał sposobności,—strach go opanował niemały. Kocia muzyka, która w owych czasach kocia się jeszcze nie nazywała, przedstawiła się mu w całej swojej piekielnej okropności. Wybijanie okien wydało się mu tak straszném, jak bombardowanie miasta. Strach, nakształt przedśmiertnego, przechodził mu po ciele. Żal ścisnął mu serce—żał jaki mu sprawiało widmo jego kamienicy, obrzuconej błotem i pozbawionej tych jasnych szyb, które Hannchen codziennie z taką starannością wycierała i które z tego powodu mrugały, uśmiechały się do bożego słońka. Obelga osobista mniejby go bolała. On tę kamienicę sam budował, on się nią tak cieszył! Pomyśleć że ona ma być obrudzona, odrapana i obtłuczona—było to coś strasznego. Z dwojga złego wybierając mniejsze, wolałby zresztą zostać uczernionym i gotów był w tym duchu wejść z burszensaftem w układy; lecz czuł że to już zapóźno. Nieszczęście nad jego głową zawisło, niby chmura piorunami brzemienna. Odwrócić je—ach! odwró-

cić — oto była jego troska. Ale, jak? —
Tonący brzytwy się chwyta. Więc i on zwró-
cił się do Hilberga.

— Nieszczęście!—zawołał.—Panie Hilberg!
w panu jedyna moja nadzieja... Ratuj!..

Hilberg się uśmiechnął i ramionami ruszył.

— Czy niema sposobu?—zapytał z trwogą
wielbiciel Fryderyka Wielkiego.

— Mogę się podjąć zwłeczenia, odłożenia,
lecz nie mogę brać na siebie odwrócenia—od-
rzekł zapytany. — Trzeba było lepiej więźnia
pilnować... Mając go w ręku, można było
z burszenszaftem się układać...

Można było się układać!—krzyknął Donner,
przerażony opuszczoną sposobnością. — Tak!
układać się!.. i raz na zawsze od wszelkich się
napaści zabezpieczyć... Ach!..

I uderzył się dłonią w czoło.

— Więc można wyrobić zwłokę?..

— Tylko zwłokę...

— Ach! panie Hilberg!.. niech ją pan wy-
robi... choć na dwa dni, choć na trzy dni,
choć na tydzień ..

— Będę się o to starał...

— Panie Hilberg!.. to już ja na pana się

spuszczam i zareczam panu wdzięczność moję i mojęj żony i mego syna i mojęj córki...

— Nie przyrzekam jednakże — przerwał Hilberg. — Będę się starał, ale za skutek nie ręczę...

— Jezeli pan się będziesz starał, to skutku jestem pewny...

— O!.. niech pan o pewności nie mówi... nie jestem w burszenszafcie wszechmogącym... Spróbuję... zobaczymy... Dziś wieczorem, pomiędzy dziesiątą a jedenastą, albo będziesz pan miał zawieszistą serenadę, albo przyjdę z oznajmieniem o postanowieniu, jakie pod Lwim pazurem zapadnie...

— Moznaby z kimś jeszcze oprócz pana Hilberga pomówić—zauważyła pani Fryderyka.

— Z kim naprzykład?—zapytał Donner.

— Naprzykład z Kilblingiem...

— Ale!—zawołał Donner, jakby uderzony trafnością pomysłu.—To może przydałoby się na co... Tylko jak do niego trafić?..

— Poprosić pana Hilberga, żeby był łaskaw wezwać go do nas na rozmowę ..

— Pani zapomina—podchwycił Hilberg— że przychodzę do państwa ukradkiem... Zapraszając Kilblinga, zdradziłbym się...

— To prawda... rzekł Donner. — Cóż robić?...

— Nic... odparł Hilberg.— Zdać się na Opatrzność i na mnie...

— Ha! to bądźże pan naszą opatrznością...

I wyciągnął Donner rękę do Hilberga i trząś jego prawicą, a oczy mu się śmiały nadzieją— i mówił:

— No, to sprawa jest już załatwiona... Teraz opowiedz nam pan, co tam słychać?

— Jeszcze nic... Gruchnęła o ucieczce Dalmana wieść, ubrana w błyskotki dodatków. Jedni mówią, że się wykopał, drudzy że się spuścił po jedwabnej drabinie, inni że panna Fryderyka drzwi mu i wrota otworzyła...

Panna Fryderyka zbladła, usłyszawszy te ostatnie wyrazy. Nie stało jej już mocy do wytrzymywania obojętnie podjazdowych Hilberga wycieczek, a to tém bardziej, że siebie uważała jako główny powód nieszczęścia jej rodzicom zagrażającego. I byłaby się zdradziła, gdyby nie ojciec, który grubym śmiechem odwrócił od niej uwagę.

— Cha cha cha!.. Cóż to za bajki!.. To jednakże pewna, że ucieczka Dalmana odbyła się

w sposób nadzwyczajny... Wszyscy jak tu jesteśmy, wyjąwszy jedną Fryderykę, która mocno spała, słyszeliśmy w nocy chodzenie... Ja natychmiast—tu tabaki zażył—zerwałem się z łóżka i wyskoczyłem do sieni.—Krzyknąłem na Michła, na Johana—obszukaliśmy cały dom, przejrzeliliśmy wszystkie kąty... ani śladu gdzie się podział, ani jak się wydobył...

— To dziwne—rzekł w zamyśleniu Hilberg, w umyśle którego te poszukiwania odwróciły podejrzenie od panny Fryderyki.

— Dziwne—zawtórował mu Donner.

— Ale ja się dowiem—dodał Hilberg.

I odszedł, zostawiając rodzinę Donnerów w oczekiwaniu, niepewności i strachu, a pannę Fryderykę w stanie zgryzoty sumienia.

— Biedna dziewczyna, odszedłszy do swego pokoiku, gorzkiemi załała się łzami. Nad jej głową groźniejsze niż nad kamienicą zebrały się chmury. Kamienicy mularz i szklarz przywróca czystość i całość. Dla panny Fryderyki wygadanie się Oswalda byłoby ciosem nie do naprawienia. Jedyłą przeto jej nadzieją i pociechą było to przekonanie, że on ją kocha.

— On mnie kocha!.. on nie będzie chciał mojej zguby!..

Któż jednakże mógłby zareczyć, że Oswald, wydostawszy się na wolność, tyle będzie miał wstrzemięźliwości, że nikomu, nawet pod sekretem, nie opowie historyi swojej niewoli i ucieczki? Może to zrobić w najniewinniejszej myśli, najprościej i najnaturalniej w świecie.

Panna Fryderyka była w rozpacz. Przez cały dzień chodziła jak zwarzona i naraziła się na gniew ojca, który, w przewidywaniu wieczornego napadu, przygotowywał się do obrony, to jest do opatrzenia okien w taki sposób, ażeby nie dopuszczać kamieni do wnętrza domu. W tym celu wszystkie jakie w domu posiadał koce i kołdry poprzemieniał na firanki, przytwierdzając je u góry i u dołu. Byłby to samo chętnie zrobił na zewnątrz, gdyby się nie lękał osmieścić w oczach spółobywateli. Żałował więc że nie kazał do okien porobić żaluzyj, ani zewnętrznych okienic. Żał jednakże był poniewczasie. Trzeba było poprzestać na wewnętrzném ochronieniu, pocieszając się tem, że kamienie, przechodząc przez szyby, nie potłuką zwierciadeł, etażerek, lamp i nie porozbijają głów.

Wieczorem wszystko było gotowe i rodzina

znów zgromadziła się w bawialnym pokoju, koło okrągłego stolika, oczekując na przewidywane wypadki. Wieczór zwłókł się smutno. Pannie niby to coś robiły, lecz robota im nie szła. Fryderyk Nr. 2 siedział utopiony w fotelu. Fryderyk Nr. 1 wypróżniał tabakierę z zawziętością filozofa Sans-Souci, spoglądając na okna; trwożna myśl nurtowała mu głowę i rozsadzała ją.

Należy to do psychologicznych duszy ludzkiej właściwości, iż cios oczekiwany wydaje się nadzwyczajnie strasznym. Miecz zawieszony nad Damoklesem, kto wie czy nie był tępym, a z pewnością nie mógł wielkiej zrobić przykrości, brakowało mu bowiem rozmachu. Mimo to śmiertelne sprawiał dreszcze. Mieczem tego rodzaju był dla rodziny Donnerów, a szczególnie dla Fryderyka Nr. 1, spodziewany napad burszów. Naśladowca Fryderyka Wielkiego na wszelkie gotów był ofiary, byle go odwrócić.

Rodzina otaczała stół w milczeniu. Nieobjądniona świeca blade rzucała światło. Na dworze szumiał jesienny wiatery, bijąc o szyby, wywoływał na twarze rodziny Donnerów blaśność, która była oznaką trwogi.

Z tą trwogą możnaby ich było malować, tyle twarze tych czworga ludzi miały w sobie charakterystyczności. Szczególnie stary Donner, z tabakierą w ręku, z szeroko otwartymi oczami, z najeżonemi włosami i z wytężonym słuchem, podskakujący w fotelu za każdym brzęknięciem szyby, był nieoszacowany, jako model dla malarza.

Lecz szyby brzęczały, a bursze nie przychodzili. Godziny mijały—ósma, dziewiąta.—Jedna świeca się dopaliła; trzeba było zapalić drugą. Przy zapalaniu Fryderyka Nr. 1 przemówiła.

— Może też z tego nic nie będzie...

To przemówienie, a raczej przypuszczenie, stało się balsamem pociechy, którego oburącz chwycił się najpierwszy Fryderyk Nr. 1. Oczy mu się roześmiały, twarz wypogodniała, pociągnął potężny niuch tabaki i zawołał:

— Z pewnością nic nie będzie!.. O! oni się boją!.. Przecież to nie lada sprawa z Fryderykiem Donnerem!.. Muszą nad nią dwa razy pomyśleć...

Zanim jednakże to wymówił, zbladł jak ścia-

na i prawie skamieniał w fotelu. Zbladły i obie Fryderyki. Zbladł i Fryderyk Nr. 2.

Powodem tego był gwałtowny hałas dzwonka, a potem szybkie po schodach stąpanie, które w ciszy nocnej wydało się, jakby składały się na nie dziesiątki nóg.

Twórcą tego hałasu i stąpania był Hilberg. Wbiegł zadyszany. Lecz za ledwie na progu się ukazał, stary Donner skoczył z fotelu i rzucił się ku drzwiom z okrzykiem:

— Co?!..

— Idą—była odpowiedź.

— Mój Boże!—jednym głosem zawołały kobiety.

— Zginałem!—krzyknął Donner.

I po chwili milczenia, począł się kręcić po pokoju, niby porządkując czy też chowając, i wydawał różne rozkazy, jedne drugim się sprzeciwiające:

— Pogasić światła .. Zapalić kilka świec... Nie ruszajmy się z miejsc... Chodźmy do piwnicy... Skryjmy się na podwórze... Na strych kamienie nie sięgną... Najlepiej będzie pod kanapą...

Te rozkazy przeplatał wykrzyknikami:

— Mój dom!.. moje okna!.. moja głowa!..
moje dzieci!.. Ach! ja nieszczęśliwy!.. zgi-
nąłem!..

Na ten ostatni wyraz Hilberg patetycznie od-
powiedział.

— Nie...

— Nie?!— zawołał Donner.— Co mówisz!..
Nie?..

— Nie... Bo jest jeszcze ratunek...

— Ratunek?!..

— Tak... ale spieszny, nagły, piorunowy...

— Piorunowy?!.. Mój Boże!.. Ja tego nie
rozumiem...

Hilberg się uśmiechnął. Bo też śmiesznym
był Niemiec rozpaczą wykrzywiony.

— Nie chodzi tu o piorun z nieba, ale o pio-
runność postanowienia... Potrzeba ażebyś się
pan w jednej chwili zdecydował: tak albo nie...
Tak, zawiera w sobie ratunek; nie, napad ze
wszystkimi okropnościami.

— Ze wszystkimi okropnościami?!.. powtó-
rzył Donner, szeroko otwierając oczy.

— Z kocią muzyką, tłuczeniem szyb i stu-
kaniem we drzwi.

— Och!—jęknął Donner.

— Więc decyduj się pan—podchwycił Hilberg.—Tak! czy nie?..

— Już się zdecydowałem! — zawołał Donner. — Gotów jestem na wszystko... Jeżeli potrzeba „tak“, niech będzie „tak“... Jeżeli potrzeba „nie“, niech będzie „nie“...

I dodał modlitewnym głosem:

— Panie Hilberg!.. ratuj!..

— Dobrze, ale... pod warunkiem...

I szepnął mu kilka słów do ucha.

— Zgoda!—krzyknął Donner uradowany.—

O!.. z największą chęcią...

I zwracając się do żony, dodał:

— Pan Hilberg chce zostać naszym zięciem...

Czemużby nie miał zostać?.. I owszem.... Fryderyko, zostaniesz żoną pana Hilberga... Kocięj muzyki nie będzie, okna będą całe!..

Radość ta bodaj czy nie śmieszniejszą była niż trwoga. Donner skakał i wykrecał się na jednej nodze, wykrzykując co chwila:

— Kocięj muzyki nie będzie!..

Radość ta zakomunikowała się i pani, i młodemu panu, i nawet pannie, której kosztem została uzyskaną. Powodem tego była zaraźliwość uczucia, okazanego w ten sposób, w jaki

je stary Donner okazał. Kiedy się on zaśmiał, nie można było się nie śmiać. Więc wszyscy byli uradowani, pomimo że pannie Fryderyce jakoś dziwnie ścisnęło się serce.

Hilberg radował się także, to jest śmiał się, lecz dlatego tylko, że i on śmiechem się zaraził. Z po za śmiechu jego jednakże przeglądało pewne zakłopotanie, którego powodem było tak niespodzianie łatwe przyjęcie podanego warunku.

— Więc nie będzie kocięj muzyki!.. Więc będziesz moim zięciem!—wrzeszczał wciąż stary Donner. Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło... Zamiast spodziewanego smutku, będziemy mieli niespodziewane wesele...

— Ale — bąknął Hilberg, chcąc snadź coś dla kontenansu powiedzieć.

— Niema ale—odparł Donner.—Zostaniesz moim zięciem i kwita... Nie będzie kocięj muzyki!..

— Nie będzie! — odezwał się patetycznie Hilberg, spoglądając z ukosa na pannę Fryderykę.—Położę się na drodze i tylko po trupie moim przejść pozwolę!...

— Rób jak chcesz—podchwycił Donner.—

Kładź się, stań się trupem... Mnie nic do tego... Masz wóz i przewóz... Jeżeli nie będzie kocięj muzyki, zostaniesz moim zięciem, jeżeli będzie, nie zostaniesz... Warunek jasny jak słońce... Niema o czém gadać... Szkoda czasu...

Gdyby ta rzecz toczyła się między Polakami, po polsku, Hilberg niezawodnie byłby zapytał Donnera: kpisz, czy o drogę pytasz? Po niemiecku jednakże to trochę inaczej wypadło. Hilberg podchwycił:

— Szkoda czasu... To prawda... Wykradłem się i przybiegłem tu na chwilkę, bo tam, pod Lwim pazurem, organizuje się wyprawa...

— Co mówisz! — zawołał Donner.

— Powtarzam co widziałem... Pod Lwim pazurem bursze się zbierają i organizują... Kilbling obejmuje dowództwo...

— Zginałem — krzyknął Donner głosem przerażenia.

— Jeżeli będziesz mnie pan zabawiał żartobliwem przyjmowaniem warunków...

— Co mówisz? — zapytał Donner. — Co za żartobliwe warunki?..

— Te któreś pan niby przyjął...

— Przyjąłem... no... Przyjąłem cię za zięcia...

— Dla pozbycia się mnie... Dlatego tylko, ażebym odwrócił kocią muzykę...

— Nietylko dlatego... To jest: przyjmuję cię na zięcia, pod warunkiem ażebyś odwrócił kocią muzykę...

— Przyjęcie tego rodzaju odbywa się trochę uroczyściej...

— Masz racya!.. a!—zawołał Donner.—Zapomniałem!.. Bo to, widzisz pan, roztargnienie... Tyle interesów mam na głowie... A obok wszystkiego jeszcze i ten ambaras...

— Fryderyk Wielki nie ulegał roztargnieniu—wsunął Hilberg.

— Masz pan racya... Cóż robić!.. Zapomniałem się... Ale wiem co do mnie należy i na dowód, oto natychmiast zaręczę pana...

To rzekłszy, zwrócił się do panny Fryderyki:

— Fryderyko!.. chodź... daj mi prawą rękę, niech ją złączę z dłonią naszego zbawcy... To jest, nie zbawcy, ale tego co zbawcą być ma, co gotów w trupa się zamienić dla mnie, dla ciebie, dla twojej matki i dla twego brata... Fryderyko, chodź tu!..

Panna Fryderyka nie ruszała się z miejsca.

— Chodź tu!..

Panna Fryderyka siedziała, niby przykuta do krzesła.

— No chodźże!..

I to potrzeciokrotne wywołanie nie zdało się na nic. Donner lewą ręką trzymał za rękę stojącego na środku izby Hilberga, a prawą przez stół wyciągał do córki. Ale ta ani się ruszała. Pozycja Donnera stała się niewygodną. Ciągnął opierającego się Hilberga, wołając coraz to gwałtowniej:

— Chodźże!..

Gwałtowność wołania oddziaływała na krew. Rozgniewał się, puścił Hilberga, poskoczył do córki, z furją porwał ją za rękę, szarpnął i wyprowadził na środek pokoju.

— Panie Hilberg... oto twoja... żona—rzekł drżącym od gniewu i wzruszenia głosem, ciągnąc rękę opierającej się Fryderyki, w celu złączenia jej z ręką młodego człowieka.

— Ojczy!—modlitewnym głosem przemówiła panna Fryderyka.

— Cicho!—odparł Donner.—Oto... twoja... żona...

Z natężeniem wymawiał ostatnie wyrazy, bo musiał się wysilać, dla dociągnięcia córki do kawalera.

Pani Donner nie pozostawała niemym widzem tej sceny. Zaręczyny wydały się jej nie stosownemi; lecz wpływ strachu działał na nią tak silnie, iż nie stawiała im wyraźnego oporu, który wyraziła w ten tylko sposób, że poprawiła męża. Kiedy ten ostatni po drugi raz powiedział „żona“, ona podpowiedziała mu:

— Narzeczona...

— Nie żona, tylko narzeczona — poprawił się Donner. — Panie Hilberg, oto twoja narzeczona...

I złączył dwie dłonie.

Ceremonia ta była i śmieszna i smutna, z powodu zwłaszcza uroczystości, jaką nadać jej usiłował spieszący się Donner. Przyjął poprawkę żony, ale zresztą nic. Nie pozwolił na żadną uwagę, na wtrącenie najmniejszego słówka. Odezwał się Hilberg — on mu przerwał; odezwała się panna Fryderyka — on jej milczenie nakazał; odezwała się pani Fryderyka — on jej ręką usta zatkał. Jeden tylko Fryderyk Nr. 2 nie brał w tém wszystkiém udziału.

Z założonemi rękami siedział sobie spokojnie w fotelu i nie powstał aż na wyraźne ojca wezwanie.

— Chodź, mój synu, chodź bliżej i stań obok siostry... Twoja obecność jest tu potrzebną... Chciałem pierwój ożenić ciebie, ale los zrządził inaczej... Kocia muzyka popsowała mi porządek... Trzeba niekiedy uleż losowi, któremu i Fryderyk Wielki niekiedy ulegał... Ale się nie troszcz... Wygrana zostanie przy mnie...

Ostatnie wyrazy wymówił z prawdziwie komiczną patetycznością. Nikomu jednak na śmiech jakoś się nie zbierało. Fryderyka Nr. 2 byłaby chętnie płakała, gdyby jakiś rodzaj ambicyi nie wstrzymywał jój łez za powiekami. Fryderyka Nr. 1 była zdziwiona i, że tak się wyrażę, ogłuszona, albo raczej otumaniona niespodziewanością tego co się stało. Fryderyk Nr. 2 nie znajdował nic w tém śmiesznego i głową kiwał na potwierdzenie ojcowskich słów. Hilberg myślał i rozmyślał: co to jest?—rzeczywistość czy złudzenie?—prawda czy nieprawda?—Fryderyk Nr. 1 podniósł prawą rękę, wyciągnął ją i tak prawił dalej:

— Jest to akt uroczysty... Panie Hilberg, oddaję tobie moje dziecko...

Tu łzami oczy mu nabrały i głos zadrzał.

— Oddaję ci je w dożywotnie posiadanie... Kochaj ją i pielęgnuj... a ty (tu zwrócił się do panny Fryderyki) szanuj go, jak twoja matka szanowała twego ojca... Błogosławię was, moje dzieci!..

Wtém wiatr brzęknął w szyby. Donner zbladł i krzyknął:

— Kocia muzyka!..

I uszy nastawił.

— Nie... Ale może spaść lada chwila... Panie Hilberg, nie trać czasu... Spiesz się, biegnij, będziesz moim zięciem, ja słowa dotrzymam, ale i ty słowa dotrzymaj!..

Pochwyił go za barki i za drzwi wypchnął i z progu wołał za odchodzącym.

— Będziesz moim zięciem!.. tylko się spiesz!..

XII

Jakkolwiek odbyte u Donnera zaręczyny wiele pod względem formalności zostawiały do życzenia, były to jednakże zaręczyny, opiera-
jące się na podstawie dość pewnej, bo na rze-
telności kupieckiej, którą stary Donner stawiał
na równi z uczciwością. Dał słowo pod warun-
kiem. A że przeciwna strona warunkowi zadość
uczyniła, więc i on zadość uczynić musiał
słowu.

Przeciwna strona, czyli mający zostać zięciem
Hilberg, w tém szczęśliwém znajdował się po-
łożeniu, iż nie mógł nie spełnić warunków.
Przyczyna tego była bardzo prosta. Bursze za-
niechali zamiaru zrobienia kocięj muzyki, a za-
niechali na wyraźne i stanowcze żądanie bohate-
ra-męczennika Oswalda, który zaproponował
układy.

— Niech Donner przeprosi—taką była treść jego propozycyi, ogłoszonej na walnem zgromadzeniu burszenszaftu. Na przeprosinach zyska powaga burszenszaftu...

Kilbling sprzeciwiał się tej propozycyi, lecz napróżno. Po jego stronie znalazła się mniejszość, a do tej mniejszości należał i Hilberg, który przekonawszy się iż kocięj muzyki nie będzie, opuścił zgromadzenie i udał się do Donnera, gdzie wywołał scenę, przy końcu poprzedzającego opisaną rozdziału. Został zaręczony i za drzwi wypchnięty.

Wypchnięcie za drzwi nie popsukało mu humoru. Przeciwnie: wyszedłszy na ulicę głośno się roześmiał, a w śmiechu dzwoniło coś... coś... co z pewnością panna Fryderyka nazwałaby szatanizmem. Był to rzeczywiście szatanizm. Hilberg śmiał się z tego, że w nastawione przez siebie sidła złapał starego. Mówił sam do siebie:

— Niech się komedia gra do końca... Jeżeli się rozwiąże ślubem, to wygram wiele; jeżeli niczém, to nic nie stracę... Stary dał słowo: musi dotrzymać... Zyskałem podstawę, a to wiele...

Rzeczywiście, podstawa była. Na niej rozwi-

nęły się dalsze wypadki i to w następującym porządku.

Nazajutrz rano Hilberg zjawił się w sklepie w którym Donner sprzedawał futra i zapytał o pana.

— Jeszcze nie przyszedł—odpowiedział posługacz.

— Mam bardzo ważny interes...

— Natychmiast przyjdzie... niech pan chwilę poczeka...

Nie mogę czekać ani chwili... Proszę oznajmić panu, że przyszedł i czekam...

Posługacz się trochę wahał, lecz naglony przez młodego człowieka, poszedł na górę i za chwilę zjawił się w sklepie Donner.

— Cóż?.. było pierwsze jego pytanie.

— Wszystko dobrze...

— Kocięj muzyki nie będzie?..

— Nie będzie... pod warunkiem...

— Wiem—przerwał Donner.—Bądź spokojny... Dotrzymam... Co Donner przyrzekł, tego i bramy piekielne nie przemogą...

— Czy kto już był?—zapytał Hilberg, udając że nie rozumie, do czego słowa starego się ściągają.

— No... czy nie wiesz?.. Przecież sam przychodziłeś...

— Nie przychodziłem...

— Wczoraj...

— Wczoraj przychodziłem, ale nie dziś...

— Ja o dziś nie mówię... Postawiłeś mi wczoraj warunek... przyjąłem... dałem słowo... będziesz moim zięciem... i kwita...

— Nie o to chodzi...

— O cóż?...

— O kocią muzykę...

— *Saperment!*—zawołał stary.—To już zaczyna mnie niecierpliwić i gniewać!..

— Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy...

— Cóż przecie zrobiłeś?..

— Zobowiązałem się u pana wyjednać uroczyste przeproszenie burszensaftu...

Stary westchnął. Hilberg ciągnął dalej:

— Jest to warunek *sine qua non*... Chodzi tu głównie o Dalmana... W tym celu przyjsć ma do pana poselstwo, które zawiązać chce układy...

— Dalman... poselstwo... *saperment!*.. Co ja z tém wszystkiem mam robić?..

— Moja rada przyjąć poselstwo, ułożyć się

i przeprosić... Innego sposobu niema... Fryderyk Wielki także bywał w podobnych położeniach...

— Bywał... Masz racją... Cóż dalej?..

— Nic... wyjąwszy żebyś pan ani pisał że ja uprzedziłem...

— Przecież zobowiązałeś się wyjednać u mnie przeprosiny...

Ta uwaga trochę zmieszała Hilberga; lecz wiedząc z kim ma do czynienia, nie dał po sobie mieszania poznać i odpowiedział:

— Tak... to prawda... Lecz dla samego pana lepiej, jeżeli rzecz taki weźmie obrót, jakobyś działał z własnego natchnienia... Wszak i Fryderyk Wielki miał doradców, ale nie chwalił się nimi i dlatego został Wielkim...

Ten argument wywarł stanowczy wpływ. Donner nie miał co odpowiedzieć. Rozpytawszy więc o niektóre szczegóły, mające z formami przyjmowania poselstwa związek, pożegnał Hilberga i pospieszył na górę do kobiet, w celu oznajmienia im przybycia ambasady. Nic jednakże nie mówił o przeprosinach. Jego bowiem zdaniem, kobiety nie powinny były do

ważniejszych spraw się mieszać. Oznajmił więc im lakonicznie:

— Przygotujcie się na przyjęcie ambasady...

— Jakiej?.. zagadnęła Fryderyka Nr. 1.

— Ambasady, która przyjdzie do mnie,— odparł Donner z dumą.

— Jakieś nowe dzieciństwo...

— Proszę cię tylko, moja kochana żono, odzywaj się z szacunkiem o rzeczach których nie rozumiesz...

— A które mogłabym zrozumieć, gdybyś mi je chciał wytłumaczyć—rzekła z żalem pani Donner.

— O, mój Boże! gdybym miał wszystko tłumaczyć, to musiałbym chyba otworzyć nową katedrę...

— Są przecie przedmioty, które mąż żonie, ojciec matce, bez katedry mógłby wyłożyć...

— Naprzykład?..

— Te dziwne wczorajsze zaręczyny?.. Ta zagadkowa dzisiejsza ambasada...

— Ta ta ta... O zaręczynach niema co już gadać... O ambasadzie...

— Przepraszam... przerwała pani żywo.—

Właśnie o zaręczynach jest jeszcze dużo do gadania...

— Chcesz chyba mówić o weselu, o wyprawie...

— Bynajmniej... O zaręczynach... Dałeś słowo, którego dotrzymać nie sposób...

— He?.. A to dlaczego?..

— Dlatego, żeś nie zapytał Fryderyki...

— To nie racya...

— Żeś nie naradził się ze mną...

— To nie racya...

— Fryderyka przecie jest twojém dzieckiem...

— I to nie racya...

— Jako ojciec, powinienes dbać o szczęście córki...

— To nie racya!.. to nie racya!.. i jeszcze raz to nie racya! — zawołał Donner z niecierpliwością.— Dałem słowo... cofnąć się nie mogę...

— Ale pójdźże, popatrz na Fryderykę...

— No?..

— Płacze...

— To niech płacze... Właśnie dlatego nie chcę się na nią patrzeć...

— Ale ona go nie cierpi...

— Alboż ty myślisz że ja cierpię...

— Cóż więc znaczą te zaręczyny?..

— Te zaręczyny nakazał rozum stanu...rozumiesz?..

Tu stuknął się palcem w czoło.

— Będzie zięć, ale nie będzie kocięj muzyki...

— Wolałabym dziesięć kocich muzyk, niż jednego takiego zięcia...

— Czemużes tego nie mówiła wczoraj?.. Dziś już poniewczasie... Dziś potrzeba myśleć o przyjęciu ambasady...

I zażył tabaki, a stanąwszy na środku pokoju, zamyslił się.

Pani Donner coś jeszcze mówiła, lecz pan Donner nie słuchał. Umysł jego całkowicie zabsorbowała myśl o akcie jaki się miał odbyć. Żona gadała, on myślał, pomagając sobie od czasu do czasu tabaką.

Nie było tam stenografa, żeby spisywał wszystko, przeto nie jestem w stanie od słowa do słowa powtórzyć to co pani Donner przez kwadrans nagadała.

Wiedzieć należy, że była to kobieta nie burz-

liwego temperamentu. Nie należała jednakże do rodzaju tych aniołów, co to pozwalają kofki sobie na głowie ciosać. Więc—gadała.

Donner wszakże był głuchym. Pograżony w głębokiej zadumie, obracał się na jedném miejscu, coś mruczał pod nosem i palcem ukazywał, i oczy przymrużał, i głowę to na prawo to na lewo pochylał. Takie ruchy palcami, głową i oczami robi ten, co na daném miejscu układa plan, naprzykład ogrodu. Rozpatruje przestrzeń i układa sobie: tu będzie kiosk, tak pójdą ulice, tu założę murawę, tam zasadzę drzewa i t. d. Taktież i on w pokoju coś niby rozstawiał. I rzeczywiście rozstawiał; bo w odpowiedzi na kwadransową żony gadaninę, pociągnął w nos potężny niuch tabaki, strzepnął palce i w następujące przemówił słowa:

— Każę przynieść zielony fotel z kontuaru i postawię go pod portretem Fryderyka Wielkiego. Przed fotelem w półkole krzesła. Na fotelu siądę ja sam, na krzesłach zasiądą posłowie. Z przed portretu przeto trzeba usunąć stolik... Pod fotel przydałoby się jakieś podwyższenie, ale kiedy go niema, to można się obejść. Za to każę podesłać perski kobierzec,

co wisi nad łóżkiem mojej żony, i pod nogi skórę niedźwiedzia...

— Ja, matka—mówiła pani Donner—nie pozwolę na to, ażeby jakiś Hilberg wziął naszą Fryderykę... Nie pozwolę!.. bo ja matka... bo mnie szczęście mego dziecka obchodzi... bo ja za mojej córki los odpowiedzialną jestem przed światem i Bogiem!..

— Wiész—odrzekł jój uradowany Donner... Doskonała przysłała mi do głowy myśl... Niedźwiedzia skóra pod nogami... kobierzec z nad twojego łóżka pod fotelem...

— Na to nie pozwolę—ciągnęła pani Donner.

— Ja ciebie o pozwolenie nie będę się pytał...

— Ja matka...

— Ja ojciec...

— Ja mam prawo nie pozwolić...

— Ja mam prawo wziąć...

— Nie pozwolę!..

— Wezmę!..

— Zobaczymy!..

— Zobaczymy!..

Pani była zapęrzona, pan rozgniewany. Pier-

wsza, po wymówieniu ostatniego wyrazu, uderzyła w płacz. Drugi mówił:

— Niedość że sam muszę o wszystkiem myśleć, że od myślenia głowa mi pęka, jeszcze gdy co wymyślę, we własnej żonie znajduję przeszkodę...

— Och! ja nieszczęśliwa! — zawołała pani Donner.

— Och! ja nieszczęśliwy — zawtórował jej mąż. Ale położyć muszę temu koniec!.. Tak być nie może!.. Jako! żeby nademną kobieta przewodziła!..

Ta myśl oburzyła go. Wybiegł z pokoju i po chwili powrócił, wlokąc za sobą kobierzec. Wciągnął kobierzec, a z nim razem tuman kurzawy.

Na ten widok pani Donner oniemiała.

— Widzisz!.. o!.. zrobiłem co mi się podobalo... Cóż ty mi zrobisz?..

I ciągnął kobierzec pod portret. Odsunął z hałasem stolik i począł urządzać siedzenie dla siebie i spodziewanego poselstwa, powtarzając co chwila:

— A co!.. A widzisz!..

Pani milczała—on urządzał. Robił to z wiel-

kim zapalem. Wezwawszy do pomocy posługaczy, rozesłał kobierzec, ustawił zielony fotel, podesłał niedźwiedzią skórę i otoczył ją w półkole krzesłami. Gdy skończył, zadowolenie własnym dziełem wytrąciło mu z pamięci sprzeczkę z żoną.

— A co!.. rzekł uradowany, odstępując do proga i przypatrując się z daleka.—Prawda że dobrze...

— Cóż to wszystko ma znaczyć?—zagadnęła pani.

— To ma znaczyć, że na fotelu zasiądę ja, a na krzesłach posłowie, i będzie to miało miłą audyencyi...

— Posłowie?.. audyencya?.. Nic nie rozumiem...

— Że nie rozumiesz, nie ja temu winien... chociaż to nie jest rzecz do zrozumienia trudna... Oto widzisz.

I usiadł na fotelu i po królewsku spojrział na żonę.

— No?.. a teraz, czy jeszcze nie rozumiesz?..

— Nie...

— A, to chyba nie chcesz rozumieć... W ta-

kim razie niema rady... Nie chcesz rozumiéć, to trzeba żebyś była posłuszną...

Pani Donner ramionami wzruszyła.

— Przywołaj Fryderykę, przyjdź z nią sama i zasiądźcie na kanapie, ażebyście były świadkami... Rozumiesz?..

— Świadkami?.. czego?..

— Audyencyi...

— Nie rozumiem...

— No, to zrozumiesz, gdy własnymi oczami zobaczysz i własnymi uszami usłyszysz!—zawołał gniewnie Donner.—Nie mam o czém długo z tobą rozprawiać... Przywołaj Fryderykę i przyjdź sama... Oto wasze miejsca—dodał ukazując palcem na kanapę.—Tam na fotelu będą siedział ja, na krzesłach posłowie, a na kanapie wy...

Po chwilce milczenia, rzekł tonem gorzkiego wyrzutu:

— O wszystkiém sam muszę myśleć... wszystko sam muszę urządzać... wszystko na mojej głowie... Na cóż czekasz?.. Idź po Fryderykę...

— Ona płacze...

— *Donnerwetter!* — krzyknął Donner. — Niech nie płacze!..

Krzyknięcie było tak silne i z tak rozkazującym wygłoszone akcentem, że pani, nie rzekłszy ani słowa, wyszła w celu spełnienia rozkazu. Wyszła i udała się do pokoiku córki, która od wczorajszych zaręczyn uległa szczególniejszemu rozdrażnieniu.

I niedziw. Na biedną dziewczynę tyle i takich spadło niespodzianek. Jedną niespodzianką było to, że się zakochała; drugą, że kochanek wy dostał się przez okno, a nim się wy dostał, był przy niej, w jej pokoiku; trzecią, że została zaręczoną. W kim innym się kochała, kto inny posiadał przyrzeczenie jej ręki. Gdyby pomiędzy dwoma temi zdarzeniami upłynęło było trochę czasu, to jeszcze. Ale jedno po drugim nastąpiło piorunowym sposobem. Zaledwie spadła miłość, natychmiast nastąpiły zaręczyny. Przed panną Fryderyką stanął kochanek i obok niego narzeczony. Dziewczyna nie mogła się opamiętać, nie mogła się rozpoznać w chaosie, jaki się raptem w jej myślach wytworzył. Migwały przed nią dwie postacie: jedna opromieniona nimbem miłości, druga wykoszlawiona nienawiścią, — jedna piękna, jasna, biała, druga straszna. Dwie te postacie stały naprzeciw siebie, a ona pomiędzy niemi. Jedna ciągnę-

ła ją w jedną stronę, druga w drugą stronę. Ona nie wiedziała co począć. co myśleć, ani nawet czego chcieć. Płakała—sama nie wiedziała czego: czy za Oswaldem? czy nad sobą? czy z żalu? czy z gniewu?

W takim nastrojeniu zeszła ją matka i oznajmiła, iż ma asystować jakiejś audyencyi.

— Cóż to będzie?.. zapytała przez łzy.

— Alboż ja wiem... Ojciec jakimś posłom daje jakąś audyencyą...

— To nie co innego być może, tylko poselstwo od Hilberga, który chce zaręczynom nadać więcej uroczystości i doniosłości...

Domysł ten uderzył panią Donner i nasunął jej jasną do głowy myśl...

— To być może—rzekła.—Jeżeli tak jest, to oświadczę wyraźnie, że i ty nie chcesz, i ja nie chcę Hilberga...

— Ach! moja matko!..

— Moje dziecko!..

Panna Fryderyka objęła matkę w pół, ukryła twarz na jej piersiach i po rękach ją całowała.

Matka z córką poczęły się naradzać. Skut-

kiem téj narady było to, że panna Fryderyka obtarła łzy i rozweseliła oblicze.

W sam czas to uczyniła, albowiem przez uchylone drzwi zagrzmiął rozkazująco głos ojca:

— Idźcie na wasze miejsca!.. Już przyszli...

Pani Fryderyka i panna Fryderyka udały się do bawialnego pokoju. Nie zastały jeszcze nikogo; lecz zaledwie zasiadły na wyznaczonych miejscach, na schodach dało się słyszeć stąpanie kilku ludzi, drzwi się otwarły i wszedł najprzód Donner, a za nim, jeden za drugim, burse. Było ich siedmiu. Na czele postępował Kilbling, za Kilblingiem pięciu, nieznanym nam z imienia ni nazwiska, na ostatku Oswald.

Wejście było uroczyste. Donner kroczył poważnie ku fotelowi, usiadł i skinieniem ręki zaprosił młodych ludzi do zajęcia przygotowanych dla nich krzeseł i gdy wszyscy zasiedli, wyciągnął prawicę, a ukazując na kanapę, rzekł:

— Oto moja żona, pani Fryderyka Donner i moja córka, panna Fryderyka Donner...

A odwracając się i ukazując na portret:

— A oto Fryderyk Wielki, król pruski, patrzy na nas z obłoków...

— Zupełnie jak Odin w skandynawskich sagach... To mi się bardzo podoba — odrzekł Kilbling — a podobałoby się jeszcze bardziej, gdyby na miejscu Fryderyka Wielkiego był rzeczywiście Odin, na ośmionóżnym koniu, z dwoma krukami na ramionach...

— Ja zaś wolę Fryderyka Wielkiego — odparł Donner — Odin jest postacią bajeczną...

— Niby to Fryderyk Wielki nie jest także postacią bajeczną — podchwycił Kilbling.

Donner szeroko oczy otworzył.

— Bo na czem bajeczność zależy?.. Na wymysłach, któremi pewną postać otaczają... Owóż Fryderyk Wielki otoczył się sam wymysłami... Wymyślił system zaokrąglenia, w skutek którego Prussy przybrały postać ptaka ze skurczoną szyją, związanymi nogami i wyskubanym ogonem... Wymyślił anti-Machiawela i ukoronowaną filozofią... Wymyślił fałszywą monetę... A ludzie wymyślili dla niego tytuł: Wielki... Nie jestże to bajka?..

— Panie! — zawołał Donner.

— Pan przeto — ciągnął Kilbling — siebie i swoją rodzinę oddałeś pod patronat bajki... Trzebaż było ciągnąć trochę wyżej i wy-

brać sobie na patrona domu kogoś większego niż Fryderyk Wielki... kogoś otoczonego piękniejszymi wymysłami... Na miejscu pańskim byłbym wybrał Odina, który walczył, śpiewał i kochał: walczył mężniej niż Fryderyk Wielki, śpiewał lepiej...

— Przepraszam! — podchwycił Donner z niecierpliwością, kręcąc się na zielonym fotelu i zażywając zapalczywie tabakę — jeżeli śpiewał, to nie lepiej, bo jego pieśni nikt nie zna...

— Rozpląnęły się w obłokach, uciekły z ziemi do nieba, nie tak jak pieśni pańskiego patrona, które pozostały na bibule... Gdybyś pan odwołał się był do Odina, bylibyśmy ze skruchą wzniesli oczy do góry, szukając na pańskim suficie obłoków, a w nich pałacu Walhalli, a w tym pałacu kryształowego tronu, zajętego przez Odina i piękną Fryggę...

— Panie—przerwał Donner proszącym głosem — zmieńmy przedmiot rozmowy... Ja szanuję pańskiego Odina, szanujże pan mego Fryderyka...

— O, jeżeli o to chodzi, gotów jestem go szanować, jeżeli pan przeprosisz uroczyście tego młodzieńca — tu ukazał ręką na Oswal-

da—którego trzymałeś w więzieniu i cały burszenszaft, przez nas siedmiu reprezentowany... Gotów pan jesteś to uczynić?..

— Jestem gotów — odparł Donner.

— Odpowiadajże mi na następujące pytania: Czy przepraszasz Oswalda Dalmana?..

— Przepraszam...

— Czy przepraszasz burszenszaft?..

— Przepraszam...

— Czy żałujesz, żeś sobie nie dał ufarbować na czarno oblicza?..

Donner się zająknął.

— Czy żałujesz, żeś nie dał ufarbować sobie na czarno oblicza? — powtórzył Kilbling.

— Jakże mam na to odpowiedzieć...

— Odpowiedz, jak ci sumienie dyktuje... Pamiętaj, że Fryderyk Wielki patrzy na ciebie, jak powiadasz, z obłoków... Jeżeli przeto powiesz prawdę, gotów się zawstydzić... Więc pomyśl... Daję ci, panie Donner, pół-godziny czasu...

To powiedziawszy, wstał, a za nim całe poselstwo. Zwrócił się do pań — bursze go naśladowali.

Niemożliwem jest opisanie panny Frydery-

ki, gdy w gronie „jakiegoś poselstwa“, mającego od jej ojca otrzymać „jakąś audyencyą“, ujrzała Oswalda. Przysunęła się do matki i szepnęła:

— Matko, to on...

— Kto on?..

To proste zapytanie zmieszało ją i przestraszyło. Przypomniała sobie, że matka o niczem nie wie. Odsunęła się więc i zamilkła—i cała zmieniła się we wzrok i słuch. Patrzyła i słuchała. W oczach jej migotało, w uszach bębniło, że nic słyszeć ani widzieć nie mogła.

Oswald, umyślnie czy przypadkiem, ulokował się w taki sposób, że siedział wprost naprzeciwko panny Fryderyki. Dla niego cały ceremoniał przeprosin o tyle tylko miał wartości, o ile go zbliżał do kochanki. Z tego powodu nie spuszczał z niej oka — i gdyby panna Fryderyka nie była tak zmieszana, to w oczach jego mogłaby coś wyczytać. Oczy jego bowiem pełne były jakichś hieroglificznych znaków, pełne wyrazu i wyrazów, do wyczytania i zrozumienia których panna Fryderyka posiadała klucz, lecz na nieszczęście w tej chwili go zgubiła. On więc patrzył i patrze-

niem mówił; ona patrzyła i mowy jego nie rozumiała. Powoli jednakże poczęła się uspokajać i do siebie przychodzić. I zupełnie już była spokojną, gdy Kilbling jęj i pani Donner, z szarmanckimi ruchami, prezentował siebie i kolegów. Prezentowanie następującemi zakończyło się wyrazami:

— A oto mam zaszczyt rekomendować paniom człowieka, którego zapewne panie znają.

— Nie mam honoru — odpowiedziała pani. Panna pokraśniała jak wiśnia.

— Jest to niedawny jeniec męża pani... pan Oswald Dalman.

— Ubolewam z całej duszy nad przykrością, jakiej pan w naszym domu doznałeś...

— Była to przykrość, ale już przeminęła — odparł Oswald.

— Chciałabym ją państwu wynagrodzić wszelkim możliwym sposobem...

— Sama już pani chęć jest dla mnie wynagrodzeniem...

— Lecz ja nie chcę na chęci poprzestać... Bardzobym panu była wdzięczną, gdybyś mi podał sposobność zamienienia jęj w czyn...

Oswald uśmiechnął się i ramionami ścisnął.

— Proszę pana — dodała pani Donner uprzejmie. — Niech pan powie, co może panu zrobić przyjemność?..

— Trudne mi pani stawia pytanie... Nie umiem na nie odpowiedzieć... Musiałbym się chyba namyślić...

— Proszę się namyślić... Proszę nas odwiedzać jaknajczęściej... Niech pan dom nasz uważa jak swój... Będzie na pana każdej chwili gościnne czekało przyjęcie...

— O... podchwycił Oswald. — Gdybym się jaknajdłużej namyślał, to nie mógłbym nic przyjemniejszego wymyślić nad to, co mi pani w tej chwili ofiarowała... Przyjmuję zaprosiny pani z całą wdzięcznością i innego wynagrodzenia nie żądam...

W tej chwili gromkim głosem odezwał się Donner:

— Żałuję...

— Do porządku! — zawołał Kilbling. — Kończmy sprawę poselską...

Przywrócenie porządku, to jest powrót posłów na miejsca które przed chwilą zajmowali, sprawił chwilowe zamieszanie, z którego zkorzystał Oswald. Zbliżył się do panny Fryde-

ryki i rękę ku niej wyciągnął. Nikt tego ruchu nie widział, nikt przeto nie dostrzegł, że ręka Oswalda spotkała się z rączką panny Fryderyki i ta ostatnia ścisnęła się w garść. Rumieniec powtórnie na lica panienki wyskoczył.

— Więc się pan namyśliłeś? — zapytał Kilbling, gdy bursze miejsca zajęli.

— Namyśliłem się...

— Przyznać potrzeba, żeś nie potrzebował dużo czasu... Pół godziny jeszcze nie upłynęło...

— O! ja myślę szybko...

— Winszuję panu... Więc tedy żałujesz pan, żeś nie dał ufarbować sobie na czarno oblicza?..

— Żałuję...

— Szczerze?..

— Szczerze...

— Oświadczam przeto panu, że burszenszaft zupełną ma satysfakcyą i zwalnia pana od kary, na jaką zasłużyłeś... Spij spokojnie, jedz dobrze, traw jeszcze lepiej, uwielbiaj Fryderyka Wielkiego i bądź zdrów...

To rzekłszy, ukłonił się i wyszedł. Za nim wyniosło się poselstwo. Oswald, wychodząc,

pożegnał skinieniem głowy panią, na pannę okiem rzucił. Panna wybiegła, uciekła do swego pokoiku, zatrzasnęła drzwi za sobą i rozwarła garść.

W garści był maleńki, kwadratowy, w kilkanaścioro złożony papier.

Rozwinęła papier. Z malutkiego kwadracika zrobiła się duża ćwiartka, zapisana drobnym charakterem na obie strony, od góry do dołu. Na jednej stronie u góry stały wyrazy: „Moja najdroższa“; na drugiej u dołu trzy razy powtórzone „kocham“ i wyraźny podpis: „Twój do grobu i za grobem Oswald.“

XIII.

Panna Fryderyka długo trzymała list w ręku i nie mogła go przeczytać. Nie nie śmiała lub nie chciała, ale wyraźnie, nie mogła. Serce jej biło gwałtownie. Rozpoczynała czytanie co chwila i co chwila gubiła wyrazy. Wiersze jej z przed oczu znikały, albo też mieszały się w jedną szarą plamę, rozlaną na papierze. Prawda, że pismo było bardzo drobne i wiersz do wiersza tak przyszlusowany, że wzrok normalny dla odczytania musiałby się uciec do pomocy lupy. Panna Fryderyka posiadała wzrok lepszy niż normalny. Do odczytania tego pisma lupy nie potrzebowała; jednakże czytać nie mogła—ze wzruszenia.

— On pisze... on... powtarzała sobie w duchu... To jego pismo... On mnie kocha... A ja nie jego narzeczona...

Ta myśl, że jest narzeczoną Hilberga, sprawiała iż odczytanie Oswaldowego listu wyda-

wało się jej świętokradztwem. Na cóż go przyjęła? — Byłby upadł na podłogę; byłby go podjął ojciec; byłby ją zawstydził w obec ludzi; byłby — może — zabronił Oswaldowi wstępu do domu, wstępu który mu ofiarowała matka, a na który on w tak miły zgodził się sposób. Nie przyjmąc przeto — nie mogła; przyjmawszy zaś, nie odczytać — także nie mogła.

Po długim wahaniu się, list został nakoniec odczytany raz i drugi i trzeci i czwarty, — odczytany w całości i w ustępach, z początku do końca i od końca do początku, z blizka i z daleka.

Czytelnicy dokładnie są oznajomieni z tego rodzaju utworami; nie będą więc przepisywał listu Oswalda. Zrobię z niego tylko jeden króciutki wyjątek.

— „Bądź spokojną, mój aniele, nikt nie wie i nikt wiedzieć nie będzie o sposobie w jaki wyostałem się z więzienia.“

Ustęp ten dla zboląłego serca panny Fryderyki stał się balsamem pociechy. Przedstawiał on oraz Oswalda jako doskonałość, odgadującą jej potrzeby i uspakajającą obawy.

— Jakież on dobry!.. pomyślała, z tym dodatkiem:

— Jakże go nie kochać!..

W długim liście, Oswald nie żądał od niej niczego: ani *rendez-vous*, ani nawet odpowiedzi. Był to hymn miłości, prozą wyśpiewany, który, niby najcudniejsza poezya, przeniknął do głębi dziewczęcego serca, napoił je niewysłowioną rozkoszą i brzmiał w niem muzyką anielskich chórów.

— Kocha... Kocham... oto dwa wyrazy, albo raczej dwie jednego wyrazu odmiany, które, jako ogólna konkluzya, z listu wypłynęły. Powtarzała je, powtarzała i powtarzała, nasyciała się niemi i dość nasycić nie mogła.

Pamiętać jednakże należy, że panna Fryderyka była kupcówną, mieszczką, a przytém Niemką, to jest sentymentalną i praktyczną, poetyczną i prozaiczną, uzdolnioną do kochania zarazem jak niebianka i jak kucharka. Czytelnicy widzieli to już po owych kurczętach i chlebie z masłem, które ona Oswaldowi do więzienia nosiła.

Owóz te same pobudki, które ją natchnęły do noszenia kurcząt i chleba z masłem, natchnęły ją także do zstąpienia z nieba na ziemię i zastanowienia się nad sobą. Usiadła na kanapie, oparła głowę na rękę i zamyśliła się.

I nie wymyśliła nic ciekawego ani oryginalnego, tylko postanowiła, przy zdarzonej okazji, poskarżyć się Oswaldowi na zaręczyny.

Bardzo ją ucieszyło, że Oswald będzie przychodził. Uważała to za zrządzenie Opatrzności i zaczęła od Opatrzności spodziewać się pomocy, posuwając nadzieję aż tak daleko, iż była prawie pewną, że Hilberg pójdzie z kwitkiem, a Oswald zostanie jej mężem.

Ciekawa rzecz, jak ta sama kwestya przedstawiała się Oswaldowi.

Oswald, nie był to młodzieniec noszący w piersi uczucie dziewicze, zdolne tworzyć ideały, wcielać je i wcielone kochać, gubiąc z oczu wszelkie tych wcieleń ułomności, wady i niedostatki. O wieczności uczucia nie myślał, pomimo że w liście miłość wieczną poprzysięgał. Może on pod wyrazem „wieczną“ rozumiał chwilkę. W poetycznych przenośniach praktykują się tego rodzaju podstawienia. „Czémże jest wieczność?— Jedną chwilką.“

Dla tej chwilki wybrał się nasz Oswald, długo nie czekając, z wizytą do państwa Donner, u których tymczasem zaszły pewne zmiany w usposobieniach. Stary Donner, ulegając wy-

mowie żony i łzom córki, dał się przekonać że głupstwo zrobił. Lecz dał słowo, a słowo u niego znaczyło wszystko. Jednakże nie byłby od tego, gdyby, pomimo jego wiedzy i woli, to słowo samo przez się, niechcący się złamało. Najbardziej to go obchodziło, że się Hilberg gotów mścić.

— Jakim sposobem? — zapytała go żona.

— Naprowadzi mi kocia muzykę...

— Tego się nie lękaj... Zaprosiłam Dalmana... Gdy przyjdzie, przyjmiemy go grzecznie, ugościmy i będziemy w nim mieli obronę od kocięj muzyki...

— Zaprosiłaś? — zawołał.

— Zaprosiłam...

— Cóż on na to?..

— Obiecał że przyjdzie...

— Wybornie!.. Wiiesz, że jesteś bardzo rozumną kobietą... Ale Fryderyka musi iść za Hilberga... Niema rady... Dałem słowo...

Westchnął.

— Tylko z tém niema co się spieszyć...

— No, ja nie mówię żeby się spieszyć—odrzekł Donner.

— Fryderyka jeszcze młoda...

- Młoda...
- Hilberg może poczekać...
- Niech czeka... Nie dałem mu słowa że czekać nie będzie...

Takie usposobienie było dla Oswalda arcy-pomyślnem. Gdy wizytę powtórzył, uprzejmość była jeszcze większą, a taką miała minę, jakby jego obecność uszczęśliwiała członków rodziny, wszystkich razem i każdego z osobna. I tak też było rzeczywiście. Stary widział w nim rękojmię przeciwko nieprzyjaznym zamachom burszensaftu; pani widziała w nim gwarancją przeciwko danemu słowu; panna widziała w nim — zbawienie, szczęście, raj, napełniony wszystkimi cudami, jakie zawierają w sobie niemiecka poezya i niemiecka kuchnia. Marzyła o harmonii dwóch harf jednakowo nastrojonych, uczyła się robienia nowych strudli i ufała Opatrzności, która jęj zrazu raz na tydzień, następnie co trzeci dzień, następnie co drugi, w końcu codziennie Oswalda sprowadzała. Opatrzność nie poprzestała na tém. Dogadzając swojej pupilce, ulokowała Oswalda pod jednym z panną Fryderyką dachem.

Stało się to całkiem naturalnie. Młody człowiek, serdecznie przyjmowany, goszczony i zapraszany, stał się prawie domownikiem. Więc tylko usunięciem zostało „prawie“, do czego powód dała profesorowa Paragrafowa swojemi knedlami. Oswald wymówił się, że mu się knedle sprzykrzyły. Pannie Fryderyce łyzy na to w oczach stanęły, a pani Donner podchwyciła:

— Gdybyś pan zechciał przyjąć mieszkanie u nas...

— Subjekcyja — bąknął Oswald.

— Najmniejszej — odrzekła pospiesznie panna Fryderyka. — Wszak prawda, ojczy?..

Pan Donner kiwnął twierdząco głową i tabaki zażył. Panna Fryderyka mówiła dalej:

— Ten pokoik na dole... Nikt w nim nie mieszka...

Pani dodała:

— Można go wyczyścić, wyporządzić... Obowiązuję się nigdy pana knedlami nie karmić...

Mysł panny Fryderyki pomknęła jak ptaszek, nie z gałązki na gałązkę, ale z półmiska na półmisek, marząc o przysmakach, jakie Os-

wald otrzyma na śniadania, na obiady, na podwieczorki i na wieczerze; a kiedy ona marzyła, pani załatwiła sprawę. W kilka dni po tej rozmowie Oswald się sprowadził do pokoiku, który tak był podobnym do jego stancyi u profesora, jak niebo do ziemi. I niedziw, urządziła go bowiem nie ręka pięćdziesiąt z górą letniej profesorowej, lecz rączka rozkochanej dziewczyny. Panna Fryderyka osobiście dopilnowała oczyszczenia i sama ustawiła sprzęty i meble — mahoniowe łóżko wysoko piernatami wysłane, mahoniowe biurko, dwa miękkie fotele, cztery krzesła, stolik pośrodku, kanapkę, komodę, półkę na książki, umywalnię ze zwierciadłem; własną ręką nad łóżkiem rozpięła kotarę, a przed łóżkiem rozesała skórę niedźwiedzia, tę samą która służyła do przyjmowania poselstwa. W tym pokoiku niczego nie brakło, bo nawet mydło, gąbkę i flaszkę wody kolońskiej z własnej gotowni przeniósła na Oswaldową. Oswald pod szczęśliwą urodził się gwiazdą. Pokoik wyglądał, jak owe pudełeczka do przechowywania klejnotów, wyklejane międko, głaciutko i elegancko. Pokoik wszakże był najmniejszą z wygod jakimi został otoczony—wygód wyszukanych, wy-

myślnych, rozpieszczających, dogadzających
wszystkim naraz pięciu zmysłom.

Szczęśliwy Oswald!

A dodatkiem do całego tego szczęścia była
śliczna, młoda dziewczynka, czytająca w jego
oczach ze zmyślnością, cechującą... zakochane
dziewczeta.

Ten dodatek nie był właściwie dodatkiem,
ale treścią, istotą. Do pewnego jednakże czasu
musiał Oswald uważać go jako dodatek, to jest
przestawać na przypatrywaniu się paannie zda-
leka. Los bowiem, ten stary kochanków wróg,
chciał że nigdy nie mógł z nią być sam na sam.
Wszelkie w tym celu zabiegi nie zdały się na
nic. Daremnemi były czatowania na schodach
i przejściach. Zdaje się że panna Fryderyka
sama unikała spotkania, które sprowadziła tyl-
ko raz, raz jeden i to na pięć minut.

Cóż rozkochanym po pięciu minutach!

Powiedziała tylko:

— Kocham...

Oswald odpowiedział:

— Kocham...

Ujął ją za rękę i w oczy jej zajrzał.

Ona rękę wysunęła, oczy spuściła, zasłania-

jąc je, niby firanką, długi cień na jagody rzucającymi rzesami. I szepnęła:

— Ja nieszczęśliwa...

I westchnęła.

— Ja ci świat pod nogi podścielę!—zawołał Oswald dobitnie.—Chciej, a będziesz szczęśliwą!.. będziesz królową!..

Na te poetyczne przenośnie, panna Fryderyka się uśmiechnęła i odrzekła:

— Jestem narzeczoną Hilberga...

— Co słyszę!..

— Niestety!..

— I cóż?..

— Ojciec dał słowo... Nie chce złamać...

— A ty?..

— Ja... kocham ciebie...

Pięć minut upłynęło. Rozmowa się urwała. Przerwała ją pani Donner. Weszła i oznajmiła o balu publicznym.

Oznajmienie to przyszło w sam czas i wyprowadziło Oswalda z ambarasu. Gdyby bowiem była weszła i nic nie powiedziała, Oswaldowi nic innego nie pozostawało, tylko oświadczyć się o rękę panny Fryderyki,—oświadczyć

się, to znaczy zerwać romans w samym zarodku. Wyraz „bal“ wszystko naprawił.

— Bal?.. zapytał z udanem zdziwieniem.

— Reduta—odpowiedziała pani Donner.

— Ach! wszak to karnawał!..

— Mamy zwyczaj raz w czasie karnawału iść na redutę...

— Chwalebny zwyczaj...

— Spodziewam się, że pan będziesz nam towarzyszył...

— Jeżeli tylko panie pozwolą, z największą chęcią.

I potoczyła się rozmowa o balu, który miał mieć miejsce w tłusty poniedziałek, to jest za dni cztery. Oswald się wysilał na utrzymanie tej rozmowy jaknajdłużej, w celu odwrócenia fatalnej ostateczności oświadczenia się, nie chcąc brać na siebie zobowiązania, nad którym jeszcze nie myślał. Zresztą, możeby się i oświadczył, był bowiem w wieku wielce do podobnych ostateczności pochopnym, gdyby nie niespodziana wiadomość o zaręczynach, która ukazała ponętą perspektywę romansu z przeszkodami. Na pierwszym planie stanął przed nim pojedynek, za którym długim szeregiem pociągnęły się róż-

ne awantury, zachwycające dla człowieka niemającego jeszcze dwudziestu pięciu lat skończonych. Oswald wolał zostać bohaterem romansu, niż prostym i porządnym narzeczonym. Nie wątpił, że odsadziłby Hilberga, byle się tylko ojcu i matce o rękę ich córki oświadczył. Lecz to byłoby zanadto pospolicie, a on pospolitości unikał.

Myślał przeto o rozpoczęciu kampanii przeciwko Hilbergowi, a tymczasem wybierał się na bal.

Sam ów bal przedstawiał się mu jako wyborny do kampanii prolog, témbardziej, że miał na nim być i Hilberg, który ze swojej strony także o kampanii myślał. Przeciwnicy gotowali się do zapasów.

Hilbergowi nie mogło nie wpaść w oczy przyjęcie, jakiego Dalman w domu Donnerów doznawał; nie mógł nie dostrzedz porozumienia, jakie pomiędzy Oswaldem a panną Fryderyką istniało; nie mógł nie domyślać się, że porozumienie owo idzie bardzo daleko, dalej niż w rzeczywistości; nie mógł przypuszczać, ażeby cała rzecz zawarła się w pięciominutowej rozmowie: był więc rozdrażniony, zirytowany; lecz

wszystko to tłumił w sobie i z ułożonym uśmiechem zapytywał niekiedy przyszłego teścia, jak stoją rzeczy z danem słowem. Odpowiedź zawsze była zadowolająca. Donner się odgrażał, że słowa dotrzyma:

— Bo słowo, to grunt—twierdził.—Rzetelność przedewszystkiem.

— Będiesz na reducie?—zagadnął go na parę dni przed balem.—Idziemy z całym domem...

Hilberg zawahał się z odpowiedzią.

— I Dalman idzie... Trzeba żebyś i ty poszedł; wszak jesteś narzeczonym Fryderyki... Wypada nawet ażebyś poszedł razem z nami...

W oznaczonym więc dniu, o godzinie ósmej wieczorem, stawił się Hilberg i znalazł się włączonym w grono, w którym znajdował się już jego przeciwnik.

Karnawał wypadwał w lutym. W Dorpacie luty jest jeszcze zimowym miesiącem—zimowym nie z nazwy tylko, ale w najrzeczywistszej rzeczywistości, wspartej wszystkiemi zimy przykrościami—śniegiem po kolana, mrozami i zawieruchami.

W dniu balu mróz nad wieczorem zwolniał,

śnieg padał i lekki wiaterek przeciągał ulicami. Znający się na tych rzeczach domyślają się co to było. Ten lekki wiaterek, w połączeniu z padającym śniegiem, w mieście, pomiędzy domami, był bardzo niewinny, tylko trochę złośliwy: —zalepiał oczy i nie dozwalał o trzy kroki widzieć. Lecz w polu... Ale, co tam — pole!.. Wszak rzecz dzieje się w Dorpacie, o paręset kroków od sali reutowej, położonej za skretem w prostopadłą do Donnera domu ulicę. Donner i jego pani i syn i córka, Hilberg i Oswald—każdy z osobna, z zawiązanymi trafiliby oczami. Zbłądzić nie sposób. Pójść prosto, a potem skrócić w pierwszą ulicę na prawo i zatrzymać się przed krużgankiem, przyozdobionym w festony światła:—oto cała marszruta.

Przed domem Donnera czekało troje sanek lekkich, lotnych, zaprzężonych parą koni, z których jeden pomiędzy dwoma dyszlami wyrывa kłusem, drugi długo na orczyku spuszczone, z wygiętym na bok karkiem, pędzi cwałem. Do takich sanek nie może wiaść osób więcej nad dwie, nie licząc w to woźnicy. Czekały one na rodzinę Donnera. Było ich troje, bo osób było sześć.

Obaj panowie Donnerowie, pani, panna, Hilberg i Oswald zgromadzili się w znajomym nam bawialnym saloniku, wszyscy w balowych strojach—panie w lekkich sukniach, białych rękawiczkach i atlasowych trzewikach, panowie we frakach.

Panna Fryderyka była prześlicznie ubrana. Na różowym atlasie biały tiul *illusion*, popodpinany na wysokości kolan bukiecikami róż w pączku, owiewał ją niby przejrzystym obłokiem. Czarny pasek ujmował jej kibić w obrączkę, objętości dwóch piędzi. Nad paskiem korona, otaczająca gors i zsuwająca się ze śnieżnych ramion. Szyję obwijał sznur pereł. Ręce pulchniutkie, a jakby wytoczone, doskonale odbijały od bursztynowych bransoletek. Na piersiach, nieco na lewo ku sercu, tkwiła róża. We włosach przewijały się kwiatki konwalii i ciężący głowie warkocz obwijały wianuszkiem z listków. Z pod spódniczki wyglądała mała nóżka, w białym trzewiczku i w jedwabnej przejrzystej pończoszcze.

Panna Fryderyka była zachwycająca. Ojciec i matka patrzyli na nią z uwielbieniem, dumni że ich córka będzie królową balu. Hilberg,

spoglądając na swoją przyszłą, wpadł w pewien rodzaj rozmarzenia. Oswald pożerał ją oczami. Nawet Fryderyk Nr. 2 uśmiechnął się do niej i mówił:

— Jakżeś się pięknie ubrała!..

To samo mówił i Oswald.

— Pani będziesz królową balu...

Matce serce rozpływało się dumą i radością. Panna Fryderyka jaśniała szczęściem, bo czuła się piękną, bo wiedziała że Oswald się nią zachwyca.

Towarzystwo, zapatrzywszy się na nią, zapomniało na chwilę o balu. Może to było zapomnienie umyślne, w celu popatrzenia się swobodnie na to cacko, które za chwilę utonie w tłumie. Zapomnienie to wszakże trwało niedługo. Pierwszy do upamiętania przyszedł Fryderyk Nr 1 i przypomniał, że przed domem czekają sanki.

— Czas już!.. jedźmy — odezwał się stary Donner.

Młodzi panowie poskoczyli pomagać damom. Oswald rozwinął narzutkę nad panną Fryderyką.

— Niech się pani okryje...

— Ach! nie trzeba... To tak niedaleko...

— Niedaleko, a możesz przeziębnać— rzekł stary poważnie i surowo.

— Nie przeziębnę, ojcze...

— Ubiérajno się ciepło...

— Pomnie mi się sukienka...

— Niech się tam pomnie... Mniejsza o to.. obok reductowej sali jest przecie garderoba...

Jeszcze prosiła, ale stary się uparł. Oswald zarzucił na jej śnieżne ramiona narzutkę lekkim podbitą futerkiem, głowę przykrył dużym kaszmiem, podał jej ramię i na nikogo nie czekając, poprowadził. Stary krzyknął za nim:

— Poczekaj pan!.. pierwój matka!..

Lecz on nie słyszał, czy słyszeć nie chciał. Porwał płaszcz i czapkę i zbiegł ze schodów na ulicę. Na ulicy pochwycił pannę Fryde-rykę w pól, podniósł do góry i do sanek wsadził. Sam usiadł obok, i zanim we drzwiach wschodowych ukazała się prowadzona pod ramię przez Hilberga matka, krzyknął na woźnicę:

— Ruszaj!..

— Stój!.. ho!.. poczekaj! — wołał pan Donner. — Matka z córką!..

Napróżno.

Sanki pomknęły i znikły w tumanie.

— A to waryat!..— rzekł gniewnie.— Ten Oswald dobry chłopiec, ale szalona sztuka...

— Zrobił rzecz taką, za którą się za drzwi wyrzuca... wtrącił Hilberg zimno.

— O!.. o!.. zawołał Donner.— Za drzwi się za to nie wyrzuca, tylko się daje napomnienie... Młody chłopiec... porwał pannę: w tem niema jeszcze nic nadzwyczajnego...

— Pannę, która jest cudzą narzeczoną: w tem jest to, że ojciec powinien za takie porwanie surowo córkę skarcić—odparł Hilberg drżącym od gniewu głosem.

— Tylko ty się nie gniewaj—odrzekł Donner.— Dałem ci słowo i dotrzymam...

Hilberg coś mruknął przez zęby i począł pomagać pani przy wsiadaniu do sanek.

Pani była spokojna.

— Oni się zatrzymają w przedsionku i będą na nas czekali — mówiła. — Fryderyka bezemnie nie wejdzie do balowej sali...

— Ale powinna była z tobą jechać—dodał Donner.— Już to ja i jej i temu młokosowi powiem dobrą nauzkę...

Wsiadł do sanek obok żony, Fryderyk Nr. 2 z Hilbergem do drugich i pojechali.

Niewielką była ich przejażdżka — zato wielkiem zdziwienie. W przedsionku nie znaleźli ani Oswalda, ani panny Fryderyki.

— Zapewne pan Oswald na sali, a Fryderyka w buduarze, — rzekła pani Donner i poszła we drzwi na prawo. Panowie pozostali. Po chwili jednakże wyszła zmieszana, z wyrazem na ustach:

— Niema...

— Niema?.. powtórzył Donner i szeroko oczy otworzył.

— Zapewne na sali, z panem Dalmanem — rzekł Hilberg ze złośliwym uśmiechem.

Państwo Donner spojrzeli po sobie. Pan oczami i brwiami zrobił gest taki, jakby powiedział:

— Doczekaliśmy się wstydu na stare lata...

Twarz pani wyrażała zmieszanie, połączone z przestraczeniem.

Rzeczywiście, wejście panny Fryderyki byłoby afrontem matce wyrządzonym — byłoby przytém więcej jeszcze niż afrontem, bo podeptaniem zwyczajów światowych, nader drażli-

wych w tej sferze, do której państwo Donner należeli. Magnatce uszłoby wystąpienie na posadzkach salonowych w towarzystwie młodego człowieka, bez matki i ojca. Dla kupcówny było to zbrodnią—grzechem przeciwko wszystkim naraz przykazaniom przepisanych dla płci pięknej. Grzech ten postawił państwa Donnerów w nadzwyczajnie trudnym położeniu. Nie wiedzieli co począć: iść czy nie iść?..

— No, i cóż? — pytał pan Donner.

Pani milczała. Zacisnęła usta i hamowała łzy, które gwałtem za powiekami wzbierały.

— Cóż? — nalegał Donner.

Pani wciąż milczała.

Mimo nich przechodzili znajomi i przyjaciele i witali ich. Oni się odwracali i przez otwierane co chwila drzwi puszczały wzrok po salonie, ażali nie dojrzą zbrodniarki. Hilberg stał obok nich, a na ustach wisiał mu uśmiech, który wyrażał zadowoloną złośliwość. Dla niego ten wypadek był pomyślnym. Tęm pewniéj liczyć mógł na dotrzymanie słowa, gdy jako powód do dotrzymania przybywała kompromitacya, którą chciałby był posunąć do ostateczności. W tym to celu, kiedy państwo

Donner nie wiedzieli co robić, wystąpił z następującą radą:

— Nie pozostaje nic innego, jak tylko żebyś pan wszedł do sali sam, wyprowadził pannę Fryderykę i powrócił z nią do domu... Dzisiejszy bal już nie dla nas...

— Ależ, jaką to będzie miało minę? — zawołał Donner głosem strwożonej rozpacz.

— Ojciec karcący dziecko zawsze ma dobrą minę, — rzekł Hilberg sentencyonalnie. — Zresztą, możesz pan powiedzieć głośno co się stało... Upoważniam pana do tego, jako narzeczony, który miałby dobry do zerwania pretekst, gdyby chciał z pretekstów korzystać...

Donner popatrzył na żonę, obciérając oczy i, znalazłszy w jej wzroku poparcie słów Hilberga, rezolutnie wszedł do salonu. Drzwi się za nim zawarły. Z bijącym mocno a niespokojnie sercem wlepiła w nie matka wzrok, przygotowując się do przyjęcia córki surowym obliczem.

Upłynęło kilka minut.

Donner z salonu wyszedł sam.

Na całej jego postaci malował się jeden wyraz:

— Niéma...

Ten wyraz był niby piorunem, spadającym na matkę.

— Niéma! — załamując ręce zawołała głosem tak donośnym, że zatrzymali się przechodnie, kilka osób wyszło z sali, zbiegła się służba balowa i około państwa Donnerów sformowało się kółko ciekawych, przypatrujących się, przysłuchujących i pytających:

— Co to się stało?.,

Młody Donner odpowiedział na zapytanie:

— Stała się awantura... Moja siostra, zaręczona panu Hilbergowi, znikła gdzieś z młodym człowiekiem, który się nazywa Oswald Dalman...

— Jak?.. kiedy? — dopytywali się ciekawi.

Młody Donner odpowiedział:

— Pojechała niby na bal i znikła... Niéma temu i dziesięciu minut...

Ludzie kiwali głowami i wyciągali szyje. Awantura była ciekawa, tém bardziej że rodzice znikniętej panny dawali z siebie niepospolite widowisko. Matka głośno łkała. Ojciec rwał sobie włosy. Z ust ich wydierały się okrzyki:

— Fryderyko!.. gdzie jesteś?..

Spektatorowie z sali wysypywali się w coraz to większej ilości. Pomiedzy nimi znalazł się i Kilbling, który dowiedziawszy się o co chodzi, podszedł do starego Donnera i przemówił:

— Po przegranej pod Kunersdorf Fryderyk Wielki nie rwał sobie włosów na głowie...

— Co mi tam, Fryderyk Wielki! — odrzekł Donner. — Gdzie moja córka?..

— Zamiast zadawać to tragiczne pytanie, wolałbyś ją pan poszukać... Szukajcie a znajdziecie, mówi Chrystus...

— Szukać!.. szukać! — zawołał Donner. — Biegnę szukać!.. Kto mi sprzyja, kto ma nade mną trochę litości, pomoże mi szukać!.. Och! mój Boże!.. Chodźmy szukać... wszyscy!..

Nikt się ani ruszył. Nie znalazł się ani jeden naśladowca pana i pani Donner, którzy z szybkością nad lata wybiegli na balkon, wsiedli do sanek i pojechali. Jeden tylko Kilbling towarzyszył im na balkon i to po to jedynie, ażeby za odjeżdżającymi posłać wyrazy:

— Szukajcie wiatru w polu...

Młody Donner opowiadał ze szczegółami awanturę, która w balowej sali stała się ogólnym przedmiotem rozmów.

Hilberg znikł jak kamfora.

XIV.

Wyobraźmy sobie ciuciubabkę, w której i goniący i uciekający miałyby związane oczy. W tego rodzaju ciuciubabkę grali przez czas jakiś Oswald i pan Donner.

Dwoje sanek przelatywało z ulicy w ulicę. Jedne goniły, drugie uciekały. Śnieg zlepił powieki, grając rolę chustki zawiązującej oczy. Sanki się zjeżdżały, wymijały, rozjeżdżały na to, ażeby się znów zjechać i w dwóch przeciwnych pędzić kierunkach. I te i te krążyły po Dorpacie.

Śnieg wciąż pruszył, lekki wiaterek wciąż dmuchał.

Krażenie trwało bezmała pół godziny.

— Luba! droga! — szeptał Oswald do panny Fryderyki i objął ją wpół i do siebie tulił.

— Luby! drogi! — szepnęła panna Fryderyka.

— Kocham!..

— Kocham!..

Woznica co chwila dostawał rozkaz:

— Ruszaj!..

Zacinał konie i pędził.

I znów powtarzała się wrotka miłosna.

Oswald wiózł Fryderykę — dokąd? — ona nie pytała. Było jój tak dobrze, tak rajsco. Zresztą przekonana była, że jedzie na bal, że za chwilę sanki się zatrzymują i raj zniknie, niby czarowny sen. Radaby tę chwilę spóźnić, odsunąć i pozostać jeszcze trochę z Oswaldem. Więc gniewała się na sanki, że tak pędzą.

— Czego my tak szybko jedziemy?..

— Nie lubisz jechać szybko?..

— Zaprędko przyjedziemy...

— Zaprędko? — zapytał Oswald.

— Mnie tak dobrze obok ciebie... Chciałabym jechać jaknajdłużej..

— A pozostać obok mnie na wieki?..

— Ach!..

I przytuliła się do kochanka.

— Chciałabyś ze mną pozostać? — powtórzył Oswald.

— Na wieki!..

— Być moją?...

— Twoją!...

— Ruszaj! — krzyknął Oswald na woźnicę.

— Czegóż my tak pędzimy?.. Czy daleko ta sala balowa?..

— O, daleko... Wiozę ciebie nie na bal... Wiozę cię w moje objęcia... o luba!..

I dotknął jój ust ustami.

Był to pierwszy pocałunek. Dziewczyna drgnęła.

— Pojedziesz ze mną? — zapytał Oswald.

— Och! pojedę... na kraj świata... Tak mi dobrze!..

— Ruszaj!..

Sanki leciały, ślizgając się po ujeżdżonych ulicach.

Obejmując Fryderykę, tuląc ją do siebie, dręczył się Oswald myślą, wyrażającą się następującem zapytaniem:

— Co z tym fantem zrobić?..

Porwanie wykonało się bez zamiaru, nastąpiło niechcący. Sprowadził Fryderykę szybko ze schodów, wsadził ją do sanek, usiadł obok niej i pojechał, dlatego że tak się wszystko ułożyło iż mógł ją sprowadzić, obok niej usiąść i pojechać. Było to dziełem jednej chwili, nie

poprzedzonej żadnym namysłem. Nie pojechał wprost do sali, bez zamiaru nie jechania. Chciał tylko drogę przedłużyć — z chwili zrobić minutkę — a gdy przedłużył, chciał przedłużyć jeszcze i jeszcze i jeszcze! — Więc pędził z ulicy w ulicę, otoczony ciemnością, przenikniony ogniem — aż się zapędził zadaleko, aż się sam siebie zapytał:

— Cóż dalej?..

Trzeba było jeździe nadać cel, trzeba było ten cel stworzyć.

Przedstawiało się mnóstwo celów, lecz każdy połączony był z wielkimi niedogodnościami. W umyśle Oswalda mknęły kolejno zamiary: jechać na bal, wracać do domu, schronić się do profesora Paragrafa, szukać gościnności u którego z kolegów. Wszystko to mogłoby może ująć, lecz w odpowiednich warunkach. Możliwy był jechać na bal, gdyby nie skandaliczny koloryt nadany uwiezieniu; możliwy był wracać do domu, gdyby nie alarm który tam musiał powstać; możliwy był schronić się do profesora, gdyby Fryderyka nie była młodą dziewczyną, ale starym szpargałem, wydartym z jakiegoś przedwiecznego kodeksu; możliwy był w końcu

szukać gościnności u kolegów, gdyby ta młoda dziewczyna nie była rozkochanym aniołem.

Oswald był w wielkim ambarasie i to właśnie w chwili, kiedy w odpowiedzi na zapytanie usłyszał wymówione przez Fryderykę wyrazy:

— Pojadę... na kraj świata...

Te wyrazy stały się dla niego natchnieniem. Kraj świata wydał się mu najwłaściwszym celem jazdy.

— A więc — pomyślał sobie — dalej!.. na kraj świata!..

Podniósł się, stanął w sankach, nachylił usta do ucha woźnicy i coś mu szepnął. Woźnica głową kręcił i rzekł:

— Trudno...

— Chyba masz liche szkapy...

— Szkapy dobre, ale droga daleka...

— Widać że niedobre, kiedy się dla nich drogi lękasz...

— Nie lękam się ja, tylko takie sztuki nie robią się pól darmo...

— Ileż chcesz?..

— Dziesięć rubli...

— Dostaniesz dwanaście, ale wieź wichrem...

Usiadł, woźnica cmoknął na konia, zawrócił, po chwili znów zawrócił i sanki pomknęły w prostym kierunku.

W chwili ostatniego zwrotu rozminęły się z innymi sankami. Było to pod kamienicą, której narożne okna rzucały niepewne na ulicę światło. Fryderyka krzyknęła:

— Ach!..

— Co ci? — zapytał Oswald, obejmując ją w pół i do siebie tuląc.

— Nic, mój drogi... Przywidziało się mi... Przywidział się mi w tych sankach ojciec...

— Gdzież tam!.. Kochasz mnie?..

— Kocham...

I tuliła się do niego. Na pierś jego chowała głowę, z której osunęła się chustka.

A sanki mknęły coraz to dalej wśród domów, które stawały się coraz to rzadsze. W końcu zupełnie znikły. Znikły światła i światełka, bijące z okien kamienic i okienek przedmieściowych domków. Dokoła rozlała się biała ciemność — bezgraniczna otchłań, zasiana śniegiem i napelniona świstem wiatru, który w mieście tak niewinnie i łagodnie dmuchał. Ze świstem, szumem i jękiem niósł się w powietrzu ów ła-

godny wiaterek,— a sanki mknęły. Koń dyszlowy sadził kłusem, wyciągnął się, sunąc brzuchem po ziemi, orczykowy furkał, grzywą śnieg zamiatał i czwałował. Woźnica od czasu do czasu cmokał, powstawał i dla rozgrzania dłońmi bił się po ramionach. Potém siadał, czapkę na uszy nasuwał i kulił się. Było mu zimno.

Naszym podróżnym jednakże nie było zimno. Rozgrzewało ich to co „mimo dészczu, mimo śniegu, zawsze płonie“. Płaszcz Oswalda, rzucony w sankach, leżał jak rzecz nieużyteczna. Futrzana narzutka Fryderyki trzymała się na jój ramionach dlatego tylko, że była spiętą pod szyją; zato z chustką igrał wiatr i byłby ją porwał i uniósł, gdyby nie ta okoliczność, że ją Fryderyka niechcący przysiadła.

Nie było im zimno — ba! było gorąco. Tak blisko siebie siedzieli, tak się jedno do drugiego tuliło. Cóż znaczył dla nich mróz, śnieg, wiatr!..

Sanki mknęły coraz to dalej i dalej. Gdyby nie noc, a przynajmniej gdyby nie zadymka, możnaby było widzieć jak wiorstowe słu-

py, jeden po drugim, od jadących uciekały. A uciekały szybko, bo szybko była jazda. Jadącym czas wydawał się krótkim. Ani się obejrzeli, jak ubiegli wiorst dwadzieścia pięć — i sanki się zatrzymały.

— Ot i stacya — rzekł woźnica, zsiadając z kozła, dla okrycia derami mocno zmęczonych koni. — Wyplacisz mi pan dwanaście rubli i niech Pan Bóg w dalszą drogę państwa prowadzi...

Oswald wyskoczył z sanek.

Fryderyka nie wiedziała co to znaczy, nie umiała zdać sobie sprawy z tego co się stało.

— Wysiadaj — rzekł Oswald podając jej rękę.

— Co to jest? — zapytała.

— Pocztowy dom... Wejdz do ciepłej izby... Ogrzejesz się... Napijemy się herbaty...

Ona słuchała tych wyrazów w osłupieniu. Działo się z nią tak, jakby śniła i nagle się przebudziła i widziała jeszcze obraz snu czarownego, ale już za nim żałowała. Sen jej był w objęciach Oswalda i w wyrazie „kocham“. Przebudziła się, gdy, o uszy jej obłyły się wyrazy: pocztowy dom, ciepła izba, herbata. Wy-

razy te z nieba ściągnęły ją na ziemię, przywołały do rzeczywistego, praktycznego życia. Strach ją przejął wielki. Podniosła się, lecz nogi się pod nią ugięły. Usiadła i drżeć poczęła całym ciałem.

— Drzysz?.. zapytał ją Oswald. — Zimno ci?..

— Zimno—odrzekła.

— Chodź... ogrzej się...

Ujął ją za rękę i ku sobie pociągnął. Wstała i poszła, trzymając się Oswalda. Woźnica poniósł za niemi Oswalda płaszcz i Fryderyki kaszmirowy szal i, niosąc ten lekki pakunek, myślał sobie:

— Jeżeli ci młodzi państwo nie mieli cieplejszego odzienia, to wielkie popełnili głupstwo, że się w podróż puścili... Lepiej im było do wiosny poczekać...

Tak sobie myślał woźnica, a Oswald tymczasem walił pięściami we drzwi pocztowego domu, w którym ekspedytor, jego rodzina i cała służba pogrążeni byli w objęciach pierwszego, a więc najśłodszego snu. Z tego powodu rozbudzenie ich nie było nader łatwem. Na dobywaniu się do drzwi upłynął przynajmniej kwadrans, aż dał się słyszeć głos wewnątrz:

— Słyszę!.. słyszę!.. natychmiast otwieram!..

To „natychmiast“ jednakże nie prędko nastąpiło. Poczekawszy trochę, Oswald krzyknął:

— Otwieraj!..

— Natychmiast!— odpowiedział głos;— tylko znajdę buty, które mi dzieci gdzieś zawlec musiały... A to licho nadało!..

Fryderyka dygotała, trzymając Oswalda za rękę. Ten przeto znów poczekawszy, powtórnie krzyknął:

— Otwieraj!..

I znów otrzymał odpowiedź:

— Natychmiast!.. Czy mi kto buty ukradł, czy co?.. Aha!.. są!..

Lecz drzwi się nie otwierały.

— Cóż ulicha!.. otwieraj!— krzyczał Oswald, targając z całej siły za klamkę.

— Natychmiast!.. tylko znajdę skałkę, krzesiwo i hupkę!.. A to nieszczęście z temi dziećmi!..

Odszukanie skałki, krzesiwa i hupki, bez jakich w owych czasach, w których nie wynaleziono jeszcze fosforycznych zapalek, nie można była świecy zapalić, nie było tak łatwem jak odszukanie butów. To mogło zabrać z go-

dzinę czasu, co nie stanowiło zbyt miłej dla czekających na mrozie perspektywy. Z wściekłością więc uderzył Oswald obiema pięściami o drzwi i krzyknął:

— Otwieraj, bo drzwi wysadzę!..

— Ho ho!.. odezwał się głos ze środka.—Nie takie te drzwi wytrzymały stukania...

— Otwieraj!..

— Natychmiast!..

Wewnątrz domu słychać było chodzenie i suwanie sprzętami, lecz drzwi wciąż były zamknięte. Fryderyka dygotała. Powód dla którego przez drogę nie marzła, zniknął i dojmujące zimno nawskrós ją przejęło. Wściekłość Oswalda graniczyła z rozpaczą, która, wykazawszy mu bezsilność rozkazu, doradziła uciec się do prośby.

— Panie pocztmistrzu!—zawołał.

— Co pan rozkażesz? — odpowiedział głos ze środka.

— Jest tu młoda pani, która do szpiku przemarzła... potrzebuje coprędzej ogrzać się...

— Niechże trochę poczeka, tylko rozniecę...

— To lepiej zaświeć pan później, a pierwój otwórz drzwi...

— Bez świecy drzwi nie otworzę, bo muszę poszukać klucza...

— Bodajbyś przepadł!—krzyknął Oswald.

— Nie takie ja już klątwy słyszałem—odpowiedział głos ze środka.— Panu tam łatwo kląć, ale gdybyś był na mojem miejscu, to wiedziałbyś co to jest mieć dzieci, przed któremi nic na swojem miejscu utrzymać nie sposób... Buty powinny stać przy mojem łóżku: nigdy ich tam niema, skałka, krzesiwo i hupka powinny być na stole: nigdy ich tam niema; klucz powinien wisić na kołku; nigdy go tam niema... Ot co to znaczy mieć dzieci i być pocztmistrzem... Gorzki to chleb... Kto przyjedzie to klnie... Dobrze przynajmniej że człek z tém się oswoił i krwi sobie nie psuje...

Oswald wziął się do klątw conajdosadniejszych.

— Klnij pan, klnij... I jabym klął, gdybym był na pańskim miejscu i z młodą przeziębioną panią czekał godzinę na mrozie... Wchodzę w pańskie położenie; ale i pan powinieneś wejść w moje położenie i czekać cierpliwie, aż zaświecę i klucz znajdę...

Oswald począł nogami w drzwi walić.

— To nic nie pomoże — mówił spokojnie głos ze środka. — O! znalazłem.

— W tój chwili kilkakrotnie błysk sypiących się iskier oświecił okna pocztowego domu, a po chwili ukazało się w nich stałe światło. Oswald przestał się dopukiwać i odetchnął. Był zgrzany. Pot kroplisty pokrył mu czoło. Otarł go dłonią i czekał w milczeniu, patrząc na Fryderykę, która nie przestawała dygotać.

Kilka jeszcze minut upłynęło, nim nakoniec drzwi się otwały i człowiek średnich lat uprzejmie zaprosił naszą młodą parę do środka, poprzedzając ją ze świecą, którą w pocztowej izbie postawił na stole. Postawił świecę, a sam cofnął się w głąb izby, przypatrując się nowo przybyłym. Balowy strój Fryderyki i Oswalda musiał go zdziwić. Nigdy zapewne nie zdarzyło się mu widzieć przybywającej w mroźną noc podróżnej w białych atlasowych trzewikach, w sukni *illusion*, popodpinanej bukietkami i w kwiatkach na głowie,—podróżnego w lakierowanych bucikach, we fraku, białej pikowej kamizelce, białej chustce i białych rękawiczkach. Przypatrywał się więc naszym podróżnym szeroko otwartymi oczami i po chwili zapytał:

— Państwo prosto od ślubu?..

— Tak—odparł Oswald, nie chcąc się wdać w rozmowę z człowiekiem który mu tyle krwi napsuł.—Masz pan samowar?..

— Mam...

— Każe go natychmiast nastawić...

— Natychmiast...

Pocztmistrz wyszedł. Oswald zbliżył się do Fryderyki i wziął ją za zziębnięte ręce.

— Przeziębłaś?..

— Przeziębłam...

— Usiądź pod piecem... Okryję cię chustką i moim płaszczem...

Fryderyka nic na to nie odpowiedziała. Oswald postawił stółek, posadził ją, okrył chustką, a nogi w płaszcz obwinął.

— Kochasz mnie?.. zapytał.

Dziewczyna smutnie głową pokiwała i głęboko westchnęła.

On jeszcze mówił, ale ona nic nie odpowiadała. Na zsiniałej jej twarzyczce malował się smutek, połączony z wyrazem jakiegoś osłupienia. Może to był skutek mrozu. Siedziała ze spuszczoną głową i tylko od czasu do czasu wstrząsało nią gwałtowne drzenie.

Po upływie kilku minut powrócił pocztmistrz, a za nim zaspana dziewczka wniosła oburącz duży, szypiący samowar i postawiła go na stole.

— Oto i samowar—rzekł gospodarz do Oswalda.—Co pan jeszcze rozkaże?..

— Każ pan podać jeszcze herbaty, szklanki i cukier...

— I rum?—zapytał pocztmistrz.

— Bez rumu się obejdzie...

— Po takiem przeziębnieniu dobrzeby było gdyby pańska żona napiła się herbaty z rumem... To rozgrzewa...

— To każ pan przynieść i rumu.

Ządanie to powtórzył pocztmistrz dziewczce i po chwili zjawiała się w izbie taca, a na tacy cały przyrząd herbaciany.

Pocztmistrz nie wychodził z izby. W oczach jego malowała się wielka ciekawość, którą usiłował zaspokoić, zawiązując rozmowę to o drodze, to o pogodzie, to o urodzajach, to o innych tym podobnych przedmiotach. A że był widać szczywany lis, więc umiał nadać rozmowie obrót, zmierzający wprost do celu. Gdy naprzykład mówił o pogodzie, wtrącił niby niechcący:

— Czyż godziło się na takie zimno w tak lekkim wybrać się odzieniu!..

Oswald, przyrządzając herbatę, cós mu na to odpowiedział, a on ciągnął dalej:

— Państwo przededniem zapewne nie pojedziecie... byłoby to bowiem jechać na pewną śmierć... Prześpijcie się lepiej u mnie... Każę posłać ciepłe, wygodne łóżka, a jutro, da Bóg doczekać...

— O, nie!.. zawołała nagle Fryderyka — Nie!.. Musiemy dalej jechać... musimy...

W głosie jój brzmiał przestach, który zapewne pocztmistrz wziął za skutek przeziębienia, bo odpowiedział:

— Ależ pani tak przemarzła...

— To nic—odparła Fryderyka.

— To grozi śmiercią...

— To nic—powtórzyła dobitnie.

— Trzeba mieć wzgląd na siebie...

— Musiemy jechać...

— Musiemy jechać—potwierdził Oswald.—
Pojedziemy po herbacie...

— Dla mnie to wszystko jedno... odparł pocztmistrz—konie gotowe... Ale mi państwa żal... Nad ranem mróz się wzmoże...

— To nie... Musiemy jechać—i to jaknajprędzej—rzekła Fryderyka tak stanowczo, że pocztmistrz tylko ramionami ścisnął i powtórzył:

— Dla mnie to wszystko jedno, konie gotowe...

— Więc jedźmy... podchwyciła Fryderyka wstając, zrzucając z siebie chustkę i płaszcz i ku drzwiom się zwracając.

Kiedy chustka z jej ramion spadła, pocztmistrz ujrzał nagie po ramiona ręce, wyglądające z pod lekkiego futerka—i zawołał:

— Ależ pani!.. Niech się pani nie spieszy!.. Konie gotowe, to znaczy stoją przy żłobie na zawołanie... Trzeba je pierwaj zaprządz, ażeby móżdż jechać... Niech się pani napije gorącej herbaty...

— Napij się herbaty—rzekł Oswald od drzwi ją zawracając i doprowadzając do stołu, na którym już stała nalana szklanka.

Fryderyka w milczeniu usiadła.

— Dolać ci trochę rumu?..

Skinęła głową. Oswald wlał do szklanki kilka kropel.

— Więcej—rzekła suchym głosem.

Oswald nachylił flaszkę. Fryderyka szyb-

kim ręki ruchem uderzyła ją w denko z dołu i płyn lunął, rozlewając się na miseczkę. Pochwyciła szklanekę, do ust ją przyłożyła i duszkiem wychyliła.

Pocztmistrz, patrzący na to wszystko z boku, ramionami ścisnął. Ruchy Fryderyki były nadzwyczajne, jakby pochodziły z gorączki, czy też z obłąkania. Wypiwszy herbatę, natychmiast rzekła:

— Jedźmy...

Pocztmistrz jeszcze próbował namowy, straszac śmiercią i wychwalając łóżka. Napróżno. Im bardziej wychwalał, tém usilniej domagała się Fryderyka jechania. Nie było sposobu zatrzymać jej do dnia. Kazał więc zaprzęgać.

Po upływie kilku minut dzwonek pocztowy dał się słyszeć przed domem.

— Konie gotowe—rzekł pocztmistrz.

Po zrobieniu rachunku z Oswaldem, dodał:

— Byłbym łotrem, nie pocztmistrem, gdybym państwa puścił tak, jakieście przyjechali... Opatrz pan swoją żonę... Zawiąż jej głowę chustką, a końcami okryj piersi... Dam jej jeszcze watowaną kacawejkę mojej żony i berlacze i ba-

ranicę w sanki... Jak przyjedziecie na miejsce, to mi to wszystko odeszlecie...

Oswald, który z powodu poszukiwań za butami i kluczem był w gniéwném usposobieniu, usłyszawszy tę propozycyą, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie poczciwemu pocztmistrzowi. Uścisnął więc w milczeniu jego dłoń i przy jego pomocy zawiązał Fryderyce chustkę na głowie, włożył na nią kacawejkę i berlacze, a po wierzchu futerko, które starannie opiął. Sam wziął płaszcz na rękawy. W takim ubraniu, które zamaskowało balowość stroju, wyszli i wsiedli do pocztowych sanek. Pocztmistrz wyprowadził ich, własną ręką okrył baranicą i sam powiedział pocztylionowi:

— Ruszaj, a pospieszaj po kuryersku... bo to zimno...

Pocztylion cmoknął na konie, dzwonek jękał—sanki wichrem się poniosły.

Oswald objął Fryderykę i nachylił się ku niej, chcąc powiedzieć jej do ucha:

— Kocham...

Lecz zamiast tego zapytał:

— Płaczesz?..

Biedna dziewczyna we łzach tonęła.

— Czego płaczesz?.. Nie płacz... będziemy szczęśliwi...

Fryderyka nic nie odpowiedziała.

— Czy ty mnie kochasz?..

Nie dawała żadnej odpowiedzi.

— Fryderyko!.. moja droga!.. mój aniele!..
Ty moja!.. ja twój!..

Dziewczyna płakała.

— Wiesz dokąd jedziemy?..

Odpowiedzią były wciąż łzy i łzy.

Sanki leciały, że zdawało się iż w samej rzeczy lecą wiatrem uskrzydłone. Ziemi czuć nie było pod niemi. Że wiatr ustał i księżyc w pełni wytoczył się na pogodne niebo, więc zrobiło się jasno, niby w dzień. Drzewa przy drodze, szronem okryte, stały niby szkielety w szeregu i długie na trakt rzucały cienie, na które nanizywały się rozpędzone konie i lecące za niemi sanie. Drzewa i wiorstowe słupy i drogoskazy tylko migwały. Zdawało się, jakby te zadumane szeregi szkieletów uciekały w tył przed naszymi podróżnymi, którzy pędzili z szybkością puszczonej z cięciwy łuku strzały, dobiegającej do celu.

Dobieganie to do celu nie trwało długo. Nim

upłynęła godzina, sanki zatrzymały się przed następną stacją. Pocztylion wypukał pocztmistrza. Lotem zmieniono konie i nasi podróżni ruszyli dalej.

To samo odbyło się na trzeciej, czwartej i następnych stacjach. Dzięki pożyczonym przez pocztmistrza rzeczom, Oswald i Fryderyka nie dziwili ludzi. Widziano w nich zwykłych podróżnych, nie najlepiej zaopatrzonych, ale nie półnagich.

Kacawejka, berlacze i baranica nie były zaopatrzeniem dostatecznym, zwłaszcza że po północy mróz się wzmógł, cisnął i przenikał na wylot. Spłakaną Fryderykę napadła senność, co było bardzo złym znakiem. Wiadomo że sen na mrozie zmienić się niekiedy może w wieczne zaśnięcie. Oswald osłaniał swoje towarzyszkę i usypiającą co chwila budził. Nad ranem sen tak ją zmorzył, że musiał ją podtrzymywać, a żeby z sani nie wypadła, a na stacjach trzeba ją było znosić. Gorąca herbata z rumem wywierała na nią wpływ odurzający.

Poranek był przepyszny. Słońce wspaniale wytoczyło się nad horyzont i złotem światłem oblało białą ziemię, połyskującą milionami

brylancików. Mimo to Fryderyka nie odzyskała sił. Głowa jej spadała na piersi, ręce leżały bezwładnie, ciało się chyliło i łamało, usteczka straciły karmin.

— Czyś ty nie chora?.. zapytał Oswald strwożonym głosem.

Fryderyka się uśmiechnęła. Od czasu wyruszenia z pierwszej stacyi, była to pierwsza jej odpowiedź na liczne Oswalda pytania.

— Czyś ty nie chora?..

— Odpowiedź się nie powtórzyła.

— Tyś zmęczona... Wkrótce będziesz mogła spocząć... Zjechaliśmy już z pocztowego traktu... Niezadługo przyjedziemy...

Rzeczywiście — sanie sunęły już prywatną drogą. Minawszy parę wiosek, przejechawszy przez kilka lasków, spuściwszy się kilkakrotnie z góry i wyjechawszy na górę, z ostatniej góry zbiegły nad zamarzniete jezioro, po jednej stronie którego wznosił się dwór półgotyckiej struktury, po drugiej rozlegała się wieś. Od dworu do wsi droga szła po lodzie. Sanki wbiegły na podwórze dworskie i zatrzymały się przed balkonem, po dwóch stronach któ-

rego, w niszach, stały posągi Guttenberga i Fausta.

Fryderyka podniosła głowę i powoli poprowadziła po gotyckim frontonie oczami.

Oswald wyskoczył z sanek, wziął ją w ramiona i rzekł do niej:

— Przyjechaliśmy...

XV.

Surowém obliczem i surowemi wyrazy przyjęła pani Warring swego wychowanka, oczekującego na nią w bawialnym salonie, w którym Fryderyka ze zwieszoną głową, blada, znękana, bezprzytomna, pół leżała na kanapie i na przywitanie pani zamku dźwignąć się nie mogła.

— Co to znaczy, panie Oswaldzie?..

— Pani — odpowiedział — niech pani tylko cierpliwie wysłucha, a wytłumaczę się...

— Tu niéma tłumaczenia... Opuściłeś pan uniwersytet i przywiozłeś mi do domu jakąś dziewczynę... Ten fakt sam przez się jest potępieniem, wykluczającym wszelkie tłumaczenie...

— Nie mogłem inaczej zrobić...

— Za cóż to masz pan mój dom?.. Czy moje względem pana postępowanie upoważnia cię

do zwożenia mi elegantek tego co ta jęjmościanka rodzaju?..

Mówiąc to, ukazała ręką na Fryderykę i spojrzała na nią. Dobrze z natury jęj serce wzruszyło się widokiem cierpiącej. Zbliżyła się do kanapy i zapytała:

— Co pannie jest?..

Fryderyka nie odpowiadała.

— Zdaje się że chora — rzekł zmieszany Oswald.

— Widocznie chora... Musiała się przeziębić — dodała pani Warring.

I znów zapytała:

— Co pannę boli?..

Fryderyka spojrzała na nią pełnym dobroci wzrokiem, westchnęła i cichym odpowiedziała głosem:

— Piersi, głowa, całe ciało... Och! mój Boże... Gdzie moja matka?.. Oswaldzie, poproś ją, niech przyjdzie...

Oswald nie śmiał przy pani Warring odzywać się.

Pani Warring wzięła Fryderykę za puls. Potrzymawszy ją przez chwilę, zadzwoniła

i lokajowi, który wszedł, kazała poprosić lekarza.

Po chwili lekarz przyszedł.

— Masz pan niespodzianie pacjentkę — rzekła, ukazując na Fryderykę. — Pan Oswald taki łaskaw, że przywiózł ją z Dorpatu, w tém zapewne przekonaniu, że fakultet medyczny dorpacki nie posiada w gronie swoim lekarzy tak znakomitych jak pan... Dla podtrzymania przeto dobrej opinii, jaką o panu ma pan Oswald i zarazem dla zawstydzenia fakultetu, postaw pan diagnozę téj chorej...

Lekarz zbliżył się do Fryderyki, wziął ją za puls, przyłożył dłoń do czoła, popatrzył na język, zapytał o ból, szturchnął palcem kilkakrotnie w bok i piersi i odpowiedział:

— Diagnoza bardzo łatwa... Ta chora ma dwie choroby: gorączkę i zapalenie płuc... Stan jej jest bardzo niebezpieczny...

— Ale ratunek możliwy? — wtrąciła pani.

— Hm — odparł lekarz i zrobił gest głową i oczami wątpliwość oznaczający. — Jeżeli nie pomogą środki heroiczne, to chyba natura, która jest lepszym niż wszystkie medyczne fa-

kultety lekarzem... Potrzeba jej najprzód puścić krew, i to w wielkiej ilości...

I zwracając się do Oswalda, zapytał:

— Kiedy pan wywoziłeś ją z Dorpatu?..

— Wczoraj, przed dziewiątą wieczorem...

— To chyba leciałeś na skrzydłach ptasich...

Czy była chora?..

— Nie... zupełnie zdrową...

— Więc jechaliście całą noc... Czy była dobrze odziana?..

Oswald ukazał ręką na rzucone na krzesło futerko, kacawejkę i chustkę.

Lekarz głową pokiwał.

— Niedziw, że wywiązało się tak gwałtowne zapalenie płuc... Dziś rano termometr znaczył dwadzieścia stopni niżej zera, wczoraj wieczorem sześć...

A zwracając mowę do pani Warring, dodał:

— Niech pani poszle jaknajspieszniej po cyrulika i osobnego posłańca do apteki... Ja tymczasem napiszę receptę...

Pani Warring kazała Fryderykę przenieść do garderoby. To do żywego ubodło Oswalda.

— Pani! — zawołał — ta chora zasługuje na wszelkie względy!..

— Ja też względów, na jakie zasługuje dziewczyna co się sama w świat z młodzikim puściła, nie skąpię — odparła pani z przekąsem.

— Pani! — zawołał Oswald podniesionym i trochę teatralnym głosem — jeżeli ją pani do garderoby odnieść każe, ja sobie w łeb strzele...

— Masz pistolet? — zapytała pani z zimną krwią.

Oswald spojrział na nią wzrokiem wyrzutów pełnym. Ona odpowiedziała:

— Jeżeli nie masz, to ci pożyczę Kuchenrejtera.

Oswald nic już nie mówił. Po Fryderykę przyszły służące i odniosły ją na przygotowane, czyste i wygodne łóżko, ale w garderobie. Pani Warring wyszła. Dwaj posłańcy, jeden saneczkami przez lód, drugi konno drogą, popędzili co koń wyskoczy. Ten drugi, obok recept, miał także list na pocztę, pod adresem pana Donnera. Pani Warring uwiadamiiała go o ciężkiej i niebezpiecznej córki jego chorobie.

Oswald pozostał w salonie. Przyjęcie jakiego doznał zirytowało go. Chodził wzdłuż

i wszerek szerokimi krokami, myśląc nad tém jakimby sposobem irytacją do ostateczności posunąć.

Przed nim była jedna tylko ostateczność. Powiedział że strzeli sobie w łeb, jeżeli się stanie co się stało. Nie pozostawało mu więc nic innego, tylko — w łeb sobie strzelić.

Smutna ostateczność!.. on też ze smutkiem o niej myślał.

— Ginać tak młodo? — mówił w duchu — to nie wesoło... Świat taki piękny... Przedemną tyle życia...

A kiedy o życiu myślał, to przedstawiało się mu ono w kształcie girlandy, utkanéj kwiatkami, pomiędzy któremi jednym była Fryderyka.

— Cóż — powiedział do siebie — kiedy zachorowała...

Uważał to jako psotę sobie wyrządzoną — i za tę psotę miał do Fryderyki tajemny żal. Okoliczność ta osłabiała w nim ochotę strzeleńia sobie w łeb.

— Zachorowała... Niechno pierwej wyzdrowieje... to... zobaczymy...

Taka była konkluzya, jaką z téj okoliczno-

ści wysnuł. To znaczy: odłożył postanowienie *ad calendas graecas*.

A kiedy do tej pomyślniej konkluzji przyszedł, wezwano go do jadalnej sali na obiad.

Podczas obiadu znalazł panią Warring taką jak dawniej. W niej ani około niej nie się nie zmieniło. Te same zwyczaje, ten sam tryb życia; rozmowy nawet wydały się mu dalszym ciągiem tych, które niegdyś słyszał. Dziś, było tu rodzonym bratem wczoraj, a pomiędzy tem dziś i owem wczoraj stał Dorpat, niby sen. W tym śnie migwały przed nim postacie kolegów, brzęczało burzliwe życie, brzmiały burzowskie piosenki, przesuwały się różne awantury, a pomiędzy niemi ostatnia, która się skończyła tem, że powrócił do swego wychodniego punktu, z zagadkowem w myśli zapytaniem:

— Co dalej będzie?..

Minał dzień, minął drugi i trzeci, podobniuteńkie do tych, które mijały przed laty. Ochota do odebrania sobie życia jaknajzupełniej Oswaldowi odpadła. Przeciwnie: powróciła mu ochota żyć po dawnemu. Tylko Fryderyka zakłócała mu spokój sumienia i począł żałować

że ją porwał od rodziców. Ale przestało go gryźć to, iż ona leży w garderobie.

Co do tego ostatniego, wiedział tylko że leży, zresztą nic. Wstęp do garderoby był mu zdawien dawna wzbronionym. Nie mógł więc chorą odwiedzać — co więcej, nie mógł się nawet dowiadywać o stanie choroby. Więc niemałym było jego przerażenie, gdy pewnego poranku dowiedział się, że:

— Chora umarła...

Ta wieść wprawiła go w osłupienie. Sumienie wręcz mu powiedziało:

— Ty to jesteś sprawcą jej śmierci...

Poczuł w całym ciele drzenie, niby strachu. Lecz to przeminęło. Godzina refleksyi nasunęła mu myśli usprawiedliwiające.

— Wszak i ja mogłem, tak samo się przeziębć i umrzeć... Okrywałem ją i osłaniałem, zrobiłem co mogłem. Umarła... Szkoda jej... Ładna i dobra była dziewczyna...

Jednakże odrazu nie mógł zabić robaka który mu sumienie toczył. Poczował się do winy, ale nawet sam przed sobą przyznać się do niej nie chciał. Przyznawał się tylko do tego, że wolałby ażeby nie była umarła.

Około dziewiątej pani Warring wezwała go do siebie.

— Chora umarła — rzekła po przywitaniu, pilnie w oczy Oswaldowi patrząc.

Oswald spuścił oczy, jak dziewczyna.

— Powiedz mi, co to była za awantura?.. Tylko bądź szczerym... Wiiesz że nie jestem ani *prude*, ani hipokrytką...

Oswald opowiedział całą rzecz. Gdy skończył, zapytała:

— Chciałeś się z nią zenić?..

— Nie wiem... Nie myślałem jeszcze o tém...

— Więc to był stosunek przypadkowy, którego dalsze następstwa przerwała śmierć...

Oswald zrobił gest potwierdzający.

— Jakież na tobie wrażenie sprawiła jej śmierć?..

— Żal mi jej — odparł z westchnieniem.

— Twój żal wydaje się być filozoficznym... To mi się podoba... Nic smutniejszego, jak stać się niewolnikiem uczucia... Nad uczuciem trzeba panować... Dla ułatwienia ci zapanowania nad tém, które cię na takie wielkie naraziło głupstwo, nie dałam ci do chorąg przystępu...

Lękałam się czułości, posługujących się brzmieniami bez sensu wyrazami, które miéwają magnetyczną własność, działającą szkodliwie na mózgowy organizm... A wzywała cię nieboraczka do samej śmierci, a najbardziej w godzinę konania...

Oswaldowi na te słowa zrobiło się łzawo koło serca.

— I znalazła się arcy-romantycznie, bo zrobiła cię spadkobiercą róży, którą na piersiach miała przypiętą... Oto twój spadek.

To rzekłszy, podała Oswaldowi zwiędły kwiat.

Oswald go wziął i machinalnie w palcach kręcił.

— Możesz ją teraz odwiedzić... Musiano już ją ułożyć na katafalku...

Oswald wyszedł. W zamyśleniu przeszedł kilka pokoi i zatrzymał się na progu tego, w którym leżały zwłoki Fryderyki.

Ubrana była tak samo jak na bal. Nagie ręce skrzyżowała na piersiach. Atłasowe trzewiczki sterczały do góry na skostniałych nogach. Tiul przejrzystym obłokiem oświecał jej postać. Nic nie brakło z jej stroju, wyjąwszy tej jednej róży, którą Oswald w palcach trzy-

mał. Twarzyczka jęj była biała jak kręda, oczy zwarte, usteczka ścięte. Gdyby nie ta białość i nieruchomość, możnaby pomyśleć że jest uspio-ną. Krótka choroba nie miała czasu przekształcić jęj rysów, ani zniszczyć zaokrąglenia bogatego biustu. Tylko te rysy i ten biust wyda-wały się jakby z marmuru.

Oswald patrzył przez czas jakiś — nagle drgnął. O uszy jego obił się gwałtowny jęk pocztowego dzwonka. Wybiegł z izby i posko-czył do okna wychodzącego na podwórze. W tęg właśnie chwili przed gankiem zatrzymały się sanie, a w saniach siedzieli państwo Donner. Oswald szybkim krokiem oddalił się do swego pokoju.

Po chwili po fajlchenhofskim zamku rozle-gły się krzyki rozpacz. Były przerażliwe, roz-dziérające. Oswald je słyszał i poznawał. Były to bowiem głosy doskonale mu znajome, tylko podniesione do wysokiej potęgi nastrojem bo-leści. Niedawno temu—nie dawniej jak przed kilku dniami—te same głosy głaskały mu ucho serdecznym gościnności wyrazem: dziś rozdzié-rają, szarpią, niby noże słuch na wylot przebi-jają. Oswald drzwi na klucz zamknął i stanął przed piecem nachmurzony.

„Drzwi na klucz zamknął.“ Tym jednym, drobnym i na pozór bez znaczenia czynem, odmalował się człowiek. Poczował się do winy, a unikał pokuty. Ten młody człowiek nie był jednym z tych co się poprawiają.

Krzyki trwały, z małemi przestankami, do samego wieczora. Wieczorem nastąpiła eksportacya zwłok do kościoła, leżącego we wsi za jeziorem. Przyjechał pastor, zeszedli się włościanie, przyniesiono trumnę. Oswald z okna swego pokoju widział orszak pogrzebowy przez lód ciągnący. Trumnę, na wieku której leżał zielony wianek, niosło czterech włościan. Przed trumną szedł pastor, za trumną wlekli się splakani rodzice, za rodzicami postępowało w milczeniu kilkunastu ludzi. Gdy orszak znikł w pomroku wieczornym, Oswald drzwi otworzył i wyszedł do salonu, gdzie spotkała go pani Warring w towarzystwie lekarza.

— Tych ludzi boleść zabije — mówiła pani do tego ostatniego.

— Nic im się złego nie stanie — odpowiedział lekarz. — Przeboleją i zapomną... Pani miałaś dużo ambarasu...

— Doznałam nieco emocyi, ale najsilniejszej

musiał doznać Oswald... Nieprawdaż? — zapytała, zwracając się do Oswalda.

Oswald odpowiedział gestem, który właściwie żadnego nie miał znaczenia.

— Nie widziałam cię przez cały dzień... Gdzie byłeś?..

— W moim pokoju...

— Dobrześ zrobił, byliby cię starzy rozdarli, a przynajmniej podrapali... Otóż to, co to znaczy dawać wolę uczuciu i pozwalać mu panować nad sobą... Obiektywny sąd o rzeczach staje się wówczas niemożliwym... Subiektywność pochłania zdrowy rozum... Czy podzielasz to zdanie, doktorze?...

— Najzupełniej—odrzekł zapytany.

— Gdyby subiektywność panowała nad obiektywnością, nie mogłaby istnieć medycyna...

— Niezawodnie—potwierdził lekarz.

I potoczyła się rozmowa o subiektywności i obiektywności, której koniec położyła wieczera.

Starzy Donnerostwo nie powrócili już do zamku, w którym wszystko zwykłym poczęło iść trybem. O awanturze, jak nazywano wypadek który sprowadził śmierć Fryderyki, po

upływie dni kilku zapomniano. Oswald potrzebował więcej trochę niż inni czasu, ale w końcu także zapomniał.

Pani Warring trzymała się względem niego w stosunku oziębłej wyższości. Miłość jego własna na tem cierpiała. Wolałby mieć znaczenie złe, niż żadne — a on nie miał żadnego. Kącik, miejsce przy stole i zimny uśmiech pani Warring, oto wszystko co w Fajlchenhofie posiadał. To wszystko wystarczyłoby mogło dla człowieka życiem stéranego, ale nie dla Oswalda, który żyć dopiero zaczynał, który się dopiero rozpędził po drodze kwiatami usłanej i już przeskoczył przez grób i nagle zatrzymał się. Chodziło mu o to, ażeby jaknajdalej od tego grobu odbiedz. Zawadzał mu on, nie jak wyrzut sumienia, ale jak niedorzeczność.

— Głupstwo popełniłem — przyznawał się przed sobą.

Pani Warring nazywała to: *coup de tête* — i utrzymywała, że Oswald posiada kwalifikacją na żołnierza. To zdanie stało się podwaliną przyszłości młodego człowieka, o którym można powiedzieć, że się pod szczęśliwą urodził gwiazdą. Właśnie kiedy na dobre już zaczynał

się nudzić w Fajlchenhofie, pani Warring wyprawiła go do stolicy.

— Nauka nie dla ciebie — mówiła do niego, wręczając mu pieniądze i listy rekomendacyjne. — Nie dla ciebie umysłowe rozkosze... Idź w świat, nie w towarzystwie hipotez i syllogizmów, ale brzęku ostróg, szczękania pałasza i słodkich spojrzeń... Jesteś ładny chłopiec, to i masz *passee-avant*, który cię poprowadzi daleko... Nie lękam się o ciebie, bo masz serce opuklerzone przeciwko następstwom uczucia... i masz już doświadczenie, które cię będzie chroniło od niedorzeczności...

Wspomnienie o niedorzeczności było alluzją do spoczywającej pod mogiłą Fryderyki. Oswald nie poszedł na jej grób, nie pomodlił się, nie westchnął za nią. Kiedy pani Warring mówiła o niedorzeczności, przyrzekał sobie w duchu:

— Podobnego głupstwa nigdy już nie zrobię...

A kiedy wsiadł na pocztowy wózek i popędził ku uśmiechniętej ponętnie przyszłości, powiedział do siebie:

— Niema złego, coby na dobre nie wyszło... Żle, że ta biedna dziewczyna umarła, ale gdy-

by nie umarła, musiałbym w tej chwili torować sobie drogę w przyszłość przez stopy futer starego Donnera...

Uśmiechnął się.

Ten uśmiech od tej chwili już go nigdy w życiu nie opuszczał. Przystygł do jego ust nawsze, a był pół drwiną, pół zadowoleniem z samego siebie. I było mu z nim do twarzy. Ładny chłopiec, ładniejszym jeszcze się stał, gdy mu przybyły ozdoby uwydatniające męskość postaci. W mundurze wyglądał jak Apollo za żołnierza przebrany. Z gracją nosił kask na głowie, z gracją przy boku szablę, od niechceń przyjmował względy, jakimi go płeć nadobna zaszczycała. Umiał drożyć się własną osobą, jak doświadczona kokietka—bo też był doświadczonym, a doświadczenia jego patentem był grób, na wiejskim cmentarzu ziołami i chwastem porastający.

Nie będę opisywał pierwszego wystąpienia Oswalda na wielkim świecie. Powiem krótko: wystąpił z powodzeniem, które go ani na chwilę nie opuszczało. Powodzenie to rozdzielało się na dwa koryta: służbowe i salonowe. Pierwszém płynął regularnie, niby okręt pędzony

pomyślnym wiatrem. Pełnił obowiązki swego stanu i dobrze na tém wychodził. Nie miały go ani awanse, ani nagrody; szczeblował po drabinie hierarchii coraz wyżej i wyżej. Drugiem korytem szedł w podskokach, któremi kierowało to, co Francuzi nazywają „*bonne fortune*.“ Nie kochał i nie bywał kochany, ale to go wcale nie obchodziło. Niemniej przeto miłosne awantury stały się dla niego chlebem powszednim, a w tych awanturach podziwienia godnym był takt, zależący głównie na tém, że intrygi romansowe prowadził wyłącznie z mężatkami.

Do tego miał dwa powody. Pierwszym był ten, że romans z mężatką do niczego nie obowiązuje, drugim że niemężatki trzymały się od niego zdaleka. Pomiędzy temi ostatniemi nie było Fryderyki. I starsze i młodziutkie dziewczęta umiały panować nad uczuciem, a umiały tém lepiej o ile która była posażniejszą. Panny wielkich fortun patrzyły na Oswalda przez ramię; na ubogie on przez ramię spoglądał. Zdarzało się jednakże tak, iż ta co będąc panną ledwo za Boże miała go stworzenie, po wyjściu za mąż nagle się zmieniała. Wczoraj odtrącała niemal z pogardą; dziś sama go szukała i do siebie go wabiła.

Taką pomiędzy innemi była księżna O., młoda, ładna, bogata i secinami hołdowników otoczona. Ta, póki była księżniczką, nie raczyła patrzeć na dosługującego się człowieka; gdy została księżną, ścisłą zawiązała z nim przyjaźń. Od niej to, z tytułu przyjaźni, dowiedział się Oswald, że na męża nie posiada potrzebnych kwalifikacyj, to jest ani imienia, ani fortuny, zapewniających w towarzystwie stanowisko.

— Żadna nie chciałaby zostać panią Dalman, dla pańskich pięknych oczów — mówiła mu w przystępie otwartości — zwłaszcza że piękne oczy dadzą się zużytkować w sposób nie pociągający za sobą żadnych towarzyskich następstw... Jestem twoją przyjaciółką, a przytém księżną O... Czynię zadość zarazem i rzeczywistości i poezji życia, które wielki świat umiał zharmonizować...

I czarnemi, błyszczącemi oczami zaglądała mu w oczy.

— O czém pan myślisz?..

— O tém coś pani tylko co powiedziała.

I westchnął.

— Czego pan wzdychasz?..

— Bo się czuję pariasem wielkiego świata..

— Proszę!.. przerwała z drwiącą minką—
któżby pomyślał że tyle masz ambicyi.

— Pani się mną bawisz...

— A bawię się— odrzekła księżna, przybierając minę seryo—ale z tą zabawą i mnie do brze i panu nieźle...

— Mnie źle, bo mnie to drażni, że figuruję na scenie wielkiego świata w roli komparsa...

— Domyśliłam się tego... Zły znak... Starzejesz się, przyjacielu... Jedyna na to rada: ożenić się coprędzej... Znajdź pan sobie wielką panią, zdolną zniżyć się do twego poziomu, albo roztropną kobiécinę, która i siebie i ciebie podnieść potrafi...

— Ta rada była jakby żywcem z umysłu Oswalda wyjęta i w usta pięknej księżny wprowadzona. Oddawna już próbował on kierować według niej swoje kroki. Lecz ślepy traf nie był w owych czasach ślepym. Wielkie panie nie łączyły się, a roztropnych kobiécin było mnóstwo, ale wybór pomiędzy niemi nadzwyczajnie przedstawiał trudności. Oswald wiedział jakie w sferach małżeństwa krążą kwasy i jakimi są warunki do spożytkowania tych kwasów na korzyść wspólnego dobra. Do owych warunków

dobrac sobie kobietę, było to nielada zadanie, nad rozwiązaniem którego należało pomyśleć raz i dziesięć razy.

Więc myślał. Ta myśl stała się zadaniem jego życia — pośredniem wprawdzie i tymczasowem, ale niemniej przeto ważnem, bo służącym do rozwiązania głównego, którym było: wywalczenie sobie stanowiska w towarzystwie — stanowiska, które daje urodzenie, majątek lub znaczenie.

Kto się urodził Dalmanem, nie mógł się na jakiegoś księcia lub hrabiego przerodzić. Chcąc nie chcąc, musiał Dalmanem nazawsze pozostać.

Kto w spadku nie odziedziczył majątku, ani był sukcesorem licznych bogatych krewnych, temu, jeżeli pragnie bogactwa, pozostaje albo praca, albo loterya.

Kogo Opatrzność nie stworzyła posiadaczem Bożej iskry, mającej własność wynoszenia pojedynczego człowieka ponad poziom, temu jeżeli potrzeba świecić, potrzeba pożyczać świateł i blasków.

Oswald znajdował się w tym ostatnim przypadku. Pragnął stanowiska w towarzystwie,

w którym był komparsem. Posiadał wiele zalet: i prezencją, i dowcip, i lowelasowskie zacięcie — ale nie mógł wyjść z roli komparsa, bo się nazywał „Dalman“, bo całym jego bogactwem był żołąd, bo nakoniec nic nie upoważniało do powiedzenia o nim: to geniusz. Potrzebował przeto podsztukować się żoną — inaczej: — stowarzyszyć się z istotą, mającą te same co on pragnienia, a obok tego obdarzoną zaletami, jakich się wymaga od komiwojażera, to jest talentem nadania pokupności wszelkim brakom.

Dodać winienem, że nie wysnuł on tego sam z siebie — nie był wynalazcą nowego sposobu torowania sobie drogi w świecie. Miał przed oczyma żywe, dotykalne przykłady. Co więcej: gdyby nie te przykłady, aniby był pomyślał o stanowisku w towarzystwie. Ambicya jego nie była oryginalną. Rozbudził ją ten, ów, tamten, którzy bez żadnej przeciętnej wartości tronowali na wyżynach społecznych.

— Co ich wyniosło? — objaśniało się mu o uszy zapytanie.

— Żony... brzmiała odpowiedź.

— Taka żona, to prawdziwy skarb — myślał sobie Oswald.

Myśl ta zawitała do jego głowy po raz pierwszy, gdy mu się skończyło trzydzieści lat. Za nim upłynęło dużo wody, a w téj wodzie uto-
nęło dużo zdarzeń, których szereg rozpoczynał się w Failchenhofie. Pragnął szczęścia, strzegł się uniesień i wykierował się na handlarza mi-
łości.

— Więc nurtuje pana ambicya — mówiła księżna O., zegnając opuszczającego na jakiś czas stolicę Oswalda.

— Trochę — odparł Oswald z uśmiechem.

— Jedziesz na południe, gdzie kwitną cytryny i pomarańcze, a w cieniu cytryn i pomarańcz dojrzewają Greczynki i Ormianki, ogni-
ste dziewice południa... Radzę panu, bądź z nie-
mi ostrożnym...

— Czemu?..

— Bo może spotkać cię wypadek znalezienia czego nie szukasz...

— Dajesz mi księżna zagadki do rozwią-
zania...

— Więc wytłumaczę ci jaśniej: możesz znaleźć serce, zaczone gdzieś tam jak samotrask...

— *Allons donc!* — zawołał Oswald wzgardliwym tonem.

— Ale gdybyś znalazł głowę—podchwyciła pani.

— To co innego...

— Gdyby się panu cós podobnego przytrafiło, nie omieszkaj uwiadomić mnie o tém... mówiła tonem żartobliwym.—Gotowa jestem nawet tęsknić trochę za panem... Spodziewam się że za powrotem, jeżeli będę miała ochotę słuchać, opowiesz mi o wypadkach podróży...

Kiedy ta rozmowa miała miejsce, Oswald kończył tat trzydzieści trzy. Mężka jego piękność była w całym blasku.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-330 W

Tel. 26-68103, 26-52-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F
1244
A